

IGA WIŚNIEWSKA



SPOD FLAGI
MAGII

Iga Wiśniewska

SPOD FLAGI MAGII

Spod flagi magii 2



© Copyright by Iga Wiśniewska 2015

Tytuł: Spod flagi magii

Autor: Iga Wiśniewska

Wydane przez Miasto Książek

www.miastoksiazek.com

Ilustracja na okładce: kevron2001 (fotolia.com)

Projekt okładki: miastoksiazek.com

Mapa: Ada Penger

Wydanie I

ISBN: 978-83-7954-039-6

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości niniejszej publikacji bez zgody wydawcy zabronione.

To są czary Merlina, oddaj pokłon, zaczynam

Gdy mą twierdzą najadą, karabinami zatrzymam ich

I to nie koniec sagi, jestem spod flagi magii.

Fokus

Elegestia



ROZDZIAŁ 1

Fala upałów rzuciła miasto na kolana. Chociaż mieszkałam na przedmieściach, z dala od szarych blokowisk, gorąco mi również dawało się we znaki. Rzuciło mnie... na brzuch. Leżąc plackiem na trawie, wygrzewałam się na słońcu razem z moim kotem, Shadym. Jego czarne, lśniące futerko zdawało się pochłaniać światło. Było tak gorące, że gdy wyciągnęłam rękę, by go pogłaskać, natychmiast zabrałam ją z powrotem. Mimo tego uparcie leżał obok i rozpychał się na ręczniku, który rozłożyłam w ogródku. Zanim to zrobiłam, za pomocą odpowiedniego zaklęcia zadbałam, by trawa na powierzchni około dwóch metrów kwadratowych była równiutko przystrzyżona. Zaraz za wyznaczonym terytorium rosła beztrosko, osiągając nieprzyzwoitą wysokość. Nie strzygłam jej całe lato, wiosną też brakło mi czasu, bo kiedy miałam do wyboru: zmarnować energię potrzebną na zaklęcie, by trawa była przystrzyżona, lub spożytkować ją w inny sposób, zawsze wybierałam „inny sposób”.

Przez otaczającą mnie trawę czułam się niemalże jak w buszu, odizolowana od świata i rzeczywistości. Oddawałam się swobodnie swoim ulubionym zajęciom – czytaniu i opalaniu, popijając przy tym colę z wysokiej szklanki. Lód rozpuścił się już jakiś czas temu, napój zrobił się dość ciepły, ale nadal przyjemnie było pociągnąć łyk, gdy słońce prażyło prosto w plecy. Leżący obok Shady sprawiał, że mogłam określić swój stan niemalże jako pełnię szczęścia. Nikt mnie nie niepokoił, zresztą nie mógł, bo moją prywatność chroniły zaklęcia rozmieszczone wokół domu – było mi niemalże jak w niebie. Choć może temperatura się nie zgadzała.

Idyllę zakończył Tom. Co za niespodzianka.

Padł na mnie cień i gdyby nie to, że zapięcie od góry kostiumu miałam otwarte, zerwałabym się na równe nogi. W tym wypadku najpierw zajęłam się biustonoszem, a potem odwróciłam się powoli, wiedząc już, kogo mogę się spodziewać.

Ponad dwa metry żywych mięśni, opalenizna jak z katalogu i szeroki uśmiech ukazujący idealnie białe, proste zęby – mój szef w całej swojej okazałości.

– Tom, do cholery, szanuj moją prywatność! Jakim cudem się tu w ogóle dostałeś? – Nawet nie próbowałam ukryć rozdrażnienia.

– Ma się swoje sposoby. – Mówił tak zawsze, gdy chciał się wykręcić od udzielenia odpowiedzi, co zdarzało się na tyle często, że zaczynało działać mi na nerwy.

Błądził wzrokiem po moim obnażonym ciele, szczerząc przy tym zęby w idealnym uśmiechu.

– Pracujesz nad opalenizną, Malice?

– Jak na to wpadłeś, geniuszu? Nie gap się!

Tom uniósł ręce w obronnym geście.

– Już przestaję.

– To może odwróć głowę?

Westchnął, ale spełnił polecenie. Przez jego wtargnięcie obudził się Shady. Wstał teraz, przeciągnął się i podreptał do Toma. Zaczął ocierać się o jego nogi, na co tamten nie pozostał długo obojętny, schylił się i zaczął drapać go za uszami.

Zdrajca. Ten kot nie znosił nikogo poza mną, na wszystkich obcych parskał i syczał jak szalony, pokazując im swoje długie, ostre pazurki. Toma jednak zdawał się tolerować, a wręcz – o zgrozo! – lubić. Zapewne miało to jakiś związek z tym, że był przy mnie, gdy znalazłam dziką kotkę z dwójką małych. Jednym z nich był właśnie Shady. W zasadzie od tego kota zaczęła się cała nasza współpraca. Wystarczyło kilka miesięcy, żeby skończyły mi się pieniądze po tym, jak wyleciałam z Akademii Magii. Zaczęłam szukać łatwego źródła zarobku, co doprowadziło mnie do gry w pokera. Na jednej z partyjek poznałam Toma... i opowiadanie o krwiożerczym alpie, który okazał się zwykłą, głodną kotką.

Bez względu na tę wspólną historię, irytował mnie brak lojalności Shady'ego. Kot zdawał się wyczuwać mój nastrój, bo odwrócił głowę w moim kierunku i posłał mi spojrzenie, które zdawało się mówić: „Nie martw się, ciebie i tak kocham najbardziej”.

– Zdrajca – szepnęłam w jego kierunku, na co prychnął i z powrotem odwrócił się w stronę Toma.

– Możemy pogadać? – spytał grzecznie mój pracodawca, odgarniając z twarzy długi, jasny kosmyk.

– Pytasz, jakbym miała wybór. Co cię do mnie sprowadza? – zapytałam, nie siląc się specjalnie na uprzejmość. W końcu zakłócał mój spokój. To prawda, był moim szefem, gościem, od którego dostawałam zlecenia, który przelewał pieniądze na moje konto, ale wszystko miało swoje granice. Nie mógł tak po prostu przeszkodzić mi i spodziewać się jeszcze uprzejmego traktowania. Nie w moim przypadku.

– Mam dla ciebie coś wielkiego, naprawdę wielkiego. Zadanie, które chcę ci powierzyć, będzie wymagało od ciebie wielkiej odpowiedzialności, poprzednie były jedynie rozgrzewką.

Tu mnie miał. Spojrzałam na niego z zainteresowaniem i poprawiłam się na ręczniku. Tom kuczał obok, ciągle głaszcząc mojego kota. Nie zaproponowałam mu, żeby usiadł, zresztą i tak by się nie zmieścił, jeśli mielibyśmy zachować odpowiedni odstęp. Naruszył już moją prywatność, nie miałam zamiaru oddać mu ani milimetra przestrzeni osobistej.

Uniosłam brwi i czekałam na więcej szczegółów. Tom błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

– Malice, co się z tobą dzieje? Nie zadałaś jeszcze najważniejszego pytania.

– Masz rację. – Wiedziałam, że mnie podpuszcza, ale to rzeczywiście było pytanie największej wagi. – Ile?

– Pięćdziesiąt tysięcy.

O mało nie zachłysnęłam się colą, którą właśnie podniosłam do ust.

– To naprawdę musi być coś wielkiego, przecież to...

– Tyle, ile zarobiłabyś przez pół roku, a nawet więcej, zgadza się.

Tom wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego, wyraźnie miał uciechę, obserwując, jak wielkie wrażenie zrobiła na mnie jego rewelacja.

– Gdzie jest haczyk? – spytałam, bo nie ulegało wątpliwości, że gdzieś tu czaiła się jakaś wielka, paskudna pułapka.

– Nie ukrywam, to zadanie jest o wiele trudniejsze i będzie wiązało się z większym nakładem czasu niż poprzednie. Będziesz musiała wykazać się wieloma umiejętnościami...

– Szczegół, szczegóły – przerwałam mu. – To, co mówisz, brzmi zbyt ogólnikowo.

– Cierpliwości, Malice. Zmierzam do sedna – uspokoił mnie.

Shady wreszcie znudził się jego pieścizotami, zakręcił się wokół własnej osi, przydreptał do mnie i zajął miejsce tuż obok. Jedyne słuszne. Tom obserwował go, po czym, najwyraźniej domyślając się, że nie zamierzam zaproponować mu ręcznika, westchnął i usiadł na trawie.

– Wiesz o zagięciach czasu i przestrzeni. – To nie było pytanie, użył tonu oznajmującego.

Zmarszczyłam brwi. Skąd brała się ta jego irytująca pewność? Od samego początku denerwowało mnie, że najwyraźniej wiele wie o mojej przeszłości. Na dzień dobry oznajmił, że nie jest dla niego tajemnicą mój pobyt w Akademii Magii, a nawet (czy raczej przede wszystkim) fakt, że zostałam z niej wydalona. Postanowiłam utrzyć mu nosa.

– O czym? – udałam zdziwienie.

– Malice, nie wygłupiaj się. Przecież wiesz.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – upierałam się.

Spojrzał na mnie z lekką irytacją, wyraz jego twarzy mówił: „Uwielbiasz wszystko utrudniać, prawda?”. Uśmiechnęłam się złośliwie. Owszem, uwielbiam.

Westchnął jakby go coś bolało i zaczął wyjaśniać.

– W niektórych miejscach, szczególnie w pobliżu wyjątkowo masywnych obiektów o dużej gęstości, występują zagięcia czasu i przestrzeni, zazwyczaj równoległe. Ujmując rzecz najprościej jak się da, zagięcia czasoprzestrzeni następują pod wpływem masy. Im większa masa w mniejszej przestrzeni, tym większe będzie zagięcie. Zazwyczaj wiążą się z występowaniem tak zwanych czarnych dziur. W kosmosie jest ich całkiem sporo, skąd jednak miałyby się wziąć na naszej planecie? Jak wiesz z lekcji historii magii – *czyli prawie na pewno nie*

wiem – na przestrzeni wieków doszło do wielu wojen między przedstawicielami różnych ludów i ras. Zużycie magii w czasie niektórych bitew było tak ogromne, że powodowało powstawanie właśnie takiej magicznej czarnej dziury, a co za tym idzie, zagięcia czasu i przestrzeni. – Spojrzał na mnie jasnymi, niebieskimi oczami. – Mam nadzieję, że zrozumiałaś.

Skinęłam głową. To wytłumaczenie nie było zbyt skomplikowane, mój kompletnie niezainteresowany fizyką umysł był w stanie je pojąć.

– Teraz, skoro już wytłumaczyłem ci te pojęcia, możemy przejść do tego, co nas interesuje. – Zacerpnął tchu, a ja poczułam się zaintrygowana. Konkrety, wreszcie usłyszę konkrety. – W niektórych miejscach, gdzie zagięcia występują w bezpośrednim sąsiedztwie, możliwe jest przejście do innego wymiaru.

– Innego wymiaru? – powtórzyłam z niedowierzaniem. Co prawda o tym czytałam, ale co innego zobaczyć coś na kartkach papieru, a co innego ujrzeć na własne oczy.

– Nie sądziłaś chyba, że nasz wymiar jest jedynym istniejącym? Te kilka lat w Akademii Magii sprawiły, że masz, a raczej powinnaś mieć, szersze horyzonty niż większość ludzi. Nie patrz na mnie z niedowierzaniem. Inne wymiary istnieją – powiedział to z całkowitą pewnością.

– Udowodnij – zażądałam. – Może i wyjdę na niewiernego Tomasza, ale dopóki nie zobaczę tego na własne oczy, nie uwierzę ci na słowo.

Tom uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Moja droga, przestań przerywać, a dowiesz się wszystkiego prędkiej. Właśnie do tego zmierzałem. Otóż takie zjawiska występują niezwykle rzadko i bardzo ciężko je wyśledzić. Oczywiście gdy masz odpowiednie informacje, doświadczenie i motywację, staje się to możliwe.

Uniosłam brwi i spojrzałam na niego znad krawędzi okularów przeciwsłonecznych.

– I ty zapewne masz to wszystko?

Obdarzył mnie olśniewającym uśmiechem. Powoli zaczynał powodować u mnie odruch wymiotny.

– W przeciwnym razie po co bym ci o tym opowiadał? – Kolejny jego irytujący zwyczaj – uwielbiał odpowiadać pytaniem na pytanie. – Ale nie przedłużając, owszem wiem, gdzie znajduje się najbliższe takie przejście. – Zrobił pauzę.

Przewróciłam oczami.

– No już, wyduś to z siebie.

– Najbliższe przejście masz na swoim podwórku – powiedział efektownym tonem i spojrzał na mnie, czekając na reakcję.

Milczałam przez chwilę.

– Już? To jest ten moment, w którym powinnam zacząć się śmiać?

– Tak myślałem, że nie uwierzysz. Podnieś więc swój zgrabny, spocony tyłek i chodź za mną.

Ciekawość zwyciężyła nad niechęcią przed wykonaniem jego polecenia. Tom już wstał i wyciągnął ogromną rękę w moim kierunku. Jego gabaryty czasami mnie przerażały. Jak można być tak wielkim i tak umięśnionym?

Wstałam o własnym siłach i, ignorując jego cierpiętnicze westchnienie, posłusznie podreptałam w kierunku, który wskazał.

– Zaraz, czy ty prowadzisz mnie do mojej wygodki?

Kilka metrów za domem miałam bowiem wychodek, z którego korzystałam jedynie w sytuacjach awaryjnych. Droga do niego była oczywiście zarośnięta wysoką trawą. Tom zignorował moje pytanie, swoim zwyczajem zadając własne.

– Malice, słyszałaś o takim urządzeniu jak kosiarka?

– Nie – burknęłam.

– Założę się, że stoi w twojej szopie. Mam udzielić ci kilku lekcji obsługi?

– Zbytek łaski. Za to jeśli sam jej użyjesz, nie będę obrażona.

– Pomyślę nad tym – obiecał obłudnie.

– A teraz powiedz mi, po co prowadzisz mnie do wychodka? Czujesz potrzebę? Bo jeśli tak, nie mam zamiaru ci towarzyszyć.

Po raz kolejny tego dnia zobaczyłam idealne zęby Toma. Uch, ten widok zacznie mnie niedługo prześladować w koszmarach.

– Prowadzę cię do przejścia.

– Chcesz mi powiedzieć, że znajduje się w mojej wygodce?! – spytałam przerażona faktem, w jak wielkim niebezpieczeństwie byłam. Podczas gdy musiałam ulżyć potrzebie, mogłam przez przypadek znaleźć się w innym wymiarze! Nie chciałam sobie tego nawet wyobrażać. W jednej chwili siedzę sobie spokojnie na desce, a w drugiej ląduje z opuszczonymi gaciami nie wiadomo gdzie. Pokręciłam głową ze zgrozą. To straszne, jak blisko niebezpieczeństwa byłam, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Tom, najwyraźniej świadomy toku moich myśli, roześmiał się.

– Spokojnie, Malice, oddychaj. Przejście znajduje się za wygodką. Przy jego tylnej ścianie, jeśli chodzi o ścisłość.

Wpatrywałam się w drewnianą, obdrapaną ścianę mojego wychodka. Mimo woli zaczęłam zastanawiać się, czy Tom nie miał dziś nic lepszego do roboty i czy nie postanowił zrobić mi głupiego dowcipu? To miała być brama do innego wymiaru? Jakoś ciężko było mi uwierzyć.

– Mówię serio, Malice. Masz ochotę się przekonać?

Spojrzałam na swój skąpy, czerwony kostium i pokręciłam głową.

– Nieszczególnie.

– To będzie tylko chwila. Skoczmy tam i za sekundę wrócimy.

– Może innym razem.

– No dalej, Malice. Obiecuję, że w ciągu minuty będziemy tu z powrotem. Nie daj się prosić. Poza tym, jeżeli mam wyjawić ci, na czym polega twoje zadanie, musisz ze mną iść. – Chwycił mnie za rękę i próbował pociągnąć w stronę drewnianej ściany.

Strząsnęłam jego dłoń.

– Pójdę sama, nie potrzebuję, żebyś trzymał mnie za rączkę.

– Mój błąd. – Uniósł dłonie w górę. – Wybacz.

– Więc na czym to ma polegać? Mamy niczym Harry Potter iść w kierunku ściany i po prostu przejdziemy na drugą stronę?

– Niezupełnie. Znajdujemy się w świecie, w którym rządzi technika, by otworzyć przejście, trzeba wypowiedzieć odpowiednie zaklęcie – wymówił je powoli i wyraźnie. – Powtórz.

– *Erego pracepio aperni!*

– Musimy wypowiedzieć je razem i przejście się otworzy. Wtedy będziemy mogli przejść na drugą stronę, ale tylko my i nikt ani nic więcej. Jeśli chciałabyś zabrać ze sobą jakąkolwiek inną, żywą istotę, musiałabyś bezpośrednio jej dotykać.

– Łapię.

– Więc do dzieła.

Stojąc ramię w ramię, głośno i wyraźnie wypowiedzieliśmy zaklęcie. Przez chwilę nic się nie działo i już miałam naprawdę mocno walnąć Toma, kiedy kontury ściany zaczęły się rozmywać. Stawały się coraz bardziej niewyraźne, aż zamiast drewna ukazała nam się gładka, przejrzysta powierzchnia. Przywodziła mi na myśl lustro weneckie, przez które mogłam zaglądać na drugą stronę. Widziałam las, wydawać by się mogło na wyciągnięcie ręki ode mnie przebiegła niewielka, szara wiewiórka.

To było coś! Ale nadal mogła to być tylko iluzja...

– Ty pierwszy – rozkazałam tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Tom, nie oglądając się za siebie, zrobił wielki krok do przodu i... zobaczyłam go po przeciwnej stronie. Poruszył ustami, wydawało się, że mówi: „Teraz ty”, ale nie dobiegł mnie żaden dźwięk. Nie zastanawiając się dłużej, przekroczyłam ścianę własnego wychodka.

Stałam tuż obok Toma na suchej ściółce. Byliśmy w lesie, dla postronnych mogłoby to wyglądać tak, że wyszliśmy nagle z wielkiego, starego dębu. Na jego potężnym pniu mogłam obserwować swobodnie rosnącą trawę na moim podwórku. To było niesamowite.

– Widzisz, Malice? Powinnaś nauczyć się bardziej ufać moim słowom.

Spojrzałam na niego wilkiem. Jeszcze czego.

Poczułam gęsią skórę na ciele, objęłam się ramionami. Nagle mój skąpy strój okazał się niewystarczający, by uchronić mnie przed powietrzem, które w zacienionym lesie było o wiele chłodniejsze niż na rozgrzanym słońcem

podwórku.

Rozejrzałam się jeszcze dookoła. Znajdowaliśmy się w głuchym lesie. Jedyne, co mogłam dostrzec, to niekończące się rzędy drzew, kilka drobnych zwierzątek i roślinność typową dla lasów liściastych. Nad naszymi głowami śpiewały ptaki. Spojrzałam w górę, drzewa wyglądały na bardzo stare i były wysokie, co przypomniało mi o mojej pierwszej i ostatniej wycieczce do lasu otaczającego Akademię Magii.

Mało przyjemne wspomnienie.

– Wracamy? – zapytał Tom.

Skinęłam głową i tym razem pierwsza przekroczyłam granicę dwóch wymiarów. Znowu znalazłam się na swoim zapuszczonym podwórku. Poczułam na skórze przyjemny dotyk promieni słonecznych i po chwili gęsia skórka zniknęła.

– To było całkiem niezłe – powiedziałam do Toma, który wrócił chwilę po mnie. Wymamrotał kilka słów i przejście zniknęło. Znowu widziałam jedynie starą, drewnianą ścianę mojego wychodka.

– Robi wrażenie, prawda? – mówił tonem sprzedawcy zachwalającego swój towar. Miałam ochotę przewrócić oczami.

– A teraz może wreszcie przejdziesz do rzeczy? – spytałam. Mimo że to doświadczenie było całkiem interesujące, nie miałam całego dnia na sterczenie i słuchanie jego irytującego głosu.

– Jak się zapewne domyślasz, twoje zadanie będzie odbywało się w wymiarze, który właśnie ci pokazałem.

– Co? Nie mam mowy! Nic o nim nie wiem i nie mam zamiaru dać się pożreć bestiom, które zamieszkują ten las! Nawet za pięćdziesiąt tysięcy, wybac.

– Nic się nie martw, dam ci mapy i wszystko, czego będziesz potrzebowała. Nie myślałaś chyba, że puszcę cię do innego wymiaru bez uprzedniego wytłumaczenia co i jak?

Cóż, tak właśnie myślałam. Zlecenia Toma wyglądały tak, że podawał mi adres i czasem, ale nie zawsze, przyczynę zamieszania, a moje przygotowywania ograniczały się najczęściej do naszykowania broni, ewentualnie krótkiego researchu w internecie. Najczęściej jednak po prostu szłam na żywioł, jak mawiał mądry człowiek – jeśli coś ma się nie udać, nie uda się na pewno, więc po co tracić czas na przygotowania?

– Zanim wyruszysz, odbędziemy kilka lekcji. – Wzdrygnęłam się na sam dźwięk tego słowa. Choć od mojego przymusowego zakończenia nauki w Akademii Magii minęło już trochę czasu, ciągle budziło we mnie negatywne skojarzenia. – Przekażę ci całą moją wiedzę.

– Więcej czasu w twoim towarzystwie, świetnie. Widzisz tę radość na mojej twarzy? – Rzuciłam mu ponure spojrzenie.

– Nie będzie tak źle. – Mrugnął, po raz kolejny oślepiając mnie swoim

idealnym uśmiechem.

– Będzie jeszcze gorzej.

Założyłam wreszcie coś, co okrywało mnie w większym stopniu niż skąpe bikini. Spojrzenie Toma zbyt często wędrowało z mojej twarzy w dół. Jak chciał popatrzeć, powinien kupić sobie gazetę, nie miałam zamiaru dostarczać mu darmowej rozrywki.

Odziana w koszulkę na ramiączkach i szorty wyszłam z domu, niosąc dwie wysokie szklanki wypełnione colą i lodem. Sobie wzięłam jeszcze słomkę. Podałam jedną Tomowi, po czym usiadłam na drewnianej werandzie, schodek wyżej. Nasze oczy znajdowały się wtedy mniej więcej na tym samym poziomie.

Upił spory łyk i odstawił szklankę.

– Znasz teorię równoległych wszechświatów? – zapytał.

Posłałam mu spojrzenie spod uniesionych brwi.

– No tak, nie znasz. Naprawdę, powinnaś bardziej uważać na zajęciach. – Pokręcił głową z dezaprobatą. Kim on był, moją ciotką? – Wszechświat jest nieskończony – zaczął wyjaśniać, tym razem nie tracąc czasu na upewnianie się, że rzeczywiście nic o tym nie wiem. – Może pomieścić nieograniczoną ilość możliwości i za każdym razem, gdy zaistnieje jakaś nowa, fizyczna alternatywa, dzieli się w taki sposób, że w każdym z jego odłamów przebiega alternatywna wersja danego zdarzenia. Inne wymiary powstały w ten sposób, że pewne rzeczy poszły w nich w inną stronę. Niekiedy pozornie niewielkie różnice między pewnymi wyjściami z sytuacji spowodowały, że ich obranie skutkowało zupełnie inną drogą rozwoju. I tak każdy wymiar różni się od siebie, choć na pierwszy rzut oka mogą wyglądać podobnie. Ten, do którego zamierzam cię wysłać, może wydać ci się relatywnie analogiczny.

– Hej, a ma jakąś nazwę? – spytałam z ciekawością.

– Owszem, nazywa się Elegestia. Kilkanaście wieków temu drogi Elegestii i Ziemi się rozeszły. Nie będę zanudzał cię szczegółowym wytłumaczeniem, jak do tego doszło, nas interesują tylko konsekwencje. W tamtym świecie nie ma techniki – jest magia.

– W takim razie może się tam przeprowadzę?

Minęły już prawie dwa lata, odkąd wyrzucili mnie z Akademii Magii. Nie miałam pełnego magicznego wykształcenia, więc nie mogłam znaleźć żadnej pracy w społeczności czarodziejów, jednocześnie moja ludzka edukacja została zaniechana tak dawno temu, że nie mogłam też liczyć na żadną godną pracę u ludzi. To było frustrujące. Gdybym przeniosła się na stałe do Elegestii, nie musiałabym dłużej martwić się takimi rzeczami. Miałabym wreszcie magię na wyciągnięcie ręki. Codziennie musiałam rezygnować z niej na rzecz techniki.

Ograniczałam się do najprostszych i najbardziej potrzebnych zaklęć, od niepamiętnych czasów nie rzucałam już żadnego poważnego uroku, styczeńność z magią miałam jedynie wtedy, gdy dostawałam od Toma jakieś porządne zlecenie. Czyli rzadko.

– Wiem, że wydaje ci się to niezwykle kuszące, ale tamten świat nie jest bynajmniej idealny. Od wielu dziesięcioleci pustoszy go wojna.

– Więc chcesz wysłać mnie do wymiaru, w którym toczy się wojna? – spytałam z niedowierzaniem. Pięćdziesiąt tysięcy to dużo pieniędzy, ale wszystko ma swoje granice.

– Tak, i to z nie byle jakim zadaniem.

– Wreszcie przechodzimy do meritum. Zazwyczaj nie zajmuje ci to tyle czasu – powiedziałam złośliwie.

Zignorował mój przytyk.

– Jak powiedziałem na samym początku, to zadanie jest niezwykle odpowiedzialne i o wiele bardziej skomplikowane od tych, które dawałem ci do tej pory. Będziesz musiała wykazać się wszystkimi swoimi umiejętnościami. To jedno z tych zadań, o których mówiłem, gdy proponowałem ci współpracę. Twoje życie może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Ba, twoje życie przez cały czas będzie w niebezpieczeństwie. Stąd tak wysoka stawka.

– I to miało mnie zachęcić? – Może i potrzebowałam pieniędzy, ale nie byłam zdesperowana. Pewnie, że pięćdziesiąt kawałków drogą nie chodzi, jednak bardziej niż narażać życie wolałam leżeć razem z Shadym na słońcu i popijać colę. Choćby to miał być mój jedyny posiłek.

– Malice, wiem o czym myślisz, ale pamiętasz ostatnią akcję, którą zawałaś? Masz teraz doskonałą i prawdopodobnie jedyną szansę, by się zrehabilitować. Jeśli nie weźmiesz tego zadania, innych może już nie być.

– Wiesz, że to brzmi jak szantaż?

– Przykro mi, ale takie są realia. Ja też nie jestem szefem w tej grze, mam nad sobą ludzi. Jeśli oni postanowią, że nie dostaniesz kolejnej szansy, to jej nie dostaniesz.

– W takim razie muszę negocjować tę stawkę. Pięćdziesiąt tysięcy za zadanie, przez które moje życie będzie w stanie ciągłego zagrożenia? Wybacz, ale to za mało.

Tom uśmiechnął się niemalże z radością.

– Wiedziałem, że tak powiesz. Wrócimy do tego, gdy ci już wszystko wyjaśnię.

Skinęłam głową na znak zgody.

– A więc do dzieła, kowboju. Wyduś to wreszcie. Co to za supertrudne zadanie? – Miałam dość ciągłych uników i zwlekania.

– Mówiłem, że Elegestia jest w stanie wojny. Ty musisz odnaleźć

przywódczynię obozu magów i przekazać jej pewną rzecz.

– Jaką rzecz?

– To już nie jest twoim zmartwieniem. Moi zwierzchnicy chcą, byś do niej dotarła i to jest twoim zadaniem. – Wyraz twarzy Toma był nieprzenikniony.

– Czekał, czekał. Więc jest wojna. Walczą magowie. Ale z kim?

– Czy to nie oczywiste? Kto jest odwiecznym wrogiem magów?

Popatrzyłam na niego bez wyrazu.

– Magowie mają odwiecznych wrogów?

Tom wyglądał, jakby miał ochotę złapać się za głowę.

– Malice! Czy ty naprawdę kompletnie nic nie uważałaś na wykładach z historii magii?

Wzruszyłam ramionami. Rzadko w ogóle na nie chodziłam, a jeśli przyciśnięta do muru musiałam, zazwyczaj spałam słodko przez dwie godziny.

– Smoki, Malice, smoki. Nie wierzę, że nigdy o tym nie słyszałaś.

– Och, słyszałam. Swego czasu, kiedy jeszcze nie wiedziałam o magii, lubiłam czytać o smokach. Przyznam ci się nawet, że wizja wielkiej, ziejącej ogniem jaszczurki trochę mnie niepokoiła.

– I słusznie. Smoki to paskudne potwory, które od wieków wykradają dzieci magów i używają ich niczym klaczy rozplodowych, by przedłużyć istnienie swojego gatunku! – Jego twarz wykrzywiła nienawiść, której zupełnie nie potrafiłam zrozumieć. – Pewne rzeczy są w nas głęboko zakorzenione, Malice. Nawet jeśli nie wiedziałaś o magii, niechęć do smoków była twoim dziedzictwem.

Nie chciałam wyprowadzać go z błędu. To nie tak, że czułam do nich jakąś niechęć. Byłam dzieckiem, a moja wyobraźnia działała lepiej, niż powinna. Nic dziwnego, że czytając o wielkim jaszczurze, który zmieniał w popiół dzielnych rycerzy, czułam niepokój, tym bardziej że nie mogłam liczyć na rodziców – nigdy nie biegałam do ich pokoju, by szukać u nich ochrony przed obrazami, które pojawiały się w mojej głowie. Potem, kiedy czarne charaktery zaczęły mi się podobać, nawet na krótko je polubiłam. Ale szybko wyrosłam z takich książek, przerzuciłam się na inny rodzaj literatury i nigdy do tego nie wróciłam. Na studiach smoki były dla mnie jedynie stworzeniami z kart starych magicznych ksiąg. Papierowe i jednowymiarowe stworzenia, nie budzące we mnie kompletnie żadnych emocji. Może nawet istniały kiedyś, dawno temu, ale nie było żadnych szans, by pojawiły się nagle w *moim* świecie, dlatego nie zwracałam sobie nimi głowy.

– No dobrze – powiedziałam, odchodząc od tego tematu – więc mam odnaleźć przywódczynię magów. Powinnam biegać po całej Elegestii, pytając każdego, czy przypadkiem jej nie widział, czy masz dla mnie jakiś ambitniejszy plan?

– To byłoby co najmniej nieostrożne, jeśli nie głupie. Mam dla ciebie mapy.

– Wyjął nagle nie wiadomo skąd dwa poźółkłe zwoje.

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

– Miałeś je przy sobie cały czas?

Nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się bezczelnie. Rozwinął rulon, który wyglądał na starszy, i rozłożył na schodach. Wskazał palcem na miejsce znajdujące się pośrodku ogromnego lasu, który nosił nazwę „dziwnego”.

– Tu właśnie znajduje się przejście – powiedział, stukając palcem w mapę.

– Skąd wzięła się nazwa Dziwny Las?

– A skąd wzięło się twoje imię[1]? Dziwne rzeczy się tam dzieją.

– Przynajmniej tyle, że nie niebezpieczne.

– Jedno nie wyklucza drugiego – powiedział wesoło.

– Świetnie. Mam szukać przywódczyni w tym lesie? – spytałam, wskazując na mapę.

– Nie. – Stuknął palcem w punkt na drugim końcu. – Masz jej szukać w tym miejscu.

Pochyliłam się i odczytałam niewielki napis.

– Warownia O'ren? Czy to nie jest zbyt oczywiste?

– Nigdy nie mówiłem, że się ukrywa. Jeśli tylko uda ci się tam dotrzeć, to będzie koniec twojego zadania.

– W jakiej skali jest ta mapa?

– Jeden do stu tysięcy.

– Jaja sobie robisz?! Przecież to by wychodziło... – liczyłam chwilę w myślach – dobre pięćset kilometrów!

– Dokładnie pięćset dwadzieścia osiem – podsunął usłużnie.

– I pewnie nie mogę zabrać ze sobą Kawasaki?

Miałam w szopie piękne, zielone Kawasaki Ninja. Kupiłam je jakiś czas temu i od tamtej pory nie uznawałam innych środków transportu. Było moim oczkiem w głowie, dosłownie zakochałam się w tej maszynie.

Tom spojrzał na mnie krzywo.

– Miejscowi uznaliby cię za coś w rodzaju czarownicy.

– W świecie magii i czarów? No co ty? Poza tym, tak jakby nią jestem – powiedziałam ze złością.

– Tak jakby nie do końca. – Odbił piłeczkę. Najwyraźniej pił do mojego wydalenia z Akademii. Bezczelny. – Nie możesz zabrać ze sobą niczego, co ma jakikolwiek związek z techniką.

– Ale szczoteczki do zębów już tam chyba wynaleźli? – spytałam autentycznie zainteresowana.

– Używają magii do mycia zębów.

– Chcesz przez to powiedzieć, że wszyscy mają tam zdolności magiczne?

Tom wyglądał na zmieszanego.

– Oczywiście, że nie. Musisz zrozumieć jedną rzecz. Drogi Elegestii i naszego świata rozeszły się setki lat temu. My ewoluowaliśmy, rzeczywistość, w której żyjemy, w niczym nie przypomina tej, w której żyli nasi przodkowie. Elegestia zatrzymała się na pewnym etapie rozwoju. Oni nigdy nie wynaleźli techniki. Co za tym idzie, nigdy nie ewoluował ich ustrój – czy raczej jego brak. Tam nadal rządzi prawo silniejszego. Magowie i smoki stanowią zaledwie kilka procent całej populacji Elegestii, jednak trzęsą całą masą wieśniaków, którzy nie mają za grosz talentu magicznego. Ludzie żyją sobie w miarę spokojnie, dopóki regularnie płacą podatki nakładane na nich przez magów bądź przez smoki – w zależności od strefy wpływów, w której się znajdują.

– I nie buntują się?

– Nie mogą.

– W takim razie mają przesrane.

Tom wzruszył ramionami.

– Urodzili się tam, gdzie się urodzili i muszą z tym żyć. Ale nie będę rozwodził się nad polityką, nie uważam się za eksperta w tej sprawie. Mam coś dla ciebie – powiedział i znowu nie wiadomo skąd wydobyl dwie stare, grube księgi.

– *Historia Elegestii i Wojna ze smokami?*

– Koniecznie musisz przeczytać. Odpowiedzą na wszystkie twoje pytania.

Skrzywiłam się.

– Nie jestem aż tak ciekawa. – Lubiłam, wręcz kochałam czytać, ale coś takiego było ponad moje możliwości. Nienawidziłam historii, przysypiałam nad każdą książką, która traktowała o nudnych, odległych i nic dla mnie nie znaczących wydarzeniach.

– Nie musisz być ciekawa, te książki mają zapewnić ci podstawową wiedzę o świecie, w którym się znajdziesz. Daję ci kilka dni na przygotowanie się, w piątek podrzucę ci to, co masz dostarczyć i będziesz mogła ruszać – powiedział, po czym zaczął się podnosić.

– Hola, kowboju – usadziłam go z powrotem. – Nie zrobię tego za pięćdziesiąt tysięcy.

– Wiedziałem, że nie zapomnisz, ale i tak miałem ochotę spróbować. – Wyszczерzył się. – Ile?

– Sto – rzuciłam tonem, który mówił: „Albo tyle, albo nie będzie współpracy”.

– W porządku.

– Co?

Byłam autentycznie zdziwiona. Spodziewałam się ostrego targowania.

– Dostaniesz sto tysięcy.

– A co z twoimi zwierchnikami? – wołałam się upewnić.

Oślepił mnie szeroki uśmiechem.

– Przeznaczyli na to dokładnie sto tysięcy, specjalnie zacząłem od pięćdziesięciu.

Spojrzałam na niego oburzona. Taki z niego cwaniak?

– Poczekaj, jeszcze jedno pytanie.

Współpracowałam z Tomem półtorej roku. Odnalazł mnie niedługo po tym, jak wyleciałam z Akademii i próbowałam zarabiać pieniądze, oszukując w karty. Zaproponował mi wtedy zatrudnienie, miałam być kimś w rodzaju najemniczki, zajmować się wyciszaniem różnych magicznych zdarzeń, likwidacją potworów i innymi rzeczami w tym stylu. Przez cały ten okres nigdy nie widziałam nikogo, kto wykonywałby podobne zadania, miałam kontakt jedynie z Tomem i ograniczał się on do tego, że wpadał do mnie z różną częstotliwością, niekiedy kilka razy w miesiącu, czasem rzadziej, podawał adres, pod który miałam się udać, a po wykonaniu zadania przelewał mi pieniądze na konto. Pasował mi taki układ, ale teraz zaczęłam się zastanawiać. Skąd wiedział o mnie tyle rzeczy? Wspominał, że znał moją babcię i że to od niej dostał referencje, ale to musiało być dawno temu, bo babcia umarła, gdy miałam dwanaście lat. Skąd wiedział, co robiłam w Akademii? A teraz jeszcze te rewelacje o innych wymiarach, odwiecznej wojnie między magami a smokami i tajemniczy zwierzchnicy...

– Nie obiecuję, że będę mógł na nie odpowiedzieć, ale wal śmiało.

– Kim ty do cholery jesteś?

Wpatrywałam się uważnie w jego twarz, chcąc wyczytać z niej odpowiedź. Tom był spokojny, nie drgnął mu żaden mięsień.

– To właśnie jest pytanie, na które nie mogę udzielić ci odpowiedzi. Przynajmniej nie w tej chwili. Ale obiecuję, że dowiesz się wszystkiego, gdy skończysz tę misję.

Wiedziałałam, że nie zamierza powiedzieć ani słowa więcej, więc nie drążyłam tematu. Zdażyłam już zauważyć, że kiedy nie chciał czegoś wyjawić, żadna siła nie mogła go do tego zmusić.

Podniósł ze schodów swoje olbrzymie ciało.

– Spodziewaj się mnie w piątek.

Skinęłam mu głową na pożegnanie, a potem patrzyłam, jak odchodzi. Z wysokiej trawy wyszedł Shady, podszedł leniwie do schodów, kołysząc ogonem i usiadł obok. Wpatrywał się we mnie swoimi wielkimi, inteligentnymi ślepiami.

– Wiem, wiem, ale sto tysięcy, Shady. To kupa kasy.

Kot nie wyglądał na przekonanego.

– Jadłbyś ryby i śmietankę do końca życia – kusiłam, drapiąc go za uszami. Zamiauczał głośno. – Zaczynam cię przekonywać? – Miauknął po raz kolejny.

Skoro Shady zdawał się zaaprobować to zadanie, nie pozostało mi nic innego, jak się do niego przygotować. Wstałam ze schodów, zabrałam książki oraz mapy, które zostawił Tom, i poszłam nakarmić pupila.

[1] Malice znaczy dosłownie „złośliwość” – przyp. aut.

ROZDZIAŁ 2

Słońce wreszcie zaszło, pozwalając na chwilę wytchnienia. Przyjemny wiaterek owiewał moje rozgrzane ciało, gdy zasiadłam wieczorem na werandzie. Zająłam miejsce w moim ulubionym wiklinowym fotelu i rozłożyłam sobie na kolanach jedną z map, które zostawił mi Tom. Prześledziłam uważnie ten fragment, na którym znajdowała się trasa mojej wędrówki. Będę musiała poświęcić przynajmniej kilka dni na wyjście z lasu. Na moje nieszczęście przejście znajdowało się w samym środku. Dziwny Las. Nie brzmiało to zbyt zachęcająco. Właściwie było nawet bardziej przerażające niż Straszny Las. Ciężko zdefiniować pojęcie dziwności. Nie wiedziałam, czego się spodziewać i skutecznie psuło mi to humor. Chyba nikt nie lubił niepewności, a ja nie należałam w tym wypadku do wyjątków.

Potem, gdy uda mi się opuścić las, nie zostawszy uprzednio skonsumowanym przez jakieś dzikie zwierzę, będzie mnie czekało kilkanaście dni wędrówki traktem. Skoro w Elegestii toczyła się wojna, mogłam spodziewać się, że droga bynajmniej nie będzie należała do najspokojniejszych. Przypomniałam sobie słowa Toma o tym, że moje życie będzie w nieustannym zagrożeniu. Uśmiechnęłam się na myśl o spotkaniu zbójów. Nawet przez chwilę nie miałam wątpliwości, kto by uciekał. Do perfekcji opanowałam defensywne zaklęcia, rzucałam sztyletami z zabójczą celnością, a jeśli doszłoby do walki wręcz... nie posiadałabym się z radości. Ciekawa byłam, czy w Elegestii znali techniki walki. Boks, który trenowałam od dziecka, nie należał może do najsubtelniejszych, ale nigdy nie zależało mi na subtelności. Liczył się efekt, a taki w postaci leżącego u moich stóp faceta ze złamanym nosem, dwukrotnie przewyższającego mnie wagą i rozmiarami, niezmiennie sprawiał mi ogromną przyjemność. Złamałam w swoim życiu niezliczoną ilość nosów, ale zawsze byłam gotowa i chętna na łamanie kolejnych. Od dłuższego czasu brakowało mi okazji, ćwiczenia pod okiem trenera to zdecydowanie nie to samo, co prawdziwy ferwor walki, dlatego poczułam lekkie podniecenie na myśl o nowym zadaniu. Co prawda nigdy jeszcze wykonanie zlecenia Toma nie zajęło mi więcej niż kilka dni, ale dla stu tysięcy byłam gotowa zaryzykować nawet własne życie. Trochę nie podobała mi się jego gadka o odpowiedzialności i zwiększonym poziomie trudności. Tom nie należał do tych, którzy mają skłonności do koloryzowania czy wyolbrzymiania.

No właśnie, Tom. Nigdy nie myślałam, że ma jakichś tajemniczych zwierzchników. Właściwie to nigdy nie poświęcałam mu zbyt wielu myśli, jeśli tylko szybko wykonywał przelewy. Opóźnienia raczej mu się nie zdarzały. Tom zawsze po prostu był. Poza tym jednym razem, gdy wspomniał o babci, nie dał mi nigdy żadnych powodów do podejrzeń. Po naszej ostatniej rozmowie zaczęłam się

jednak zastanawiać. Najwyraźniej nie był taki zwyczajny, jak mi się wydawało. Skąd wiedział o innych wymiarach, skąd w ogóle wiedział tak wiele o mnie? Nie podobało mi się to i postanowiłam, że dowiem się prawdy. Po wykonaniu tego zadania, jeżeli ciągle będzie unikał odpowiedzi, wydrę mu ją z gardła. Ja też potrafiłam być stanowcza. To, że do tej pory pozwalałam mu na półprawdy i uniki, wynikało z braku zainteresowania jego osobą. Teraz zaintrygował mnie do tego stopnia, że nie zamierzałam mu popuścić.

Wróciłam wzrokiem do mapy leżącej na moich kolanach. Ponad pięćset kilometrów to szmat drogi, nie miałam zamiaru pokonywać jej piechotą. Nie latałam na miotle, nie mogłam zabrać Kawasaki, miałam więc małą zagwozdkę. Po krótkim namyśle doszłam do wniosku, że konie nie powinny być w Elegestii niczym niezwykłym. Tylko skąd miałam wziąć konia? Kupić na eBayu?

Nie znałam się na koniach, umiałam ich jedynie dosiadać, a przynajmniej miałam nadzieję, że ciągle pamiętam, jak to się robi. Kiedy byłam małą dziewczynką, a rodzice wierzyli jeszcze, że mogą zrobić ze mnie małą księżniczkę, zapisali mnie na lekcje konnej jazdy. Chodziłam na nie przez jakiś czas bez specjalnego entuzjazmu, ale potem, kiedy zrozumieli, że nigdy nie będę idealną córeczką, przestali mnie do tego zmuszać.

Sięgnęłam ręką i podniosłam ze stolika moją Nokię 3310. Ludzie zazwyczaj wybałuszali oczy na jej widok, ale nic sobie nie robiłam z ich spojrzeń. Jakikolwiek dotykowy telefon, do granic możliwości naszpikowany techniką, zwariowałby zaraz w moim domu otoczonym przez magiczne zaklęcia. Wybór między magią a techniką nie był prosty, a jedno obok drugiego nie mogło działać należycie. Dlatego ograniczyłam do minimum używanie magii, by móc cieszyć się sprzętem stereo i wyposażyc kuchnię w niezbędną mi do życia mikrofalówkę, lodówkę, kuchenkę i inne tego rodzaju sprzęty. Utrzymywanie zaklęć pochłaniało sporo energii, łatwiej było, gdy urządzenia elektryczne robiły wszystko za ciebie. Na szczęście Nokia, którą dostałam od rodziców jeszcze w czasach, gdy chodziłam do zwykłej szkoły, była tak prosta, że mogła bez przeszkód działać w pobliżu najbardziej skomplikowanych zaklęć magicznych. Jednocześnie była niezniszczalna. Przeżyła już mnóstwo upadków i trzymała się świetnie. Mogłam zabrać ją do Elegestii, bo, choć zapewne nie było co liczyć, że będzie tam zasięg, z powodzeniem mogłaby posłużyć mi jako narzędzie do samoobrony. Cios w zęby tym telefonem równał się ich utracie. Wystukałam do Toma krótkiego SMS-a.

KUPISZ MI KONIA?

Po kilku chwilach otrzymałam odpowiedź.

KUPIĘ.

Mimo całej swojej irytującej postawy Tom był rzeczowy, czasem aż za bardzo, i to w nim ceniłam.

Miałam już więc załatwioną sprawę transportu. Obliczyłam sobie, że jeżeli

będę poruszała się na koniu, wyjście z lasu zajmie mi nie więcej niż dwa dni. Co prawda nawet perspektywa dwóch dni spędzonych w Dziwnym Lesie mi się nie uśmiechała, zawsze jednak było to lepsze niż tydzień. Zakładając, że nie napotkam po drodze żadnych większych przeszkód, mogłabym dotrzeć do Warowni O'ren w nieco ponad dziesięć dni.

Pogłaskałam Shady'ego, który wskoczył mi na kolana, zrzucając z nich mapę.

– Dziesięć dni to wcale nie tak dużo, prawda?

Zamruczał w odpowiedzi, wbijając mi pazury w nogę. Nie miałam nic przeciwko takim praktykom, gdy byłam ubrana w długie spodnie, ale na gołą skórę nie było to przyjemne. Pacnęłam go w ucho, przywołując do porządku. Posłusznie schował pazurki i machnął ogonem, uderzając mnie w twarz.

– Niedobry kot – powiedziałam, ale w moim głosie nie było złości.

Sięgnęłam po jedną z książek, które zostawił Tom. Otworzyłam *Historię Elegestii* na stronie tytułowej i zapatrzyłam się w wyblakły tytuł.

Wprost biło od niej nudą. Przemogłam się i postanowiłam mimo wszystko dać jej szansę. Przewróciłam stronę i zaczęłam czytać wstęp. Nie dałam rady skończyć nawet pierwszego akapitu. Był wręcz porażająco nudny. Kochałam czytać książki, ale nie pełne suchych, historycznych faktów. Takie zawsze mnie odstraszały. Odłożyłam ją z nadzieją, że *Wojna ze smokami* okaże się ciekawsza. Niestety, moje nadzieje okazały się płonne. Zatrzasnęłam ją po przeczytaniu kilku stron. Nienawiść, która wprost z niej emanowała, powodowała, że domyślałam się, iż napisał ją jakiś nienawidzący smoków mag. Nie byłam magiem w pełnym tego słowa znaczeniu, nie potrafiłam więc utożsamiać się z tymi, których dzieci zostały porwane przez smoki. Same smoki również nie budziły we mnie żadnych uczuć. Nie spotkałam nigdy żadnego, dlatego nie miałam o nich zdania. Po prostu sobie istniały gdzieś w innym wymiarze i dopóki nie wejdą mi w drogę, pozostaną mi obojętne.

To było pierwsze zadanie, które wymagało ode mnie prawdziwego i porządnego planowania. Zabrałam się za nie może nie z entuzjazmem, ale z czymś w rodzaju zapалу. Pierwszą rzeczą, jaką spakowałam na podróż, była broń. Zawsze od tego zaczynałam. Wybrałam standardową ilość sztyletów i długo myślałam, czy powinnam wziąć ze sobą miecz, który podarowała mi babcia. Po tym, jak wyrzucono mnie z Akademii, adwokat naszej rodziny, załatwiający sprawy związane ze spadkiem, który zostawili mi rodzice, po tym jak zginęli w wypadku, zaskoczył mnie również podarunkiem od babci. Babcia była jedyną osobą w rodzinie, z której zdaniem się liczyłam. Moi rodzice, choć niewątpliwie dobrzy ludzie, byli słabi. Kochali siebie, mnie już nie potrafili. Babcia, choć nie widywałam jej zbyt często, wywarła na mnie wielki wpływ. Kiedy umarła, miałam zaledwie dwanaście lat i byłam tym faktem bardzo niepokieszona. Jedyne z jej

strony mogłam liczyć na zrozumienie, po jej śmierci zostałam sama. Miecz i sztylety, które przekazał mi adwokat, sprawiły, że zaczęłam głębiej zastanawiać się nad jej przeszłością. Nigdy nie dawała mi do zrozumienia, że wie o magii, ale mój talent był wtedy jeszcze uspijony, sama nie miałam o niej najmniejszego pojęcia. Czasem zdarzały mi się dziwne rzeczy, ale nigdy nie przypisywałam tego magii.

Broń, którą otrzymałam w spadku, spowodowała, że spojrzałam na nią inaczej. Zawsze wiedziałam, że była niezwykłą kobietą, z perspektywy czasu rozumiałam, jak bardzo niezwykłą. Poświęciłam wiele godzin na ćwiczenia i rzucałam sztyletami z dużą celnością, moje trafienia były zabójcze. Miecz, po tym jak schowałam go pod łóżkiem, wyjmowałam niezbyt często. Czasem zabierałam go ze sobą, gdy wykonywałam zlecenia Toma, ale nigdy nie nauczyłam się go skutecznie używać. Byłam zwyczajnym beztalenciem, jeśli chodziło o walkę bronią białą. Mogłam rzucać sztyletami, ale miecz mnie przerastał. Niezwykłe ostro i niewątpliwie naznaczony magicznymi zaklęciami powodował, że bałam się o własne kończyny. Od biedy potrafiłam ugodzić nieruchomego przeciwnika. Długo wahałam się, czy go ze sobą zabierać. Dwa podarowane mi przez babcię sztylety zamierzałam przytroczyć do pasa i używać tylko, gdy skończy mi się zapas tych kupionych w internetowym sklepie z bronią. W stosunku do miecza miałam wątpliwości. Bardziej by mi zawadzał, niż faktycznie pomagał. Jego ciężar na plecach był dla mnie niewygodny i zdecydowanie wolałam, gdy spoczywał pod łóżkiem. Ale to był prezent od babci, jedyne, co mi po niej zostało. Miałam opuścić dom na dłuższy czas, nie mogłam go zostawić. Postanowiłam, że mimo wszystko zabiorę go na wyprawę. Sam jego widok powinien odstraszać ewentualnych rozbójników.

Kolejną sprawą, którą musiałam się zająć, było jedzenie. Zakładałam, że gdzieś w okolicach traktu znajdą się jakieś karczmy czy tawerny, w których będę mogła zjeść godny posiłek i przespać się w wygodnym łóżku, ale w środku lasu nie mogłam na to liczyć. Nie wiedziałam, co jedzą w Elegestii, ale postanowiłam zabrać ze sobą to, co najłatwiej jest przyrządzić. Zupki chińskie. Wśród studentów krążył dowcip, że są najszybszą do zrobienia zupą. Nie znałam nikogo, kto nie jadłby ich przynajmniej kilka razy w tygodniu. Zawsze to prostsze niż gotowanie. Ze zdobyciem wody nie powinnam mieć większych problemów. W takim dużym lesie na pewno znajduje się niezliczona ilość krystalicznie czystych źródeł i strumyków. Po namyśle postanowiłam zabrać też kilka opakowań mleka w proszku, duże opakowanie sucharów i garść batonów. Tuż przed wyjazdem miałam zamiar zrobić mały wypad do spożywczego i kupić sobie jakiś chleb na drogę. Przez parę dni powinien być zjadliwy.

Wyciągnęłam ze spiżarni kilka konserw i zaczęłam przyglądać się napisom na puszkach. Wybrałam kilka ulubionych i ułożyłam je na stole obok całkiem już

pokażnej sterty wiktuałów.

Nie mogłam zapomnieć o najważniejszym. Wydobyłam z szuflady nieco już zakurzoną piersiówkę, umyłam ją w zlewie i przez chwilę zastanawiałam się, czym ją napęlnić. W końcu zrezygnowałam z rumu na rzecz czystej wódki – najbardziej uniwersalnego trunku. Niestety, moja piersiówka nie grzeszyła wielkością, a taka długa wyprawa wymagała sporej ilości alkoholu. Wydobyłam z kredensu półlitrową butelkę własnoręcznie przyrządzonego alkoholu. Zmieszałam spirytus z wodą w takich proporcjach, że wystarczyło kilka kieliszków, by odpaść z gry. Położyłam ją na stole obok jedzenia i doszłam do wniosku, że prowiant na drogę mam nie najgorszy.

Kolejne dni upływały mi na pakowaniu. Co rusz przychodziła mi do głowy kolejna niezbędna rzecz, którą koniecznie musiałam ze sobą zabrać. I tak naszykowałam sobie całą stertę różnego rodzaju kosmetyków w jednorazowych, plastikowych opakowaniach, kilka grubych, puchowych koców. Z tym miałam niewielki problem: zastanawiałam się, czy zabrać puchaty, uroczy koc w głębokim, kobaltowym odcieniu niebieskiego, czy ten szary i gruby. Trochę żal mi było tego błękitnego, ale za sto tysięcy mogłam sobie kupić takich całe mnóstwo. Ostatecznie wygrał pragmatyzm. Szary może i nie był uroczy, ale gruby i mniej rzucał się w oczy. Zwinęłam go w ciasny rulon i dodałam do sterty rzeczy, które miałam zabrać.

W następnej kolejności zabrałam się do kompletowania stroju. Wybrałam ciemne, obcisłe spodnie. Panowało akurat lato, ale w Elegestii był zdaje się łagodniejszy klimat. Zresztą, jazda na koniu w krótkich spodenkach nie była dobrym pomysłem. Wieczory i noce na pewno będą chłodne, wyjęłam więc też swoją skórzaną kurtkę, w której jeździłam Kawasaki. Wyciągnęłam jeszcze z szafy kilka ciepłych bluzek w niepozornych kolorach i skórzane botki, sięgające za kostkę. Mogłam włożyć do nich najkrótsze z moich sztyletów.

W czwartek wieczorem stanęłam przed nie lada problemem. Sterta rzeczy, które planowałam zabrać, osiągnęłam niepokojąco wielkie rozmiary i nie miałam pojęcia, w co to wszystko zapakować. Miałam nadzieję, że koń, którego przyprowadzi mi Tom, będzie silny. Mogłam przytroczyć torby do jego boków, ale rzeczy było tak wiele, że zajęłyby ich pięć, ja miałam do dyspozycji tylko dwie. Zaczęłam upychać wszystko, stosując taktykę jak największego oszczędzania miejsca. Sprawa była beznadziejna. Dwa worki to było po prostu zbyt mało. Myślałam przez chwilę, po czym rzuciłam na nie zakłęcie, które powiększało ich objętość, choć z wierzchu wyglądały tak samo. Udało mi się zapakować większość rzeczy, ale gdy próbowałam dźwignąć jeden z nich, pociągnął mnie za sobą na podłogę. Z takim ciężarem koń zapewne włókłby się z prędkością pięciu kilometrów na godzinę. Zastosowałam sprawdzony trik i rzuciłam zakłęcie, dzięki którym torby stały się o połowę lżejsze. Nadal z trudem, ale byłam już w stanie je

udźwignąć. Zataszczyłam je do przedpokoju i ustawiłam pod ścianą. Moim poczynaniom przyglądał się Shady. Śledził uważnie każdy mój ruch, ale kiedy patrzyłam w jego stronę, odwracał głowę. Najwyraźniej rozumiał, że jego nie zamierzam zabrać i był z tego powodu obrażony. Podeszłam do niego i wzięłam na rękę. Wykręcał się trochę, ale nie był w stanie oprzeć się pieszczocie. Mruczał rozkosznie, gdy drapałam go za uszami.

– Wróć, zanim się obejrzyysz – obiecałam. – Tom się tobą zaopiekuje, a jeśli będzie cię zanieczyścił, masz moje błogosławieństwo – możesz skoczyć mu do oczu.

Nie żartowałam. Jeśli wróciłabym i zastała Shady'ego zabiedzzonego, sama rzuciłabym mu się do oczu. Choć trochę za bardzo go rozpieściłam, Shady był dobrym towarzyszem i nie miałam zamiaru pozwolić, by ktoś go źle traktował. Tom jeszcze nigdy nie opiekował się nim dłużej niż kilka dni, bo też nie było takiej potrzeby. Lepiej dla niego, żeby podolał zadaniu.

Poszłam wziąć długi, gorący prysznic. Nie wiedziałam, jak w Elegestii stoją z bieżącą wodą, ale skoro nie było tam techniki, domyślałam się, że kiepsko. Długo stałam pod silnym, ciepłym strumieniem, świadoma, że w najbliższym czasie będę pozbawiona takich wygód. Niezmiennie pocieszałam się myślą o stu tysiącach. Gdybym wpłaciła część tej kasy do banku, a resztę zainwestowała, mogłabym nic nie robić przez dłuższy czas. Uśmiechnęłam się na tę myśl. Zdecydowanie była to przyjemna perspektywa.

Udałam się do łóżka i wzięłam do ręki książkę, którą zostawiłam na nocnym stoliku. Zanim Tom mi przerwał, czytałam *Ojca chrzestnego*. Zaczęłam kilka dni temu i nie przeczytałam wiele ponad sto stron. Jeśli chciałam się wyspać, nie było szans, żebym dziś skończyła książkę. Historia mafijnej rodziny wciągnęła mnie jednak do tego stopnia, że nie planowałam czekać nie wiadomo ile, żeby ją skończyć. Miałam zamiar zabrać ją ze sobą. Na pewno lepiej mi się będzie zasypiało przy akompaniamencie dobrej literatury. Koło północy zgasiałam wreszcie lampkę i zamknęłam oczy. Ostatnia noc we własnym łóżku. Musiałam się wyspać.

Po jedenastej obudził mnie dźwięk SMS-a. Przetarłam oczy i jeszcze nie do końca rozbudzona spojrzałam na czarno-biały ekran.

PRZYJDĘ O CZTERNASTEJ. BĄDŹ GOTOWA.

Popatrzyłam na zegarek. Pięc po jedenastej. Mogłabym jeszcze trochę pospać, ale teraz, już obudzona, nie byłam w stanie zasnąć ponownie. Zwlekłam się z łóżka, spychając przy okazji kota, który zaplątał się w skłębioną pościel. To był nasz rytuał. Shady nigdy nie należał do kotów, które budzą swoich właścicieli, domagając się jedzenia. Spał dłużej niż ja i niezmiennie był oburzony, gdy budziłam go w ten sposób. Nie przeszkadzało mu to jednak w tym, żeby codziennie

pakować się do mojego łóżka. Powędrowaliśmy razem do kuchni, gdzie najpierw napełniłam jego miseczki, a potem zajęłam się przygotowaniem porządnego śniadania. Nie miałam zbyt wiele czasu, musiałam jeszcze wyskoczyć do spożywczego. Włożyłam brudne naczynia do zmywarki, która niemalże w magiczny sposób wyczyściła je za mnie. Ubrałam się we wcześniej przygotowane ciuchy i wyszłam na dwór, ale szybko odkryłam, że nie było to zbyt mądrym posunięciem. Na zewnątrz nadal panowały nieznosne upały, przebrałam się więc błyskawicznie w szorty oraz luźny podkoszulek i pobiegłam do sklepu. Czas uciekał, a ja musiałam jeszcze zrobić małe zakupy.

Wracałam obciążona siatkami, nerwowo zerkając na zegarek. Musiałam z powrotem założyć swój poprzedni strój, dlatego, chcąc zaoszczędzić na czasie, już na werandzie zaczęłam zdejmować bluzkę.

– A co to? Zrobisz mi striptiz? – Usłyszałam głos Toma.

Dopiero teraz go zauważyłam. Szlag. Opuściłam bluzkę i spojrzałam na niego wilkiem.

– Poczekaj tu – rozkazałam. – Zaraz wrócę.

Weszłam do domu, szybko przełożyłam zakupy do jednej z toreb i zmieniłam strój. Umieściłam na plecach miecz babci, jej sztylety przytroczyłam do pasa. Pozostałe wsadziłam do skórzanych botków i w rękawy kurtki. Tak uzbrojona chwyciłam oba toboły i z trudem wyniosłam na werandę. Usłyszałam ciche rzenie. Tom trzymał za uzdę wielkiego, czarnego rumaka. Jego wzrok spoczął na chwilę na mieczu, który miałam na plecach. Rozszerzyły mu się źrenice, jakby zrobił na nim wrażenie, nic jednak nie powiedział.

Nie znałam się na koniach, ale ten, którego trzymał, miał szlachetny, pełen dostojęstwa wygląd i nie wątpiłam, że był rasowy. Gapiłam się na niego przez dłuższą chwilę.

– Czy to...?

– Poznaj Night – rzekł, klepiąc po pysku czarne zwierzę.

– Cześć, Night – powiedziałam, zbliżając się do konia. – Mam nadzieję, że jesteś *good*.

Tom uśmiechnął się na mój żarcik, a rumak zarżał cicho.

– Chyba mnie lubi. – Uśmiechnęłam się. – Skąd go wzięłeś?

– Go? Dlaczego sądzisz, że to on? – zapytał, swoim zwyczajem uśmiechając się beczelnie.

– To klacz?

– Owszem, klacz. W dodatku lubi być złośliwa, pomyślałam, że będzie do ciebie pasowała.

Prychnęłam i zajęłam się głaskaniem długiego, czarnego pyska.

– Jest piękna.

– Wiem. I kosztowała jedynie pięć tysięcy.

– Co? – krzyknęłam zdenerwowana, płosząc konia. – Jeszcze nie zarobiłam żadnych pieniędzy, a ty już mi je potrącasz? – oburzyło mnie to zagranie, choć było dokładnie w jego stylu.

Wzruszył ramionami, nic sobie nie robiąc z mojego oskarżycielskiego spojrzenia.

– Jeśli wolisz iść piechotą... – Pociągnął za uzdę Night.

– Nie. – Szybko odbierałam mu ramię.

Po raz kolejny wzruszył ramionami, choć na jego ustach błąkał się uśmiezek. Obrzucił wzrokiem toboły, które ustawiłam na werandzie.

– Co tam masz?

– Tylko niezbędne rzeczy – oznajmiłam, może odrobinę za szybko.

– Trochę tego dużo jak na same niezbędne rzeczy. Pokaż, co masz w środku.

– Żartujesz? – Nie miałam najmniejszego zamiaru pokazywać mu niczego.

– Muszę wiedzieć, czy nie zabrałaś nic, co wzbudziłoby niepotrzebną uwagę.

– A co, jesteś ekspertem w tej dziedzinie?

Nie odpowiedział, tylko ruszył w stronę schodów.

– Hola! Nigdzie nie będziesz zaglądał! Nie potrzebuję twojej opinii. Na wypadek gdybyś zapomniał, przypominam, że musiałam przeczytać nudną do granic możliwości *Historię Elegestii* i doskonale wiem, co mogę zabrać, a czego nie! – Łgałam w żywe oczy, ale z dobrym skutkiem.

– Naprawdę ją przeczytałaś?

Zrobiłam cierpiętniczą minę.

– Naprawdę. Za to możesz mi pomóc załadować to wszystko na Night.

Wspólnie obciążyliśmy klacz, na której ten ciężar zdawał się nie robić większego wrażenia. Tom spojrzał na moją skórzaną, motocyklową kurtkę i skrzywił się.

– Nie możesz jechać w czymś takim.

– Masz coś do mojej kurtki? – zapytałam, robiąc przy tym groźną minę. Byłam z niej dumna i nie miałam zamiaru puszczać płazem głupich uwag.

– W Elegestii nikt nie nosi czegoś takiego.

– Ja będę.

– Naprawdę chcesz ściągać na siebie uwagę? Zależy ci na tym, żeby zainteresować każdą napotkaną osobę? W ten sposób nigdy nie dotrzesz do celu.

– Ugh. Masz lepszy pomysł?

– Owszem. – Wyjął z niewielkiego, przytroczonego do siodła worka złożony w kostkę płaszcz. Rozwinął go i ukazał mi się w całej okazałości. Długi, brązowy, z szarą podszewką. Mogłam się założyć, że gdybym obróciła się w nim efektownie, zamiotłabym nim podłogę.

– Żartujesz?

Na twarzy Toma nie było nawet śladu uśmiechu. Nie żartował.

– Kiepską mają tam modę – sarknęłam, zdejmując własną kurtkę i przyjmując płaszcz.

– Przynajmniej nie będziesz się niepotrzebnie wyróżniała.

Spojrzałam na niego niechętnie. Zawsze potrafił zepsuć mi humor.

– No dobrze. Dowiem się wreszcie, cóż takiego mam przekazać tajemniczej przywódczyni magów?

Tom wyjął zza pazuchy niewielkie pudełko i podał mi.

Obracałam je w dłoniach. Nie było duże, mniej więcej piętnaście na osiem centymetrów, miało jakieś siedem centymetrów wysokości. Bez żadnych znaków szczególnych, zwyczajne, drewniane pudełko. Wyczuwałam w nim magię, ale nie potrafiłam określić, jakiego rodzaju. Tom przyglądał mi się z zainteresowaniem.

– Co jest w środku? – spytałam z naturalną ciekawością.

– To już nie twój problem.

Bynajmniej nie zadowolila mnie jego odpowiedź. Spróbowałam je otworzyć, ale na próżno. Mimo braku zamków, nie mogłam zajrzeć do środka. Wnioskowałam, że chroniło je jakieś zaklęcie. Uśmiechnęłam się złośliwie. Miałam dużo czasu na jego zdjęcie. Tom jakby odgadł moje myśli.

– Nie radzę ci marnować czasu na niszczenie tego zaklęcia. To, co jest w środku, nie powinno cię obchodzić, a jeśli zniszczysz zaklęcie, przywódczyni na pewno się o tym dowie. Masz jej to po prostu dostarczyć. Nic więcej. Czar, który chroni zawartość tego pudełka, jest niezwykle silny, straciłabyś więc niepotrzebnie mnóstwo energii i nie mogłabyś potem oddać go przywódczyni.

Kiedy tak to przedstawiał, straciłam ochotę na łamanie zaklęcia. Niemniej nadal byłam ciekawa, co znajdowało się w środku.

– Wiesz, co tam jest? – spróbowałam jeszcze raz.

– Malice. Rozumiem, że to kobieca ciekawość – powiedział. – Nie wiem, a nawet gdybym wiedział, nie mógłbym ci powiedzieć. Daj więc już temu spokój.

Spojrzałam na niego obrażona. Świetnie, co mnie obchodzi zawartość głupiego pudełka? Musiałam je tylko dostarczyć komu trzeba i zainkasować sto tysięcy. Dziewięćdziesiąt pięć, poprawiłam się zaraz w myślach.

– Ach, byłbym zapomniiał. – Rzucił mi na kolana wypchaną sakiewkę. Brzęczała zachęcająco, a kiedy zajrzałam do środka, ujrzałam błysk złota.

– Czyżby tamtejsza waluta? – zapytałam.

– Tak – skinął głową. – Powinno ci wystarczyć, o ile będziesz rozsądnie gospodarowała.

Rozsądne gospodarowanie, dobre sobie.

– To wszystko, czy chcesz mi powiedzieć coś jeszcze? – zapytałam, już nieco zmęczona i zirytowana jego towarzystwem. – Jakieś błyskotliwe uwagi, rady na podróż?

– Tylko jedna. – Wyszczrzył swoje białe zęby w szerokim uśmiechu. – Nie

daj się zabić.

Uniosłam brwi.

– Cenna rada.

– Najcenniejsza – powiedział nagle poważnym tonem.

Przytruchtał do nas Shady, łypiąc nieco podejrzliwym i odrobinę niepewnym wzrokiem na ogromną, czarną klacz. Ich sierść była niemalże jednakowego koloru. Nie chciałam zostawiać Shady’ego pod opieką Toma, ale nie miałam wyboru.

– Wiesz, że jeśli zagłodziś mi kota, nic ci nie pomoże? – zagadnęłam.

– Nie martw się, Shady’emu będzie ze mną dobrze – powiedział, głaszcząc jego czarne, jedwabiste futerko. Skrzywiłam się na ten widok. Najchętniej zabrałabym go ze sobą, ale był zbyt niezależny i leniwy, by mi towarzyszyć w takiej wyprawie. Kucnęłam i spojrzałam prosto w jego duże, inteligentne ślepie.

– Wiesz, co masz robić – powiedziałam.

Zamruczał i otarł się o moje nogi. Najwyraźniej perspektywa spędzenia kilku tygodni z Tomem nie była dla niego taka straszna.

Wstałam i po raz ostatni spojrzałam na mój dom. Zamknęłam na wszystkie zamki grube, antywłamaniowe drzwi i schowałam klucze pod obluźowanym kawałkiem drewnianych paneli. Upewniłam się, że wszystkie zaklęcia otaczające dom działają i wzmocniłam je dodatkowo. Mogłam ruszać.

Chwyciłam uzdę Night, odciągając ją od skubania wysokiej trawy porastającej podwórko i pociągnęłam na tył domu. Opierała się przez chwilę, ale w końcu posłusznie postąpiła za mną. Tuż obok dreptali Tom i Shady. Całą grupą podążaliśmy w kierunku wychodka. Zatrzymaliśmy się przed jego tylną, drewnianą ścianą. Było gorąco i zapach nie zachęcał. Razem wypowiedzieliśmy zaklęcie, ściana wychodka rozmyła się, ukazując nam spokojny krajobraz pograżonego w półmroku lasu. Pociłam się w swoim ubraniu i miałam ochotę znaleźć się już po drugiej stronie.

– Opiekuj się Shadym – powiedziałam do Toma.

Skinął głową.

– Powodzenia.

Trochę się zdziwiłam, bo nigdy nie życzył mi powodzenia. Naprawdę uważał, że będzie mi potrzebne?

Zdołałam się na pożegnalny uśmiech i przeprowadziłam Night przez ścianę wychodka. Znalazłyśmy się w Dziwnym Lesie. Temperatura była tu o kilkanaście stopni niższa, co powitałam z ulgą. Patrzyłam, jak Tom macha nam na pożegnanie, a potem wypowiada słowa zaklęcia i znika. Przed nami znajdował się już tylko szeroki, potężny pień wiekowego dębu. Drzewo było imponujące. Musiało mieć setki lat i wyglądało, jakby zamierzało rosnąć w tym miejscu przez następne wieki. Splątane korzenie wiły się pod moimi nogami i mało brakło, a wyrznęłabym przez nie jak długa.

Nadeszła chwila prawdy. Musiałam dosiąść Night. Popatrzyłam na nią niepewnie. Stała spokojnie, niczym niewzruszona, czarna góra. Była taka wielka! Zaczynałam myśleć, że Tom specjalnie wybrał tak dużego konia, żebym miała problemy z wdrapaniem się na jego grzbiet.

– Dobra Night – powiedziałam i podjęłam pierwszą próbę.

Nie udało się. Night łypnęła na mnie wielkim, czarnym okiem. Spróbowałam po raz kolejny. Wczepiłam się w jej długą, czarną grzywę i, pomagając sobie rękami i nogami, zdołałam wdrapać się na siodło. Całe szczęście, że nikt mnie nie widział, bo musiałam wyglądać komicznie. Zdecydowanie potrzebowałam poćwiczyć dosiadanie tej klaczy. Nie mogłam cały czas robić z tego takiej komedii. Pół biedy w głuchym lesie, ale przy ludziach? To byłoby upokarzające. Nie wiedziałam jeszcze, jak są traktowane kobiety w Elegestii, ale miałam pewność, że nikt nie będzie brał na poważnie takiej, która nie umie nawet dosiąść własnego wierzchowca. Lekko klepnęłam Night w zad i ruszyłyśmy. Kłusowała w spokojnym tempie, a ja usiłowałam zsynchronizować z nią swoje ruchy, żeby nie obić sobie za bardzo tyłka. Miałam spędzić w siodle najbliższe kilkanaście dni – musiałam w trybie przyspieszonym przypomnieć sobie wszystko, co wiedziałam o konnej jeździe.

Po jakimś czasie załapałam i byłoby mi całkiem wygodnie, gdyby nie miecz, objający się ciągle o moje plecy. Nagle dopadły mnie wątpliwości. Ten miecz był niezwykle, widziałam spojrzenie Toma. Co prawda nic nie powiedział, ale czasem milczenie jest nawet wymowniejsze niż słowa. To była jedna z niewielu pamiątek po mojej babci, nie mogłam pozwolić, by cokolwiek jej się stało. Nie wiedziałam, co czeka mnie na tej wyprawie, ale zdawałam sobie sprawę z moich marnych umiejętności w posługiwaniu się mieczem. Po długiej chwili wahania zawróciłam konia. Chcąc nadrobić stracony czas, pogoniłam go i ruszyłyśmy galopem. Kilkanaście minut później byłyśmy z powrotem pod wielkim dębem. Wymamrotałam zakłęcie i przeszłam do swojego wymiaru. Podwórko wydawało się opuszczone, nie było ani śladu Toma, ani Shady'ego, ani żywej duszy. Nie miałam czasu na zdejmowanie wszystkich zaklęć ochronnych, otwieranie drzwi, ponowne chowanie klucza. Postanowiłam, że ukryję miecz w wychodku – na pewno nikt nie będzie się spodziewał go tam znaleźć. Weszłam do środka, zasłaniając nos ramieniem, bo przez upał wydobywał się z niego zapach bardziej nieprzyjemny niż zwykle. Ukryłam miecz i z powrotem wróciłam do Night. Zamknęłam przejście, wspiełam się na grzbiet klaczy i ruszyłam. Bez ciężaru na plecach czułam się lekka. Niemal od razu złapałam odpowiedni rytm i ruszyłyśmy galopem w las.

Czekało mnie zadanie do wykonania.

ROZDZIAŁ 3

Jazda przez las była całkiem przyjemna. Delikatny, chłodny wiaterek owiewał mi twarz, Night pokonywała kolejne kilometry, a ja nie musiałam robić nic, poza utrzymywaniem się w siodle, co przychodziło mi z coraz większą swobodą. Odprężylam się i na jakiś czas zdołałam nawet zapomnieć, że przemierzam Dziwny Las.

Otoczały nas drzewa. Night lawirowała pomiędzy nimi z mniejszym lub większym trudem. Nigdzie nie było wyraźnej ścieżki. Pozwoliłam klaczy, by prowadziła nas za pomocą swego instynktu, utrzymując tylko odpowiedni kierunek. Wysoko na niebie świeciło słońce, ale jego promienie z trudem docierały do mnie przez gęste korony drzew. Powoli oddalałyśmy się od środka lasu i robiło się odrobinę jaśniej. Po kilku godzinach jazdy doszłam do wniosku, że przydałby nam się postój i zatrzymałam się na niewielkiej polance. Zeskoczyłam z konia, wytarłam jego spocone boki, zdjęłam ciężkie torby i puściłam go wolno, by pasł się na polanie. Wyjęłam z torby trzy batony i zjadłam je powoli, popijając wodą. Przed wyjazdem najadłam się porządnie, dlatego nie byłam jeszcze specjalnie głodna. Nie mogłam zabrać zegarka, ale po pozycji słońca wnioskowałam, że minęły jakieś cztery godziny od wyjazdu. Było za wcześnie na rozbijanie obozu. Z drugiej strony bałam się, że nie znajdę drugiej takiej polanki przed zapadnięciem mroku. Po drodze minęłam jeszcze tylko jedną podobną, ale wtedy było za wcześnie na robienie postoju. Niezdecydowana wahałam się, nie mogąc podjąć decyzji. Zależało mi na jak najszybszym opuszczeniu lasu, dlatego mimo niepewności postanowiłam wyruszyć. Po krótkim odpoczynku ponownie załadowałam torby na grzbiet Night i wdrapałam się na siodło. Szło mi coraz lepiej, choć pewnie nadal przedstawiałam sobą marne widowisko. Potrzebowałam opanować efektywne dosiadanie konia, niczym Zorro. Najlepiej gdybym nauczyła się wskakiwać na nią z rozbiegu. Gdy tylko o tym pomyślałam, zapaliłam się natychmiast do tego pomysłu. Jeszcze nie wyruszyłyśmy, zeskoczyłam więc z Night, oddaliłam się na kilka kroków i oceniałam wzrokiem, w którym miejscu powinnam się odbić. Po chwili kalkulacji ruszyłam biegiem i skoczyłam z rozpędu.

Wyrznęłam prosto w koński zad, Night zarżała niezadowolona. Rozmasowałam zgnieciony nos i postanowiłam spróbować ponownie. Tym razem miałam zamiar pomóc sobie magią. Opanowałam do perfekcji sztukę lewitacji, jeśli skupię się odpowiednio przy wyskoku, powinno mi się udać. Zmarszczyłam lekko brwi i podjęłam kolejną próbę. Przy pomocy magii udało mi się wskoczyć na koński grzbiet. Zadowolona z siebie zsunęłam się z siodła i ponownie odeszłam na kilka kroków, chcąc spróbować jeszcze raz. Night nie wyglądała na szczególnie zachwyconą, ale cierpliwie znosiła moje eksperymenty. Powtórzyłam skok jeszcze

kilka razy i kiedy uznałam, że opanowałam go w dostatecznym stopniu, klepnęłam Night w zad. Ruszyliśmy.

Robiło się coraz ciemniej, las z mieszanego przeszedł w iglasty. Denerwowałam się coraz bardziej. Night szła teraz równym, wolnym krokiem, nieco zmęczona po całym dniu szybkiej jazdy. W zasięgu wzroku nie było oczywiście żadnej polanki. Nie widziałam już słońca, zadzierając głowę w górę, mogłam dostrzec jedynie czubki drzew wysoko nad sobą i szare niebo. Jechaliśmy w ciszy, co uświadomiłam sobie dopiero po jakimś czasie. To było niepokojące. Zazwyczaj las tętnił różnymi odgłosami, ćwierkały ptaki, pohukiwały sowy, różne zwierzęta biegały dokoła, wiewiórki wspinały się po drzewach. Tymczasem wokół panowała niczym niezmacona cisza. Słyszałam jedynie odgłos kopyt Night, stąpającej po ziemi. Wyczuła moje zdenerwowanie, jej ciało również napięło się w oczekiwaniu. To była dziwna cisza w dziwnym lesie. Przywodziła mi na myśl ciszę przed burzą. W każdej chwili spodziewałam się usłyszeć grzmot czy ujrzeć oślepiający błysk. Ujechaliśmy tak jeszcze kawałek, moje nerwy były napięte do granic możliwości.

Już prawie doszłam do wniosku, że niepotrzebnie panikuję, gdy zza zakrętu wyskoczyła czarna bestia i usłyszałam grzmot, na który czekałam. Z jej pyska wydobył się ryk tak głośny, że włoski na moim karku stanęły dęba. Podobnie uczyniła Night. Byłam zbyt zdezorientowana i... nie czarujmy się, przerażona, by w porę chwycić się jej grzywy. Spadłam, z impetem uderzając o ziemię. Mrugnęłam kilka razy, ale ciemność mnie znokautowała. Odpląnąłam.

Ocknęłam się, bo coś mokrego nieustannie dotykało mojej twarzy. Otworzyłam oczy, ale widok, który mi się ukazał, sprawił, że zamknęłam je ponownie. To nie mogła być prawda. Uderzyłam się w głowę i miałam urojenia. Policzyłam w myślach do dziesięciu i ostrożnie otworzyłam jedno oko.

Musiałam uderzyć się naprawdę mocno, bo nadal widziałam olbrzymiego, czarnego jaguara, który wisiał nade mną jak kat nad dobrą duszą i uparcie lizał mnie po twarzy. Gdy zorientował się, że oprzytomniałam, podniósł w górę wielki łeb, pozostawiając mi wolną przestrzeń. Uniosłam się na łokciu i ogarnęłam wzrokiem sytuację. Night stała kilkanaście kroków dalej, spoglądając nieufnie w stronę jaguara. Całe szczęście, że mnie nie zostawiła, nie wiem, co bym zrobiła, gdyby uciekła razem z torbami. Najpewniej musiałabym wracać piechotą do wielkiego dębu. Nie chciałam nawet wyobrazić sobie miny Toma, gdyby tak szybko zobaczył mnie z powrotem.

Usiadłam ostrożnie, starając się nie wykonywać żadnych gwałtownych

ruchów. Czułam pulsujący ból w lewej nodze, ale bałam się sprawdzić, skąd się wziął, gdy wisiał nade mną olbrzymi jaguar. Spojrzałam na niego niepewnie. Wpatrywał się we mnie wielkimi ślepiami, a w jego oczach błyszczała inteligencja. Nie wyglądał, jakby miał zamiar pożreć mnie w następnej sekundzie. Wspomnienie małego jaguara wypłynęło na powierzchnię moich myśli.

Z tym, że to po prostu nie mogła być prawda. To nie mógł być ten sam jaguar. Oznaczałoby to, że w cholernym lesie otaczającym mury Akademii Magii znajdowały się nie tylko zagięcia czasu i przestrzeni, ale również przejście do innego wymiaru, które nieświadomie przekroczyłam. Mogłam się założyć, że znajdowało się za krzakami, do których zrobiłam mały skok w bok podczas szkolnej wycieczki badawczej. Zignorowałam wtedy polecenie profesora, żeby nie oddalać się od grupy, ale miałam naprawdę wielkie parcie na pęcherz! Zaczęłam się zastanawiać, czy to jakaś reguła, że przejścia do Elegestii znajdują się w górnianych miejscach...

Ale jeśli to, o czym myślałam, było prawdą, stał przede mną jaguar, którego znalazłam wtedy samego i głodnego i z którym zaprzyjaźniłam się na jedną krótką noc. Potem przysłała wkurzona mamusia i odebrała mi niedoszłego pupilka. Przyjrzałam mu się uważnie, ale nie potrafiłam stwierdzić, czy to ten sam zwierzak. Kiedy widziałam go po raz ostatni, był niewiele większy niż Shady, teraz rozmiarami bardziej przypominał Night niż mojego kota. Niepewnie wyciągnęłam rękę w jego stronę i pogłaskałam go po wielkim łbie. Schylił głowę, wyraźnie zadowolony z pieszczoty.

Zraniona noga ponownie dała o sobie znać, gdy usiłowałam wykonać ruch w jego stronę. Syknęłam i teraz już pewna, że nie zostanę zjedzona, odważyłam się spojrzeć. Podwinęłam nogawkę. Na szczęście nie było to złamanie otwarte, ale noga była cała czerwona i spuchnięta. Nie mogłam jej wyprostować i całkiem prawdopodobne było, że złamałam jakąś kość. Opadłam na ziemię z głębokim westchnieniem.

Nigdy nie uważałam specjalnie na zajęciach z magii leczniczej. Zasklepienie niewielkich ranek nie nastroczało mi żadnych trudności, ale nie zdarzyło mi się jeszcze, żebym próbowała leczyć sama coś tak poważnego.

Zamknęłam oczy i skupiłam się. Czułam obok siebie obecność jaguara, poczułam również, że Night ośmieliła się i podeszła bliżej. Pokrzepiona ich towarzystwem sięgnęłam po magię. Miałam ochotę przetrzeć oczy ze zdumienia, gdy odkryłam, jakie to łatwe. W moim świecie magia nieustannie ścierała się z techniką, była przez nią tłamszona, zawsze potrzebowałam większego lub mniejszego wysiłku woli, by jej użyć. W Elegestii nie miałam takich problemów. Nie zauważyłam tego wcześniej, bo nie próbowałam czarować na poważnie, ale w tej krainie magia wprost unosiła się w powietrzu. Wystarczyło tylko po nią sięgnąć. Teraz, gdy się skupiłam, poczułam ją wszystkimi zmysłami. Była

wszędzie, obmywała moje ciało łagodnymi falami. Poddalam się temu uczuciu. Wysłałam magię w kierunku zranionej nogi. Czułam, jak ból staje się coraz łagodniejszy, aż w końcu znika bez śladu.

Nie mogłam uwierzyć, że to było takie proste. Dawno nie czułam się tak wspaniale. Od czasu opuszczenia Akademii musiałam zadowolić się sporadycznym korzystaniem z magii, nagromadzenie techniki temu nie sprzyjało. Tutaj... poczułam się jak w domu. Nie musiałam dłużej hamować swojego magicznego potencjału. Czułam się bardziej potężna niż kiedykolwiek. Otworzyłam oczy i ujrzałam nad sobą dwie wielkie, czarne głowy. Koń wraz z jaguarem wpatrywali się we mnie *unisono*. Wstałam energicznie i zrobiłam kilka kroków. Noga działała jak nowa.

Zrobiło się już prawie zupełnie ciemno, postanowiłam, że będziemy obozowali tu, gdzie jesteśmy. Nie było to może najdogodniejsze miejsce, ale pomna swojej niechcianej wycieczki jeszcze z czasów studenckich wiedziałam, że nie było sensu szukać w tym lesie lepszego. Uzbierałam trochę gałęzi i rozpałam niewielkie ognisko. Napoiłam Night zimną wodą i dałam jej kilka garści ziarna, które Tom dorzucił w komplecie z kłaczą. Zagotowałam wodę nad ogniem i wyciągnęłam jedną z zupek chińskich. Nie jadłam ich odkąd przestawiłam się na własnoręczne przygotowanie posiłków i miałam nadzieję, że z powrotem jestem w stanie je spożywać. Dla jaguara wyjęłam mleko w proszku. Mieszałam przez chwilę, dopóki rezultat mnie nie zadowolił. Podsunęłam mu miskę pod nos. Powąchał i spojrzał na mnie z wyrzutem. W pierwszej chwili nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale zaraz mnie oświeciło.

– No jasne. – Klepnęłam się w czoło. Wyjęłam piersiówkę zza pazuchy i polałam hojnie, jako że był teraz większy niż ostatnim razem. Wychleptał wszystko z wyraźnym zadowoleniem. Poklepałam go po głowie. Teraz nie miałam już wątpliwości, że to ten sam jaguar, którego znalazłam kilka lat temu.

Zjadłam zupkę, z zadowoleniem odkrywając, że jej smak ponownie mi odpowiada. Przygotowałam sobie posiłek z koców. Na gołej ziemi zapewne nie będzie mi się spało rewelacyjnie, ale z tego co zdołałam wyczytać z nowszej z map podarowanych mi przez Toma, najbliższa tawerna znajdowała się dopiero na trakcie. Nie łudziłam się, że zdołam dotrzeć tam jutro. Sukcesem będzie, jeśli uda mi się wydostać z lasu.

Najedzona położyłam się na ziemi, przybierając możliwie najwygodniejszą pozycję. Jaguar ułożył się tuż obok, dostarczając mi swoją obecnością dużo ciepła. Dzięki niemu czułam się też bezpieczna. Nie sądziłam, że zainteresuje się nami jakieś inne dzikie zwierzę. Mój jaguar był olbrzymi i mogłam się założyć, że wzbudzał postrach we wszystkich leśnych stworzeniach. Był konsumentem ostatniego rzędu i stał na szczycie piramidy żywieniowej.

Nie miałam już siły na kontynuację lektury *Ojca chrestnego*. Przed snem

zdążyłam jeszcze pomyśleć, jak musiała wyglądać cała ta sytuacja dla kogoś z zewnątrz. Dziwnie? Wystarczająco, by uznać nazwę lasu za w pełni zasłużoną.

Obudziłam się nad ranem cała zeszywniała. Pierwsze promienie słońca nieśmiało przebijały się przez gęste korony drzew i padały na moją twarz. Przeciągnęłam się, prostując kości. Mimo wczorajszej kontuzji czułam się świetnie. Teraz, gdy zaczęłam zwracać na to uwagę, wyczuwałam magię dookoła mnie. Wprawiało mnie to w dobry humor.

Zabrałam się za przygotowanie śniadania. Nakarmiłam konia, potem jaguara, opróżniając do końca piersiówkę. Całe szczęście, że zdecydowałam się zabrać jeszcze dodatkową butelkę. Wygrzebałam ją z torby i napełniłam piersiówkę. Pomyślałam, że jeszcze kilka takich posiłków i zostanę ogołocona z całego zapasu. Jaguar wyglądał na zadowolonego, jakby co najmniej najadł się śmietanki. Leżał i tłukąc ziemię ogonem, obserwował moje poczynania. Mrużył przy tym oczy, co dopełniało wrażenia jego absolutnego ukontentowania.

Zajęłam się pakowaniem. Z powrotem obciążylam klacz torbami i wskoczyłam na jej grzbiet. Spojrzałam potem na wielkiego kota, ciekawa, jak mu się podobało. Nadal patrzył na mnie spod zmrużonych powiek. Rozczarowana ścisnęłam piętami końskie boki i ruszyliśmy. Jaguar wstał i poszedł za nami. Ucieszyłam się, że chce nam towarzyszyć, choć nie liczyłam na jego towarzystwo do końca podróży. Podejrzywałam, że niedługo będziemy musieli pożegnać się po raz kolejny i było mi smutno z tego powodu. Postanowiłam, że kiedy będę już opływała w pieniądzech, wybiorę się kiedyś i odwiedzę go w Dziwnym Lesie. Może zdąży do tego czasu założyć rodzinę i nie będzie miał nic przeciwko, jeśli zaopiekuję się malutkim jaguarem. Miałam nadzieję, że nie odziedziczył po mamusi zaborczości i wybierze sobie jakąś miłą, zgodną kotkę na partnerkę.

Night poruszała się jednostajnym, miarowym krokiem. Trochę bolał mnie tyłek po wczorajszym dniu, były to jednak naturalne następstwa długiej jazdy na koniu.

Ranek powoli przechodził w południe, zrobiło się ciepło. Zdjęłam płaszcz, ale pozostałam w bluzce z długim rękawem. Nie wiedziałam, jakie dziwne robactwo mogło mieszkać w tym lesie, ale przezornie wolałam nie kusić go nagą skórą.

Po kilku godzinach pomyślałam, że Night potrzebuje odpoczynku. Ja mogłam jechać tak nawet cały dzień, ale klacz dźwigała na swoim grzbiecie mój niewielki ciężar i ważące tony worki. Zaczęłam rozglądać się za polanką. Szczęście dopisało mi dopiero po jakiejś godzinie, gdy słońce było już wysoko na niebie. Zeskoczyłam z klaczy, rozprzęgłam ją i zaprowadziłam do strumienia. Chciwie chleptała wodę, dołączył się do niej jaguar. Oba zwierzaki miały piękną, czarną

sierść, ale zapewne było im bardzo gorąco. Ja swoje długie, ciemne włosy splotłam w warkocz, dzięki czemu nie przeszkadzały mi za bardzo. Położyłam się na polance, pozwalając sobie na krótki odpoczynek.

Jak na razie nie ujrzałam w Elegestii niczego nadzwyczajnego. No, może jaguar nie był do końca zwyczajny, ale chodziło mi o coś, czego nie mogłabym zobaczyć we własnym wymiarze. Las, choć dziwny, był po prostu lasem. Zapewne zamieszkiwało go wiele magicznych istot, o których uczyłam się w Akademii, żadna jednak nie zechciała mi się pokazać, z czego w sumie się cieszyłam. Chciałam załatwić tę sprawę jak najszybciej. Nie spotkałam żadnych ludzi – ani wieśniaków, żyjących pod uciskiem magów i smoków, ani tym bardziej tych ostatnich. Nie wiedziałam, czy chodziło o to, że gęstość zaludnienia Elegestii jest raczej niewielka, czy po prostu jej mieszkańcy cenią sobie normalność i wolą nie zapuszczać się do Dziwnego Lasu.

Sięgnęłam do torby i wyjęłam z niej drewniane pudełko. Ostukałam je, ale nie wydawało żadnych charakterystycznych dźwięków. Odgłos był taki, jakbym pukała w niemalowane drewno, co też robiłam. Zero wskazówek. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zacerpnąć z otaczającej mnie zewsząd magii i nie zniszczyć zaklęcia chroniącego zawartość pudełka, ale przypomniałam sobie słowa Toma i zrezygnowałam. Odłożyłam pudełko z powrotem do torby, powściągnając ciekawość. Jeśli miałyby się okazać, że koniec końców nie otrzymam przez to zapłaty, wolałam nie wiedzieć, co znajduje się w środku.

Minęły godziny największego upału. Podniosłam się, osiodłałam konia i wyruszyliśmy ponownie. Night sukcesywnie pokonywała kolejne kilometry, a ja, mając nadzieję, że się nie obrazi, rozłożyłam na jej grzbiecie podarowaną przez Toma mapę. Las nie miał zaznaczonych żadnych punktów charakterystycznych, do których mogłabym się odnieść, ale licząc, że przebyłam już około pięćdziesięciu kilometrów, niedługo powinnam z niego wyjść. Zwinęłam mapę z powrotem w rulon i wsadziłam do torby.

Słońce wędrowało po niebie, a mnie ciągle otaczało morze drzew. Dopiero późnym południem zaczęły się przerzedzać. Promienie słońca docierały już do mnie bezpośrednio i zdawało mi się, że dostrzegam krawędź lasu. Zauważyłam, że jaguar przystanął i przestał za nami iść. Zatrzymałam klacz, zeskoczyłam z niej i podeszłam do wielkiego kota. Ukłękłam przed nim tak, by nasze oczy znajdowały się na jednym poziomie.

– Dziękuję za dotrzymanie mi towarzystwa – powiedziałam poważnie, patrząc w jego wielkie ślepia. Odpowiedział inteligentnym spojrzeniem. – Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. – Pod wpływem impulsu przytuliłam go, ale zaraz puściłam, przestraszona, że przesadziłam. Na szczęście nie wyglądał, jakby miał zamiar mnie zjeść. Machnął ogonem, odwrócił się i odszedł. Kiedy patrzyłam, jak znika pośród drzew, zrobiło mi się smutno. Straciłam jednego towarzysza

podróży, ale ciągle miałam Night. Wskoczyłam na jej grzbiet i popędziłam ją. Chciałam jak najszybciej opuścić las.

Jechałyśmy jeszcze spory kawałek, zanim drzewa przerzedziły się na tyle, że ujrzałam szeroką drogę, która zapewne była oznaczonym na mapie traktem. Nareszcie. Teraz musiałam tylko nie zbaczać z niego, a dotrę prosto do Warowni O'ren.

Rozglądałam się dookoła, ale krajobraz Elegestii mnie zawiódł. Zamiast drzew, widziałam teraz niekończące się połacie łąk i pól. Wyglądało na to, że rolnictwo było tu podstawowym źródłem utrzymania. Nigdzie nie widziałam śladu ludzkiej obecności. Co prawda pola porastały wysokie kłosa zboża, ale zbliżał się już wieczór i temu przypisywałam nieobecność ludzi. Jechałam ubitym traktem, rozglądając się za dogodnym miejscem na nocleg. Po przejechaniu kilku kilometrów zniknęły pola. Po obu stronach drogi rosły drzewa, tworząc coś na kształt niewielkiego lasu.

Wyjęłam mapę. Według niej znajdowałam się właśnie w miejscu, które nosiło nazwę Malowniczego Lasu. Przyjrzałam się krytycznie otaczającym mnie cherlawym drzewkom. Ten, kto to wymyślił, musiał być na haju. Niemniej miejsce było idealne na nocleg. Oddaliłam się na kilkadziesiąt metrów od głównej drogi i rozsiodłałam Night. Zaczęła skubać trawę rosnącą w pobliżu, a ja zajęłam się przygotowaniem posiłku.

Słońce zaszło już, gdy ułożyłam się wreszcie wygodnie na ziemi. Dzisiejszy dzień był spokojny, cieszyłam się, że udało mi się wreszcie zostawić za sobą Dziwny Las. Nie byłam zmęczona, dlatego wyjęłam z torby *Ojca chrestnego*, otworzyłam na zaznaczonej stronie i zaczęłam czytać. Wyczarowałam sobie kulę światła, dzięki której nie musiałam przejmować się brakiem promieni słonecznych. Czytałam z wypiekami na policzkach. Książka była rewelacyjna, nudna *Historia Elegestii* nie mogła się z nią równać. Zaczytałam się do tego stopnia, że panowała głucha noc, gdy wreszcie podniosłam wzrok znad kartek. Night leżała nieopodal i spała smacznie już od dawna. Odłożyłam książkę trochę zdenerwowana. Nie wiedziałam, co czeka mnie w tej krainie, ale jednego byłam pewna – tylko wyspana mogę stawić temu czoła.

Tym razem nie było u mego boku jaguara, który zapewniałby mi poczucie bezpieczeństwa. Otoczyłam siebie i klacz dodatkowymi zaklęciami ochronnymi i dopiero wtedy zasnęłam.

Obudziłam się około godziny ósmej. Czytanie do późnej nocy najwyraźniej mi nie służyło. Sama byłam zdziwiona, że zdołałam spać tak długo na twardej, niewygodnej ziemi. Podniosłam się energicznie i zaczęłam rozglądać za jakimś strumieniem, w którym mogłabym umyć się dokładnie. Ten, który znalazłam, nie

był specjalnie okazały, ale musiał mi wystarczyć. Zaczepiłam z torby garść kosmetyków w plastikowych opakowaniach i zaczęłam mycie. Wyszorowałam się porządnie, potem zaczęłam myć głowę. Zawsze marzyłam o długich, sięgających pasa włosach, ale teraz, kiedy osiągnęły upragnioną długość, okazało się, że jest to kłopotliwe. Sporo się nagimnastykowałam, zanim udało mi się splukać całą pianę. Z odżywki zrezygnowałam. Jako że nikt nie patrzył, użyłam plastikowego grzebienia, by je rozczesać. Nie byłam pewna, czy w Elegestii znają takie wynalazki. Przeklęłam się w myślach. Mogłam jednak choćby przejrzeć *Historię Elegestii*, wtedy nie musiałabym zastanawiać się nad podobnymi rzeczami.

Zaplotłam wilgotne włosy w warkocz, przywdziałam ciuchy, które zostawiłam w krzakach i ruszyłam z powrotem do Night. Z daleka dostrzegłam, że kręci się w jej pobliżu jakiś człowiek. Przyspieszyłam kroku, ale zdążył już podejść do klaczy. Czekala go jednak niemiła niespodzianka. Czarny rumak najwyraźniej nie był zachwycony towarzystwem obcego i kopnął go tak, że poleciał kilka metrów do tyłu. Wylądował w trawie z nieprzyjemnym chrupotem, a ja przypominałam sobie słowa Toma, jakoby Night miała skłonności do bycia złośliwą. Niespiesznym krokiem podeszłam do jęczącego mężczyzny.

– Sama bym tego lepiej nie wyraziła – odezwałam się, stając w polu jego widzenia. – Ręce precz od mojego konia!

Mężczyzna podniósł się niepewnie i chwiejnie stanął na nogach. Miał wygląd typowego cwaniaczka. Cherlawy, o mętym spojrzeniu, uciekał wzrokiem na boki. Jego ubranie pozostawiało wiele do życzenia, tak pod względem jakości, jak i czystości. Poły wyciągniętej ze spodni koszuli wisiały smętnie, kolor spodni przez liczne plamy i warstwy brudu był dla mnie tajemnicą. Wysokie do kostek buty wyglądały, jakby spacerował w nich po łąjnie. I z grubsza tak pachniały.

– Pani dobrodziejo, ja tylko chciałem sprawdzić, czy nic mu nie jest. Taki piękny koń bez jeźdźca, pomyślałem, że coś mogło się stać – tłumaczył bełkotliwie.

– Jak widać, wszystko w porządku – odparłam, nie doceniając jego wątpliwej uprzejmości.

– Jeśli mogę spytać, co taka piękna, dobra pani robi sama na trakcie, gdzie roi się od rozbójników? – zapytał, patrząc na mnie zażawionymi oczami.

Uśmiechnęłam się złośliwie.

– Należę do tych, o których dobre rzeczy mówi się tylko raz – na pogrzebie – więc przestań się podlizywać.

Jego spojrzenie z powrotem powędrowało w stronę Night.

– Jesteś, pani, wojowniczką?

– Owszem i możesz spodziewać się po mnie wszystkiego najgorszego. Przestań patrzeć na mojego konia! – rozkazałam. Zaczynał mnie irytować.

– Ależ pani, to taki piękny koń.

Miałam dość. Wyciągnęłam z rękawa sztylet i zamachałam mu przed nosem.
– Wynocha. Nie chcę cię już więcej widzieć.

Widok nagiej stali wreszcie spowodował, że moje słowa do niego dotarły. Zaczął oddalać się niechętnie, mamrocząc pod nosem. Wyraźnie słyszałam, jak kilka razy powtórzył: „Taki piękny koń”.

Pierwsze spotkanie z tubylcem miałam za sobą. Jeżeli wszyscy tacy byli, zapowiadało się kilkanaście męczących dni. Trochę wytracona z równowagi osiodłałam Night i spakowałam manatki. Poklepałam ją po dostojnym pysku.

– Tak trzymaj, Night.

Byłam z niej zadowolona i doszłam do wniosku, że była warta swojej ceny. Pięć tysięcy to sporo, ale po tym, jak potraktowała tamtego osobnika, nie zamierzałam żałować. Tom miał rację – pasowała do mnie idealnie.

Już w lepszym humorze wskoczyłam na jej grzbiet i ruszyliśmy. Trzeci dzień w Elegestii. Chciałabym, żeby był ostatnim, ale niestety czekała mnie jeszcze długa droga. Ponad czterysta kilometrów. Miałam nadzieję, że traktem będę poruszała się szybciej.

Z braku lepszego zajęcia zaczęłam kontemplować otaczającą mnie naturę. Próbowałam już czytać podczas jazdy, ale po dwóch upadkach doszłam do wniosku, że nie jest to najlepszy pomysł. Ciągle nie mogłam się nadziwić, jak ktoś mógł nazwać to miejsce Malowniczym Laskiem. Wszystkie drzewa wyglądały, jakby trzasnął w nie piorun. Miały mało liści, a te, które zostały, zwisały smętnie, samotne na licznych, gołych gałęziach. Ziemia była sucha, w szarym, kamiennym kolorze. Nieliczne, niskie krzaki przypominały gęsi, niezbyt dokładnie obdarte z piór. Nie było w nim absolutnie nic malowniczego.

Drzewa zaczynały się przerzedzać coraz bardziej. Ujrzałam wreszcie wolną przestrzeń. Mniej więcej w tym samym momencie do moich uszu dotarły niewyraźne krzyki i rubaszny śmiech. Zeszłam z Night i zakradłam się ostrożnie w stronę, z której dobiegały hałasy, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Obrazek, który ukazał się moim oczom, był całkiem zabawny. Trzech rośtych facetów otoczyło jakiegoś wyrostka. Jeden z nich trzymał go za nogi, chłopak zwisał głową w dół. Mężczyzna musiał mieć niezłą krzepę, bo trzymał go jedną, wyciągniętą przez siebie ręką. Potrząsał nim, a jego dwaj kompani zaśmiewali się, poszturchując go i kłując trzymanymi w rękach nożami. Zapowiadani rozbójnicy.

Mogłam odejść niezauważona, ale coś podkusiło mnie, żeby się włączyć. Nie byłam bynajmniej obrońcą uciśnionych, o nie. Moja motywacja była wręcz odwrotna. Sprawiało mi niezdrową radość obserwowanie głupich wyrazów twarzy wielkich, pewnych siebie samców, gdy coś nie szło po ich myśli. Jak wtedy, gdy miałam sparingi z facetami z zupełnie innej kategorii wagowej. Byli ode mnie jakieś trzy razy ciężsi i pewni wygranej. Nokaut, choć techniczny, sprawiał mi

niewypowiedzianą przyjemność, a ich zdziwienie było dla mnie najlepszą nagrodą.

Wyciągnęłam z buta sztylet, zamachnęłam się i rzuciłam. Chyba nie było to najmądrzejsze, bo mężczyzna z głośnym przekleństwem wypuścił chłopaka. Usłyszałam głuchy odgłos, kiedy jego głowa uderzyła o ziemię.

Widząc, że kierują spojrzenia w moją stronę, wyszłam z ukrycia i uśmiechając się złośliwie, stanęłam przed nimi w pełni chwały. Tak jak się spodziewałam, na ich twarzach pojawił się wyraz lekceważenia. Ujrzeni kobietę i z góry uznali swoją przewagę.

Ten, którego trafiłam, chwilowo był wyłączony z gry. Ścisnął krwawiącą rękę i klął tak, że w ciągu kilku chwil poznałam cały repertuar przekleństw używanych w tej krainie. Pozostali dwaj zerwali się na równe nogi, chwycili wielkie miecze, które, nie powiem, sprawiały wrażenie groźnych, i z paskudnymi, obleśnymi uśmiechami zaczęli iść w moim kierunku. Wyjęłam sztylety z rękawów i przez chwilę zastanawiałam się, gdzie celować. Wykorzystali moją niepewność i podeszli niebezpiecznie blisko. Nie tracąc więcej czasu, wyrzuciłam oba sztylety w tym samym momencie. Jeden z nich trafił w gardło. Mężczyzna złapał się za nie i charcząc, opadł na kolana. Drugi, widząc to, ruszył prosto na mnie z krzykiem wściekłości na ustach. Wytrąciłam mu z ręki miecz, ale nadal miałam przed sobą grubo ponad sto kilogramów żywego i rozwścieczonego mięsa. Pozwoliłam, by zbliżył się jeszcze trochę i wyprowadziłam czysty cios prosto w twarz. Chrupnęło, ale musiałam przyznać, że był twardym zawodnikiem. Mimo że krew zalała mu twarz, nie zawahał się nawet przez chwilę. Nadal parł w moim kierunku. Chwycił mój długi warkocz i pociągnął, nieomal wrywając mi wszystkie włosy. Wkurzona kopnęłam go w jaja. Zgiął się w pół, ale nadal trzymał się na nogach. Postanowiłam zastosować taktykę, dzięki której wygrywałam sparingi z trzy razy ode mnie cięższymi mężczyznami. Cios w twarz, cios w nerki, cios w twarz, cios w nerki, cios w twarz, cios w nerki. Jego wielka, twarda pięść dosięgła mnie kilka razy, ale nie zwracałam uwagi na ból, biłam uparcie. Po kilku minutach, które zdawały się wiecznością, nie wytrzymał i padł na kolana. Przypomniałam sobie o jeszcze jednym sztylecie, tkwiącym w skórzanym botku. Nie chciałam brudzić tych, które dostałam od babci. Wyciągnęłam metalowe ostrze i po krótkiej chwili wahania przeciągnęłam nim po szyi mężczyzny. Buchnęła jasna krew i upadł twarzą do ziemi.

Zabijałam już wcześniej, ale mimo wszystko poczułam się nieswojo. Co innego zabić jakąś magiczną poczwagę albo ześwirowanego maga, który siał spustoszenie wśród niczego nieświadomych, niewinnych ludzi. Przed chwilą zabiłam jednak dwóch mężczyzn, którzy... właściwie nic mi nie zrobili. Zaraz przywołałam się w myślach do porządku. Oni zapewne nie mieliby żadnych skrupułów, gdyby mnie zgwałcili, a potem zamordowali.

Skierowałam swoje spojrzenie na ostatniego mężczyznę. Gdy zobaczył, jak

szybko rozprawiłam się z jego kompanami, najwyraźniej stracił ochotę do walki. Ściskając krwawiącą dłoń, wskoczył na konia.

– Hej! Oddawaj sztylet! – krzyknęłam za nim, ale oddalił się galopem. – Cholera! – przeklełam głośno. Nie miałam ich aż tyle, żeby pozwolić sobie na zostawianie ich w ciałach pokonanych przeciwników. Wyszarpnęłam dwa pozostałe z powoli stygnących już ciał i poszłam umyć je w strumieniu. Zajęło mi sporo czasu usunięcie całej krwi, musiałam pomóc sobie magią. Gdy były już czyste i lśniące, wsunęłam je z powrotem do butów.

Dopiero wtedy wróciłam na polanę i podeszłam do wyrostka, którego uratowałam. Był nieprzytomny, z wielu ran, które zadali mu rozbójnicy, sączyła się krew.

– Świetnie. Tylko tego mi brakowało.

Nie potrafiłam tak po prostu go zostawić. Trzeci mężczyzna mógł wrócić tu w każdej chwili i dobić go, a nie po to ratowałam mu życie, by zginął kilka godzin później jakąś głupią śmiercią. Zabiłam dla niego dwoje ludzi, jeśli i on by umarł, nie miałyby to większego sensu. Mój czyn stałby się tylko krwawym, bezsensownym pokazem siły.

Przykucnęłam przy nim i zajęłam się leczeniem płytkich ran zadanych nożem. Było ich całe mnóstwo, mężczyźni musieli złapać go już jakiś czas temu. Najwyraźniej podobała im się ta zabawa.

Sięgnęłam po magię i w ciągu kilku minut uleczyłam wszystko, nawet najmniejsze zadrapania. Chłopak nadal był nieprzytomny. Musiał mocno uderzyć się w głowę. Nie miał żadnych ran, ale to o niczym nie świadczyło. Poza tym jego skóra była niepokojąco ciepła, musiał dostać gorączki. Znając moje szczęście, doznał też wstrząsu mózgu.

Nie chciałam pozostawać dłużej na polanie – mężczyzna, który uszedł z życiem, mógł wrócić tu w każdej chwili z towarzystwem. Z niemałym wysiłkiem załadowałam więc chłopaka na grzbiet jednego z koni, które kręciły się na polanie. Sama wskoczyłam na Night, ale nie mogliśmy jechać zbyt szybko, musiałam pilnować, żeby nie zsunął się z kasztanowego rumaka.

Opuściliśmy polanę, ale postanowiłam zboczyć z traktu. Nasz widok mógł wzbudzać zbyt wielką ciekawość, dlatego wolałam trzymać się na uboczu.

ROZDZIAŁ 4

Ujechaliśmy tak kilkanaście kilometrów, aż stwierdziłam, że mam dość. Taka jazda była strasznie frustrująca. Na szczęście Night zachowywała się wzorowo i z wycuciem większym niż jej właścicielka. Doceniłam ją jeszcze raz i doszłam do wniosku, że tak naprawdę dostałam ją za bezcen.

Po obu stronach traktu rosły drzewa. Jechaliśmy w ich cieniu, po prawej stronie drogi. Kilka razy do moich uszu dotarł tętent kopyt i byłam zadowolona ze swojej przezorności. W zasięgu wzroku nie widziałam niestety żadnego śladu ludzkiej obecności. Nawet jednej marnej chaty, o wiosce nie śmiałam marzyć.

Chłopak zaczynał mamrotać, gdy dotknęłam jego czoła, okazało się, że jest rozpalone. Zła jak wszyscy diabli, byłam zmuszona zrobić postój. Nie przejechałam nawet dwudziestu kilometrów, co poważnie zaniżało mi moją wyliczoną, dzienną średnią. Przeklinałam w myślach chwilę, w której zachciało mi się wtrącać.

Ułożyłam chłopaka pod drzewem, rozsiodlałam Night i kasztanowego konia, potem rzuciłam na nas zakłęcie, dzięki któremu byliśmy relatywnie niewidoczni dla ludzkich oczu. Relatywnie, bo kątem oka ktoś mógł nas dostrzec. Jednak im bardziej próbowaliby się przyjrzeć, tym mniej byłby w stanie zobaczyć. Czar doskonale sprawdzał się w przypadku Akademii Magii – nigdy nie zdarzyło się, żeby trafił tam jakiś zabłąkany człowiek. Sama używałam go już kilkakrotnie i miałam nadzieję, że spisze się i tym razem.

Konie pasły się spokojnie, ja tymczasem postanowiłam zająć się chłopakiem. Po raz pierwszy przyjrzałam mu się uważnie. Był młody. Jeszcze nie mężczyzna, ale już nie chłopiec. Nie dałabym mu więcej niż osiemnaście lat. Miał jeszcze nieco dziecinny wyraz twarzy, który wykrzywiła trawiąca jego ciało gorączka. Był smukłej, typowo młodzieńczej budowy ciała. Gdy ułożyłam go na końskim grzbiecie, jego długie kończyny niemalże sięgały ziemi. Musiał mieć grubo ponad metr dziewięćdziesiąt. Z moim niecałym metrem siedemdziesiąt, gdybyśmy stanęli obok siebie, sięgałabym mu zapewne do ramienia. Ale ja miałam coś, czego chłopakowi wyraźnie brakowało. Mięśnie. Trenując boks i rzuty sztyletami zachowywałam szczupłą sylwetkę i przy okazji dorobiłam się niezłej muskulatury. Mogłam się założyć, że siłując się z nim na rękę, położyłabym go w kilka sekund.

Obrzuciłam krytycznym wzrokiem jego podziurawione, zakrwawione ubranie. Nie miałam zamiaru go rozbierać, użyłam więc magii, żeby doprowadzić je do porządku. Nie byłam dobra w takich zaklęciach, dlatego zadowoliliam się, gdy nie było już widać większych plam. Brakowało mi cierpliwości na magiczne łątanie niewielkich dziurek.

Wyjęłam z torby koce i zrobiłam mu posłanie. Skubaniec był zaskakująco

ciężki, nieźle się napociłam, zanim ułożyłam go – jak mi się wydawało – całkiem wygodnie. Nie chciałam używać magii, żeby go wyleczyć. Znałam własne ciało i bez problemu wyleczyłam swoją nogę. W jego wypadku za bardzo bałam się, że coś spartaczę, tym bardziej, że uderzył się w głowę. Uleczyłam wszystkie płytkie ranki, na grzebanie w mózgu nie miałam najmniejszej ochoty. Postanowiłam użyć tradycyjnego sposobu. Zrobiłam zimny kompres i położyłam mu na czole.

Z braku lepszego zajęcia zaczęłam przysłuchiwać się jego mamrotaniu. Mówił niewyraźnie, bełkotliwie, jak mają w zwyczaju ludzie trawieni gorączką. Jego słowa nie miały większego sensu, nie łączyły się w spójne zdania, ale zdołałam rozróżnić pojedyncze. Bredził coś o poszukiwaniach, księżniczce i udowodnieniu czegoś. Uśmiechnęłam się pod nosem. Oto trafiłam do bajecznej krainy, gdzie młodzieńcy w malignie mówią o księżniczkach.

Kogo szukał? Może owej księżniczki. Co chciał tym udowodnić? Przyjrzałam mu się po raz kolejny. Teraz, kiedy jego ubranie było w jednym kawałku, mogłam orzec, że najpewniej należało do jakiegoś pachołka. Czyżby chłopak wyruszył na poszukiwanie przygód, chcąc udowodnić swoją wartość? Nie chciałam niczego zakładać z góry, ale patrząc na jego niewinną, naiwną buzię, doszłam do wniosku, że to całkiem prawdopodobne. Jego marzenia o glorii i chwale musiały zostać dość szybko zniszczone. Miał wygląd typowej ofiary. Widać było, że nie potrafi się skutecznie bronić, potrzebował kogoś silnego, z kim mógłby bezpiecznie wędrować. Sam aż się prosił, żeby go okraść i urządzić sobie jego kosztem zabawę, jak zrobili to trzej rozbójnicy.

Straciłam nadzieję, że wyruszę ponownie tego dnia. Co prawda gorączka nieco spadła, ale chłopak nadal był nieprzytomny i nie wyglądało na to, żeby w najbliższym czasie się ocknął. A nawet jeśli, byłby zbyt słaby, żebym z czystym sumieniem mogła go zostawić. Rozpaliłam ognisko, bo zauważyłam, że na przemian z gorączką, jego ciałem wstrząsają dreszcze. Potem oparłam się o pień najbliższego drzewa, wyjęłam *Ojca chrestnego* i zaczęłam czytać. Chłopak może i nie był najbrzydszy, a wręcz zapowiadał się na przystojniaka, ale nie miałam zamiaru gapić się na jego twarz w nieskończoność.

Zapadał już wieczór, gdy ocknął się po raz pierwszy. Wodził przez chwilę dookoła ogłupiałym wzrokiem, aż jego spojrzenie spoczęło na mnie. Wyczułam, że jestem obserwowana i opuściłam książkę. Zostało mi jeszcze kilkanaście stron i byłam zła, że nie zechciał oprzytomnieć pół godziny później.

Na jego twarzy malowała się ulga. Może i nie przedstawiam sobą szczególnie rewelacyjnego widoku, ale mogłam się założyć, że wołał obudzić się w moim towarzystwie niż otoczony trzema wielkimi, groźnymi facetami.

– Co się stało? – wymamrotał. Na początku zabrzmiało to jak „cosiestao”, ale zrozumiałam, o co mu chodzi.

– Uderzyłeś się w głowę – oznajmiłam radośnie, ucieszona, że niedługo będę

mogła pozbyć się jego towarzystwa.

Wyglądał, jakby powoli przypominał sobie zdarzenia sprzed upadku.

– Jak do tego doszło? Nie pamiętam. – Głos miał jeszcze młodzieńczy, pasował do jego wyglądu.

– Wielki, zły facet trzymał cię za nogi, a ty dyndałeś sobie w powietrzu, głową w dół. Wtedy wkroczyłam ja. Rzuciłam w niego sztyletem, trafiłam w rękę. Upuścił cię i takim oto sposobem zaliczyłeś bliższe spotkanie z glebą.

Wpatrywał się we mnie, jakbym mówiła obcym językiem.

– A pozostali dwaj? – zapytał w końcu.

– Nie żyją.

– Ty ich zabiłaś? – W jego głosie usłyszałam podziw i nutkę strachu.

Skromnie skinęłam głową. Patrzył na mnie teraz z mieszaniną szacunku i uwielbienia. Nie podobało mi się to spojrzenie.

– Jesteś głodny? – spytałam.

Pokiwał ochoczo głową. Odwróciłam się plecami, byłam pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że nie znają tu zupek chińskich. Wyjęłam jedną z torby, a potem zdjęłam z ognia ronderek, w którym leniwie bulgotała woda. Po chwili podałam mu parującą miskę i łyżkę. Patrzył to na zupę, to na mnie.

– Zamknij buzie, bo ci much naleci.

– Jesteś magiem? – zapytał niepewnie.

Nie spodobał mi się jego ton, włączył dzwoneczki alarmowe w mojej głowie. Wieśniak, któremu za bardzo spodobała się Night, pytał, czy jestem wojowniczką i jego pytanie zabrzmiało w miarę neutralnie. W głosie chłopaka dało się wyczuć wrogość, jakby wcale nie życzył sobie, by odpowiedź była twierdząca. Wzruszyłam ramionami.

– Jedz.

Widać głód wziął górę nad ciekawością. Zaczął jeść z prędkością, która mnie rozbawiła. Przypominał wygłodzonego studenta.

– To było pyszne – powiedział, gdy skończył. – Nigdy nie jadłem czegoś takiego. Jak to zrobiłaś?

– Ma się swoje sposoby – zacytowałam znieawidzoną odzywkę Toma.

Chyba go onieśmiałam, bo nie próbował dociekać. Byłam taka groźna w tym długim, szarym płaszczu Toma, czarnych, obcisłych spodniach i skórzanych botkach. Nie wiem, czy zauważył wystające z butów i swobodnie dyndające u pasa sztylety. Przybrałam groźną postawę, chcąc go do siebie zniechęcić. Nie było sensu, żeby chłopak się spoufalał, skoro następnego dnia nasze drogi miały się rozejść.

Z powrotem zajęłam miejsce pod drzewem i podniosłam z ziemi książkę. Miałam nadzieję, że zaśnie, jeśli będę go ignorowała. Tak też się stało. Nie minęło nawet dziesięć minut, jak jego oddech stał się miarowy i spokojny.

Skończyłam książkę i zaczęłam żałować, że nie zabrałam ich więcej. Elegestia nie dostarczała kompletnie żadnych rozrywek. Tych kilkoro ludzi, których napotkałam do tej pory, nie sprawiało wrażenia szczególnie fascynujących. Westchnęłam ciężko. Musiałam tylko dotrzeć do Warowni O'ren, oddać pudełeczko przywódczyni magów, a potem zainkasować pieniądze.

Podeszłam do śpiącego chłopaka i przyłożyłam rękę do jego czoła. Nadal ciepłe, ale już nie rozpalone, mógł mieć jedynie niewielką temperaturę, która do rana powinna zupełnie opaść.

Oddałam mu wszystkie moje koce, a sama musiałam przykryć się płaszczem. Na szczęście noc w Elegestii nie były bardzo zimne. Termoizolacyjne zaklęcie powinno pomóc mi wytrzymać do rana.

Obudziłam się zesztywniała i zziębnięta. Wstałam z niemałym trudem, kilka nocy na gołej ziemi zaczynały dawać mi się we znaki. Ponownie rozpałam ognisko i poszłam nad strumień wykonać poranną toaletę. Wróciłam czysta i pachnąca. Postanowiłam, że na śniadanie zrobię kanapki z остатków chleba. Wyjęłam jedną z konserw i zabrałam się do roboty. Zagotowałam też wodę na herbatę. Zabrałam swoją ulubioną – o smaku toffi. Kiedy wszystko było już gotowe, podeszłam do zapłatanego w koce chłopaka i obudziłam go poszturchiwaniem. Przetarł oczy, wyraźnie niezadowolony, że przerwałam mu sen.

– Dzień dobry – powiedział jednak, co mnie rozbawiło. Dobrze wychowany pacholek? Chyba wreszcie ujrzałam coś, czego na próżno było szukać w moim wymiarze.

Podaliśmy mu kilka kanapek i kubek z herbatą. Dobrze, że wzięłam zapasowy. Zjadł kanapki już bez zbędnych komentarzy, ale gdy upił kilka łyków herbaty zrobił wielkie oczy.

– Nie smakuje?

– Przeciwnie, jest pyszna!

– To dobrze – chciałam uciąć rozmowę.

– W życiu nie piłem takiej herbaty!

Oho, to za bardzo przypominało jego wczorajszą uwagę o zupce chińskiej.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Tym razem nie dał się zbyć. Milczał przez chwilę, najwyraźniej w myślach osądzając moje posiłki.

– Musisz być jakiegoś rodzaju magiem z kulinarnymi zdolnościami! – wypalił wreszcie.

Kąciki moich ust delikatnie powędrowały ku górze na wspomnienie moich pierwszych kulinarnych eksperymentów. Ale bezpieczniej było, żeby tak myślał. Uśmiechnęłam się więc szerzej, nie potwierdzając, ale też nie zaprzeczając.

– Potrafię co nieco – powiedziałam wymijająco. – Ale to nic wielkiego.

Nie wyglądał na zachwyconego, ale zdawało mi się, że jakoś przełknął tę wiadomość.

– Mam na imię Jared.

Zależało mi na tym, żeby nie spoufalić się z nim z nadto. Oficjalna prezentacja niestety temu nie sprzyjała. Poza tym nie miałam ochoty przedstawiać mu się swoim prawdziwym imieniem. Było zbyt charakterystyczne i choć zapewne w tej krainie nikt go nigdy nie słyszał, wolałam nie ryzykować. Postanowiłam przedstawić się imieniem babci.

– Alice.

Jeśli do tej pory starał się ukrywać prawdziwe emocje, tak teraz zupełnie się nie hamował. Skrzywił się zauważalnie.

– Coś nie tak? Nie podoba ci się moje imię?

– Jest w porządku. – Wzrok uciekł mu w lewo.

– Nie kłam. Co ci w nim nie pasuje? – spytałam groźnie.

– Uh, twoi rodzice musieli niezbyt cię lubić – wydusił w końcu.

– Moi rodzice nie żyją.

Wymamrotał pod nosem coś, co zabrzmiało jak: „Nie dziwię się”.

Wkurzył mnie. Nie rozumiałam, dlaczego tak dziwaczył. Imię babci było o wiele bardziej popularne niż moje. Zdenerwowana wstałam i zaczęłam pakować wszystko do toreb. Gwizdnęłam na kręcącą się w pobliżu Night, która pojawiła się w ciągu kilku chwil. Przytruchtał za nią kasztanowy rumak.

Na jej widok Jared znowu otworzył szeroko buzię.

– Piękny koń – powiedział z zachwytem w głosie.

– Zamknij buzię – upomniałam go.

Podszedł do Night i pogłaskał ją po długim pysku. Czekałam na chwilę, w której odgryzie mu palce, niestety nic takiego się nie stało. Rozczarowana rozwojem sytuacji zaczęłam ją siodłać.

– Jejku, Alice, skąd wzięłaś tak pięknego konia? – Jego głos wprost ociekał zachwytem.

– Dostałam – powiedziałam, a w myślach przeklełam Toma. Nie mogłam zwracać na siebie uwagi motocyklową kurtką, za to pięknym, rasowym koniem owszem? Niech go szlag! Zaczęłam podejrzewać, że wcale nie kosztował pięć tysięcy, tak naprawdę musiał być wart o wiele więcej, a to oznaczało, że Tom skłamał. Dlaczego to zrobił? Nie znałam się na koniach, więc kiedy powiedział, że zapłacił za niego pięć tysięcy, uwierzyłam. Jakoś nigdy nie rozpieszczał mnie, jeśli chodziło o wypłaty. Dlaczego nagle dawał mi takiego konia?

– Mogę się na niej przejechać? – zapytał Jared, patrząc na mnie błagalnym wzrokiem spaniela.

– Nie. Tamten koń jest twój – powiedziałam, wskazując na brązowego,

zwyczajnego rumaka. Pytanie o Night dopisałam do listy pytań, które miałam zamiar zadać Tomowi, gdy wrócę z Elegestii.

Wyglądał, jakbym co najmniej oznajmiła mu, że święty Mikołaj nie istnieje. Nic sobie nie robiłam z jego rozczarowania.

Wskoczyłam na Night, a Jared dosiadł swojego konia.

– To gdzie jedziemy? – zapytał.

Z wrażenia o mało nie spadłam z siodła.

– Wyjaśnijmy sobie coś – powiedziałam ostro. – To, że uratowałam ci tyłek, nie oznacza, że mam zamiar matkować ci nie wiadomo ile. – Wyglądał na urażonego, ale nic mnie to nie obchodziło. – Dopilnowałam, żebyś oprzytomniał, nakarmiłam cię, a teraz nasze drogi się rozchodzą.

– Ale Alice... – zaczął jękliwie.

– Nie ma żadnego *ale* – przerwałam. – Jeśli ja jadę w prawo, ty jedziesz w lewo. Koniec dyskusji.

Ścisnęłam piętami boki Night i ruszyliśmy. Jared zrównał się z nami po chwili.

– Chyba wyraziłam się jasno?

– Poczekaj, Alice. Daj mi szansę. Jeśli po tym, co powiem, nadal nie będziesz chciała, bym z tobą wędrował, odjadę.

Coś mówiło mi, że nie odpuści.

– Dobrze. – Zatrzymałam konia i zaplotłam ręce. – Mów.

– Jesteś kobietą i podróżujesz sama – zaczął odrobinę niepewnie. – W tej krainie to nie jest zwyczajne, chyba że jesteś kobietą wojowniczką, ale wybaczone, nie do końca na taką wyglądasz. Jeśli będziesz miała giermka, do którego roli nadaję się idealnie, nie będziesz wzbudzała zainteresowania. Przynajmniej aż tak wielkiego, jakie wzbudzałabyś, podróżując sama.

– Nie boję się żadnych rozbójników – powiedziałam pewnie. – Nie przekonałeś się już, kto tu jest silniejszy?

– Tak, pokonałaś sama trzech, ale to nie jest normalne. W tej krainie wojowniczeki są prawdziwą rzadkością, chyba że... – zawiesił głos.

– Chyba że co?

– Chyba, że jesteś magiem – powiedział, jakby to było coś złego.

No dobra, czyli miałam jasność – tubylcy nie przepadają za magami. Byłam ciekawa, czy chodziło o to, że znajdujemy się w strefie wpływów smoków, czy nie lubili magów z zasady – podobnie jak i smoków. W końcu już w domu doszłam do wniosku, że nie mają tu lekkiego życia pod jarzmem silniejszych od siebie. Ta niechęć nie powinna mnie w ogóle dziwić. Chociaż z drugiej strony spodziewałam się jakiegoś strachu czy respektu. U Jareda nie wyczułam ani jednego, ani drugiego. Jedynie niechęć.

– Nawet gdybym była, co z tego?

– Wieśniacy nie lubią magów – oznajmił, potwierdzając moje przypuszczenia.

– Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek mnie lubił.

– Być może, ale potrzebujesz chyba noclegu i ciepłej strawy. Nie sędzę, byś miała w tych torbach nieograniczony zapas jedzenia – powiedział, spoglądając w kierunku nie tak bardzo już wypchanych tobołów.

Rzeczywiście, miał rację. Dawno zjadłam wszystkie batoniki, zupek chińskich co prawda miałam jeszcze całkiem sporo, ale i tak niedługo będę musiała uzupełnić zapasy.

– Więc to jest twój świetny powód? Mam zabrać cię ze sobą, żeby nie zwracać na siebie uwagi i żeby lubili mnie wieśniacy? – spytałam z kpiną w głosie.

– Och, nie – zaprzeczył szybko. – Oczywiście, mogę być użyteczny.

– Doprawdy?

Otaksowałam wzrokiem jego wątle, blade ramiona. Zarumienił się pod moim spojrzeniem.

– Mogę... mogę... nosić opał i wodę, rozpalać ognisko, doglądać koni, mogę nawet zmywać!

– Wszystko to potrafię zrobić bez twojej pomocy.

– Tak, ale mogłabyś wykorzystać ten czas na odpoczynek – kuśił.

Wizja posiadania własnego służącego była pociągająca, czułam, że zaczynam mięknąć.

– Nie mam zamiaru za ciebie płacić – oznajmiłam, chcąc go ostatecznie zniechęcić.

Błysnął zębami w uśmiechu. Były całkiem białe, aż zaczęłam się zastanawiać, czy jednak nie znają tu szczoteczki do zębów. Wyteżyłam pamięć, żeby przypomnieć sobie użębienie spotkanego przeze mnie wieśniaka i rozbójników, ale jakoś nie zwróciłam na nie uwagi.

– Nie będziesz musiała.

– Nie wmówisz mi, że tamci trzej cię nie okradli.

Uśmiechnął się figlarnie i wyciągnął zza pazuchy sakiewkę, która była nawet grubsza od tej, którą dostałam od Toma.

Tym razem to ja ze zdumienia otworzyłam usta.

– Jak...?

– Ma się swoje sposoby. – Mrugnął do mnie, bezczelnie powtarzając odzywkę, którą uraczyłam go wcześniej. – To właśnie dlatego byli tacy zirytowani.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie masz instynktu samozachowawczego? Wolaleś zginąć, niż oddać im pieniądze?

Przybrał zacięty wyraz twarzy, wysuwając nieco szczękę do przodu.

– Te pieniądze będą mi potrzebne.

Przypomniałam sobie jego mamrotanie.

– Do twoich poszukiwań?

Zaczerwienił się po same koniuszki uszu.

– Masz nadzieję oczarować za ich pomocą jakąś księżniczkę? – kpiłam bezlitośnie. Myślałam, że nie mógł już stać się bardziej czerwony po tym, jak powiedziałam o poszukiwaniach, ale myliłam się. Gdy wspomniałam o księżniczce, jego twarz przybrała szkarłatny kolor.

– Wyjaśnijmy sobie coś. Ja nie szukam żadnej szlachetnie urodzonej panny w opalach i nie pomogę ci w twoich poszukiwaniach. Masz teraz doskonałą okazję, żeby odjechać i kontynuować swoją wyprawę.

– Nie. – Uparcie pokręcił głową. – Uratowałaś mi życie i mam wobec ciebie dług. Moje poszukiwania mogą poczekać. Jestem ci zobowiązany i chcę pomóc, jak tylko będę potrafił.

– Zawsze możesz oddać mi swoją sakiewkę – zaproponowałam półzartem.

– Nie. – Ponownie pokręcił głową. – Nie mogę spłacić tego długu żadną, nawet najpełniejszą sakiewką.

– Ja nie mam nic przeciwko.

Jared nie dał się przekonać.

– Więc jak? Mogę ci towarzyszyć?

Zastanawiałam się przez chwilę. Był tubylcem, wiedział wiele o mieszkańcach tej krainy, ja prawdę mówiąc nie miałam o nich zielonego pojęcia. Nie znałam ich zwyczajów, reakcji. Jared mógł mi to wszystko przybliżyć, pomagając uniknąć niepotrzebnych wpadek. No i oczywiście miałabym osobistego służącego. Nie musiałabym dłużej martwić się o takie rzeczy, jak noszenie wody czy rozpalanie ogniska. Przygryzłam wargę, bijąc się z myślami. Wszystkie te dobre strony były niczym przy fackie, że musiałabym znosić jego towarzystwo. No i nie mogłam zabrać go ze sobą do Warowni O'ren. Nie potrzebowałam daru jasnowidzenia, żeby wiedzieć, że ani osławiona przywódczyni magów, ani Tom nie byłiby zadowoleni, gdybym przywlekła za sobą jakiegoś wyrostka.

– Mam kilka warunków – powiedziałam wreszcie.

– Jasne. – Ucieszony Jared był gotów zgodzić się na wszystko.

– Po pierwsze, ja tu jestem szefem i jeżeli coś powiem, masz traktować to jako najwyższą świętość. Nie będę tolerowała żadnych sprzeciwów czy narzekań.

Skiną głową, jakby było to oczywiste.

– Po drugie – powiedziałam, odginając palec wskazujący – nie jestem tu na wycieczce krajoznawczej. Zależy mi na jak najszybszym przebyciu tego traktu i mam zamiar pokonywać przynajmniej pięćdziesiąt kilometrów dziennie. Jeśli nie będziesz nadążał, będziemy musieli się pożegnać.

– Dam radę.

Uniosłam brwi i odgięłam trzeci palec.

– Po trzecie, nie życzę sobie żadnych pytań. Możesz zostać giermkim, ale to

nie czyni cię moją przyjaciółką.

Skinął głową, na znak, że rozumie.

– I po czwarte – powiedziałam, odginając czwarty palec – w pewnym momencie będziemy musieli się rozstać. Kiedy powiem, że ten moment właśnie nadszedł, odejdziesz i nie będziesz próbował dalej za mną iść. Rozumiemy się?

– Tak.

– No to jedziemy. Nie będę tu sterczała do południa. – Pogoniłam Night i szybko zostawiłyśmy w tyle kasztanowego konia.

Gdy słońce znalazło się wysoko na niebie, a temperatura stała się bardzo uciążliwa, zarządziłam postój. Musiałam przyznać, że Jared się starał. Natychmiast zabrał się do rozprzegania koni, wytarł ich spocone boki, napił je i nakarmił. Ja w tym czasie wyciągnęłam się na trawie, urwałam jedno, długie źdźbło, wsadziłam sobie do ust i leżałam, ciesząc się rzucanym przez drzewa cieniem.

Jared krążył wokół. Przeszedł obok mnie kilka razy, aż zaczęłam się irytować. Wolałam już dowiedzieć się, czego chciał, niż znosić jego podchody

– Nie jestem słońcem, więc przestań orbitować i chodź tutaj – rozkazałam, wskazując miejsce na trawie. Posłusznie usiadł obok. – O co chodzi?

Milczał cały czerwony.

– No wyduś to wreszcie! – Nigdy nie grzeszyłam cierpliwością.

– Nie będziemy nic jeść? – wybąkał w końcu.

Chwilę patrzyłam na niego zdziwiona, aż dotarło do mnie znaczenie jego słów. Ściągnęłam sobie na kark dorastającego i wiecznie głodnego młodzieńca.

– Nie ma już chleba, nie mam jak zrobić kanapek. Poza tym serio, już jesteś głodny?

Zawstydzony pokiwał głową. Wyraźnie czuł się niekomfortowo, dopominając się o jedzenie.

– Może mogłabyś wyczarować mi taką zupę jak wczoraj? – zapytał nieśmiało.

Pokręciłam głową.

– Nie będziemy specjalnie rozpalać ogniska.

Mogłam co prawda zagotować wodę za pomocą magii, ale nie chciałam ujawniać swoich umiejętności. Wyraz rozczarowania na jego twarzy był komiczny. Westchnęłam.

– Podaj mi torbę.

Spełnił polecenie w mgnieniu oka. Wyjęłam suchary i wręczyłam mu. Zdziwiony obracał je w rękach.

– Co się tak gapisz? Sucharów nie widziałeś?

– Widziałem, ale nigdy w takim opakowaniu. – Patrzył na mnie podejrzliwie.

– Skąd je wzięłaś?

– Pamiętasz, co powiedziałam? Żadnych pytań. Jedz.

Położyłam się z powrotem, przeklinając podjętą decyzję. Co mnie podkusiło, żeby ściągać sobie na głowę takie dziecko? Zaczynałam zastanawiać się, czy to nie był właśnie wspomniany przeze mnie moment, w którym powinniśmy się rozstać. Mogłam opiekować się kotem, ale coś takiego mnie przerastało. Byłam zbyt niezależna na matkowanie Jaredowi. Spojrzałam na niego spod na wpół przymkniętych powiek. Chłopak, mimo że wysoki niczym drzewo, wyraźnie potrzebował opieki. Zastanawiałam się, co robią teraz jego rodzice. Czy przejęli się jego ucieczką? Czy wiedzą, że wyruszył na poszukiwanie księżniczek? Tak czy owak, zwalili sprawę. Nie upilnowali własnego dziecka, a teraz ja miałam je na głowie. Postanowiłam, że dam mu kilka dni czasu. Jeśli częściej będzie mnie irytował, niż okazywał się przydatny, nasze drogi będą musiały się rozejść. Z tą myślą podniosłam się i zarządziłam koniec przerwy. Jared siodłał konie, a ja w tym czasie wyjełam nowszą z podarowanych mi przez Toma map i szukałam najbliższej tawerny. Z radością odkryłam, że w niewielkiej odległości od Malowniczego Lasku znajduje się gospoda „Pod końskim łbem”. Miałam nadzieję, że uda nam się dotrzeć do niej przed zachodem słońca.

Mieliśmy szczęście. Mrok zapadł dosłownie na kilka minut przed tym, jak naszym oczom ukazały się wreszcie jakieś oznaki cywilizacji. Wjechaliśmy do niewielkiej wioski. Z zainteresowaniem lustrowałam nieduże, chylące się we wszystkie strony chatki, które zamieszkiwali tubylcy. Ta kraina pilnie potrzebowała kompetentnych architektów, bo domy, które mijałam, wyglądały jak spełniony sen szalonego, ale też niedouczonego stolarza. Znakomita większość została zbudowana z drewna, tawerna jako jedyna miała kamienną podmurówkę. Mieszkańcy wioski korzystali ze starego sposobu i na dach kładli słomę. Pociemniała z biegiem lat i była tak zbita, że deszcz spływał po niej pewnie jak po zwyczajnych dachówkach. W rozmieszczeniu domów nie było żadnej regularności, miałam wrażenie, że wieśniacy stawiali je gdzie popadnie. Nie zauważyłam też niczego, co sugerowałoby, że wioska byłaby w stanie obronić się, gdyby ktoś na nią napadł. Żadnych budynków obronnych, nic, co można by wykorzystać do walki.

Wioska wyglądała jak żywcem wyjęta ze średniowiecza. Zmarszczyłam nos, usiłując sobie przypomnieć, co mówił Tom. Drogi Elegestii i naszego wymiaru rozeszły się, w konsekwencji zamiast techniki panowała tu magia. Wspominał coś o kilku wiekach, ale nie przypominałam sobie żadnej konkretnej daty. Rewolucja techniczna przypadała na zaledwie poprzedni wiek, ale kto wie, może to alternatywne zdarzenie polegało na tym, że zginął jakiś przodek Edisona? Miałam

paskudne przeczucie, że gdybym jednak przeczytała *Historię Elegestii*, nie miałabym podobnych dylematów. Przekląłam w duchu. Nie wiedziałam, ile razy jeszcze moje lenistwo będzie się na mnie mścić, ale przeczuwałam, że mniej więcej na każdym kroku.

Z łatwością rozpoznałam tawernę. Był to najbardziej okazały i solidny budynek we wsi. Tuż obok stał jeszcze większy, dochodziło z niego rzenie koni. Stajnia.

Zeskoczyłam z konia i z przyjemnością rozprostowałam nogi. Od długiej jazdy nie czułam już tyłka, ale byłam zdesperowana i chciałam jak najszybciej znaleźć się z powrotem we własnym domu. Podałam uzdę Jaredowi.

– Ty śpisz w stajni, masz pilnować Night jak oka w głowie. Jeśli coś jej się stanie... – zawiesiłam głos, pozwalając, by niewypowiedziana groźba zawisła w powietrzu

– Prędeż zginę, niż pozwolę, by coś jej się stało – zapewnił mnie ochoczo.

Spojrzałam na niego tak, jak patrzą matki, gdy ich pociechy szafują wielkimi słowami, nie mając tak naprawdę pojęcia o ich znaczeniu. Night umiała bronić się sama, o czym zdążyłam się już przekonać. Tak czy inaczej, nie zamierzałam dzielić pokoju z Jaredem, zresztą giermkowie chyba właśnie do tego służyli, czyż nie?

– Przyślę ci służącego z jedzeniem.

Nie zaprzatając sobie dłużej głowy Jaredem, energicznie otworzyłam wiszące na jednym zawiasie drzwi gospody „Pod końskim łbem” i wkroczyłam do środka. Powitał mnie niemiłosierny zaduch zbiorowiska ludzkich, nie do końca czystych ciał i... upragniony zapach jedzenia. Zająłam miejsce w kącie, gdzie miałam niezły punkt obserwacyjny. Jared miał chyba trochę racji – oprócz służących byłam tu jedyną kobietą. Podbiegł do mnie wychudzony chłopaczek, młodszy o kilka lat od mojego giermka.

– Czym mogę służyć czcigodnej pani? – zapytał, wytrzeszczając oczy. Choć jak mu się przyjrzałam, stwierdziłam, że ten wytrzeszcz był stanem permanentnym.

– Wszystkim, co macie tu najlepszego!

– Polecam pieczeń jagnięcą.

– Niech będzie. I coś do przepłukania gardła. Aha, w stajni znajduje się mój... – zawiesiłam na chwilę głos, niepewna jakiego określenia użyć – ...koniuszy – powiedziałam w końcu. – Zanieś mu coś do jedzenia.

Chłopak szybko odwrócił się i pobiegł spełnić polecenie.

Z braku lepszego zajęcia zaczęłam przyglądać się ludziom. Zwykle tego nie robiłam, ale w tym wypadku moja ciekawość była uzasadniona. Większość nosiła ubrania podobne do tego, które widziałam u pierwszego spotkanego wieśniaka – luźne koszule bez guzików, szyte, jak zauważyłam, niezbyt równymi ściegami, spodnie czy raczej portki z wysokim stanem i buty sięgające kostek. Wszystko w burych kolorach, jakby w *Elegestii* nie wynaleziono jeszcze barwników. Co do

fizjonomii wieśniaków – cóż, nie różniły się zanadto od tych, jakie można ujrzyć w podrzędnych barach. Z łatwością potrafiłam rozpoznać kowala w ogromnym mężczyźnie, którego wszyscy darzyli mimowolnym respektem. Ci z barczystymi, umięśnionymi ramionami bez wątpienia byli drwałami.

Nagle drzwi otworzyły się i uwaga wszystkich skupiła się na mężczyźnie, który stanął w drzwiach. Nawet gdybym siedziała tyłem do niego, z zamkniętymi oczami potrafiłabym powiedzieć, że do środka wszedł mag. Wyraźnie wyróżniał się z tłumu. Długa szata, którą miał na sobie, była jasnoszara, twarz miała ostre rysy, w oczach błyszczało coś w rodzaju złośliwości i niewątpliwie inteligencji, choć na tle patrzących bezmyślnie wieśniaków wystarczyło w ogóle myśleć, żeby wyglądać na bardziej inteligentnego. Zlustrował wzrokiem pomieszczenie. Wstrzymałam oddech, gdy jego spojrzenie zatrzymało się na mnie na chwilę. Nie podszedł do mojego stolika, zamiast tego, ignorując wszystkich, ruszył prosto w stronę właściciela gospody, który już stawiał na barze wielki kufel spienionego piwa. Ach tak, ktoś tu się nieźle ustawił.

Oderwałam wzrok od maga, gdy w końcu przed moim nosem wylądowała parująca i wyglądająca zaskakująco apetycznie pieczeń. Służący postawił mi jeszcze obok kufel piwa i zniknął. Nie zwlekając, zabrałam się do jedzenia. Zawsze lubiłam dobrze pojeść, a choć zaserwowane danie nie smakowało tak rewelacyjnie, jak wyglądało, co przypisywałam brakowi odpowiednich przypraw, doceniłam i to. Po kilku dniach żywienia się suchym prowiantem i zupkami nie byłam zbyt wybredna.

Skupiłam się na jedzeniu, ale nie tak, by nie zauważyć, że atmosfera w tawernie się zmieniła. Wyczuwałam w powietrzu jakąś niechęć i nie musiałam być specjalnie spostrzegawcza, żeby zorientować się, co było tego przyczyną. Tym bardziej, że gdy mag zjadł to, co mu podano, i wyszedł bez płacenia, wszyscy jakby odetchnęli z ulgą. Łowiłam strzępki rozmów, które dolatywały do mojego stolika. Udało mi się wywnioskować z nich, że mag zajmował się ściąganiem podatków.

A więc magiczny poborca. Nie byłam zdziwiona, w końcu Tom mi o tym wspominał. Nie dziwiła mnie też niechęć, połączona jednak z pewnym respektem, okazywana przez wieśniaków. Nie wiedziałam, jak wysokie były podatki, ale sądząc po warunkach, w jakich żyli, zapewne za wysokie. Mimo wszystko bali się maga i otwarcie okazywali niezadowolenie dopiero, gdy wyszedł.

Kiedy skończyłam jeść, popiłam wszystko piwem i z westchnieniem wyciągnęłam się na krześle. Jako że usiadłam w kącie, nie rzucałam się za bardzo w oczy, ale kilku typów zdążyło mnie już zauważyć. Strzelali oczami w moim kierunku, szepcząc między sobą. Nic sobie z tego nie robiąc, wysupłałam z sakiewki dwie cienkie, srebrne monety, które wydawały mi się godziwą zapłatą, i ruszyłam w stronę baru. Stał za nim łyśy, gruby facet w tłustym fartuchu.

Niesamowicie brudną szmatą przecierał jeszcze brudniejsze szklanki. Wychodziło na to, że zwyczajnie barmanów z obu wymiarów są podobne.

– Życzy sobie pani nocleg? – spytał.

– Owszem.

Przez chwilę targowaliśmy się odnośnie ceny i w końcu, gdy przekazałam mu pięć srebrnych monet, podał mi klucz. Weszłam na piętro po drewnianych schodach, odprowadzana mnóstwem męskich spojrzeń. Wiedziałam, że nie wróżą niczego dobrego, ale nie byli na tyle godnymi przeciwnikami, bym poświęciła im choć jedną myśl.

Otworzyłam ostatnie drzwi po lewej w ciemnym, wąskim korytarzu i weszłam do niewielkiego, obskurnego pokoiku. Znajdowało się w nim jedynie łóżko, nakryte kilkoma stęchłymi kocami, niewielka komoda, krzesło i miednica z wodą. Zamknęłam drzwi na klucz, a potem zablokowałam je krzesłem. Umyłam się szybko i wyciągnęłam na niewielkiej pryczy. Jęknęła nieprzyjemnie pod moim ciężarem. Pod poduszkę wsadziłam sztylet i sakiewkę z pieniędzmi, a na komodzie postawiłam drewniane pudełeczko, które dał mi Tom. Wkrótce, zmęczona trudami podróży, zasnęłam.

Obudziło mnie mało dyskretne skrzypnięcie i jeszcze mniej dyskretne przekleństwo, które ktoś wymamrotał pod nosem. Zacisnęłam palce na rękojeści skrywanego pod poduszką sztyletu. Otworzyłam szeroko oczy i w mroku dostrzegłam niewyraźne kontury męskiego ciała. Doszedł mnie również kwaśny odór rozkładającego się piwa. Oddychałam głęboko, najmniejszym ruchem nie zdradzając, że nie śpię. Mężczyzna potknął się jeszcze kilka razy, nim stanął nad moim łóżkiem. Musiałabym chyba być bardziej pijana niż on, żeby się nie obudzić, ale ciągle pozwalałam mu zachować złudzenie, że porusza się bezszelestnie. W końcu byłam tylko kobietą, a on wielkim, silnym mężczyzną. Wiadomo, po czyjej stronie była przewaga.

Rozglądał się, najwyraźniej w poszukiwaniu sakiewki, aż jego wzrok przykuła stojąca na komodzie szkatułka. Wyciągnął w jej kierunku wielkie łapsko i wtedy stwierdziłam, że moja cierpliwość się skończyła. Z rozmachem wbiłam sztylet w środek jego dłoni, przygważdżając ją do drewnianej komody. Zawył głośno, budząc pewnie całą wioskę swoim zwierzęcym wrzaskiem.

– Szukasz czegoś? – zapytałam z nieprzyjemnym uśmiechem, którego pewnie nawet nie zauważył, zamroczony bólem.

Wyskoczyłam z łóżka, chwytając pudełko i sakiewkę. Ostrze ciągle tkwiło w jego dłoni, a ja nie miałam ochoty na utratę kolejnej sztuki broni. Nie zważając na jego przerażoną minę, wyszarpnęłam sztylet, powodując, że krew buchnęła ciemnym strumieniem. Mężczyzna zemdlał z wrażenia, a ja chwyciłam go za fraki

i wywlekłam z pokoju. Upuściłam jego bezwładne, zakrwawione ciało na korytarzu, gdzie zdążył się już zgromadzić niewielki tłum.

– Co tu się dzieje? – zapytał poddenerwowany mężczyzna, chyba właściciel gospody.

– Nic. – Rzuciłam mu niewinne spojrzenie. – Miałam niezapowiedzianego gościa, ale właśnie wychodził.

Nie zważając na osłupiałe miny zaspanych ludzi, odwróciłam się na pięcie i zamknęłam za sobą drzwi, przekręcając klucz w zamku. Nie wiedziałam, która była godzina, ale ta nocna wizyta pozbawiła mnie upragnionego snu. Tym razem rzuciłam na drzwi zakłęcie, dzięki któremu nikt oprócz mnie nie mógł przekroczyć progu, i pewna, że już nikt nie będzie mnie niepokoił, szybko zasnęłam.

ROZDZIAŁ 5

Po wczorajszym nocnym incydencie nie miałam ochoty na długie wylegiwanie się w łóżku. Zresztą, było w zasadzie pozbawione materaca, przez co czułam się, jakbym spała na deskach. Nie różniło się to wiele od leżenia na gołej ziemi, więc zerwałam się skoro świt i czym prędzej opuściłam obskurny pokój. Zjadłam skromne śniadanie, unikając spojrzeń tych kilku ludzi, którzy jeszcze, a może już, siedzieli w gospodzie. Ubiłam niewielki interes z właścicielem. Widziałam, że miał wielką ochotę, bym zniknęła jak najprędzej, dzięki czemu nie targował się zbyt ostro. Kupiłam u niego kilka bochenków chleba i trochę suszonego mięsa. Nie wiedziałam, co sobie myślał. Z jednej strony chciał się mnie pozbyć, ale z drugiej... ciekawska natura nie dawała mu spokoju. Kim byłam, że tak rozprawiałam się z mężczyzną, który miał mnie pewnie okraść, a kto wie, może i zamordować? Jakie umiejętności skrywałam? Cokolwiek to było, na pewno nie wróżyło nic dobrego i właściciel gospody doskonale musiał zdawać sobie z tego sprawę, bo ciekawość walczyła w jego spojrzeniu z podejrzliwością. Odprowadzał mnie wzrokiem do samych drzwi.

Night stała w stajni w jednym boksie obok kasztanka. Zwinięty w kącie na stogu siana spał Jared. Zrzuciłam go bezceremonialnie z niewielkiej kopki.

– Co się dzieje? – zapytał wystraszony, nie do końca jeszcze kontaktując.

– Pobudka. Siodłaj konie, zaraz wyruszamy.

Rozejrzał się dookoła rozkojarzonym wzrokiem.

– Ale przecież ledwo świta.

– Żadnych *ale!* – ucięłam ostro. – Wstawaj!

Sama zajęłam się siodłaniem Night, zapisując kolejny minus na koncie Jareda. W końcu oprzytomniał na tyle, że zaczął przygotowywać do drogi swojego kasztanka.

– Nie będzie śniadania? – zapytał żalonym tonem.

– Masz. – Rzuciłam mu niewielkie zawiniątko z jedzeniem. – Potrafisz jeść w czasie jazdy?

– Jasne.

– No to jedziemy. – Wskoczyłam na Night i ruszyłam, nie oglądając się za siebie. Z ulgą zostawiałam za sobą tę wioskę. Właściwie powinnam spodziewać się takich sytuacji na każdym kroku, ale mimo wszystko spojrzenia, którymi obrzucali mnie tubylcy, sprawiały, że czułam się nieswojo. Nie wiedziałam, co było gorsze: otwarta pogarda i niechęć czy ta nie wróżąca niczego dobrego ciekawość. Chciałam – ku obopólnemu zadowoleniu – jak najszybciej zniknąć im z oczu.

Koło południa, kiedy chybotałe lepianki pozostały jedynie nieprzyjemnym wspomnieniem, zarządziłam postój. Jared natychmiast zajął się końmi, chcąc chyba zatrzeć wrażenie z poranka. Ja tymczasem, pomna wydarzeń z poprzedniego dnia, zajęłam się przygotowaniem posiłku. Rozpaliłam małe ognisko i czekałam, aż zagotuje się woda, potem wyjęłam z torby dwie zupki i zalałam. Specyficzny aromat rozszedł się po polanie, na której się zatrzymaliśmy, wabiąc Jareda.

– To znowu ta pyszna zupa? – zapytał z nadzieją.

Podaliśmy mu miskę, którą opróżnił w przeciągu niecałych dwóch minut, podczas gdy ja nie byłam jeszcze nawet w połowie.

– Czuję się, jakbym cię głodziła – powiedziałam. – Jesz w zastraszająco szybkim tempie.

Jared zaczerwienił się cały.

– Wybacz brak manier.

Zaśmiałam się. Przecież nie mogłam oczekiwać dobrych manier po zwykłym służącym, prawda?

– Wybaczam, ale na przyszłość staraj się nie jeść tak szybko. Jedzeniem trzeba się delektować, od takiego połykania możesz jedynie dostać wrzodów na żołądku.

Nadal czerwony, Jared pokiwał głową, a ja odniosłam wrażenie, że nie byłam pierwszą osobą, która mu to mówi.

Dokończyłam swoją zupę, po czym Jared zabrał obie miski i poszedł umyć je w strumieniu. Powąchałam swoje włosy, które po nocy w zatęchłej pościeli nie oszałamiały zapachem. Wybrałam miejsce, gdzie Jared mnie nie widział i zaczęłam myć. Wzięłam z torby jedno z jednorazowych opakowań szamponu i teraz szorowałam zawzięcie, chcąc pozbyć się paskudnego zapachu. Zatraciłam się w tej czynności na tyle, że nie zauważyłam zbliżającego się Jareda. Stał nad brzegiem i gapił się na mnie, a jego otwarte usta utworzyły idealnie okrągłą literę o. Cholera, przesadziłam z tą pianą.

– To jakieś czary? – zapytał ze strachem na twarzy. Wreszcie! Doczekałam się strachu, szkoda tylko że nie wtedy, kiedy go oczekiwałam.

– Nie! – krzyknęłam wkurzona. – Odwróć się!

Szybko zmyłam pianę i zaplotłam warkocz. Na polanie czekał na mnie Jared. Siedział pod drzewem, a strach nadal malował się na jego twarzy.

– Co to było? Czary? – zapytał tonem zabobonnego wieśniaka.

– Przecież powiedziałam, że nie. Jedynie środek czyszczący. – Ten jeden raz postanowiłam mimo wszystko odpowiedzieć na jego pytanie.

– Nigdy takiego nie widziałem.

Przewróciłam oczami.

– Ty w ogóle niewiele widziałeś. A teraz rusz tyłek spod tego drzewa i siodłaj konie!

Posłusznie spełnił moje polecenie i wkrótce z powrotem galopowaliśmy ubitym traktem.

Jechaliśmy bez przerwy przez kilka godzin, aż zauważyłam wyraźną zmianę w krajobrazie. Zniknęły rozłożyste drzewa, a trakt przestał być doskonale ubity. Kopyta Night grzęzły w ziemi, w zasięgu wzroku miałam mnóstwo niewielkich zbiorników wodnych. Do moich nozdrzy doszedł specyficzny zapach rozkładającej się roślinności i błota. Rozłożyłam na końskim grzbiecie wyjętą z torby mapę. W niezbyt dużej odległości od Malowniczego Lasku i gospody „Pod końskim łbem” znajdowały się tereny bagienne. Nie były dokładnie oznaczone, przez co nie bardzo wiedziałam, na jak rozległym obszarze się znajdują. Jared zrównał ze mną swojego kasztanka.

– Robimy postój? – zapytał z nadzieją.

Spojrzałam na niebo. Do zachodu słońca pozostało jeszcze kilka godzin, nie byłam pewna, czy zdołamy pokonać tę przeszkodę przed zapadnięciem zmroku. Z drugiej strony, nie mogłam pozwolić sobie na takie marnotrawienie czasu. Chciałam jak najszybciej dotrzeć do Warowni O’ren.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Jedziemy dalej.

– Jesteś pewna? – Zerknął mi przez ramię na mapę. – Nie chciałbym znaleźć się po zmroku na tych bagnach.

– Człowieku małej wiary. – Spojrzałam na niego z przyganą. – Damy radę.

Nie wyglądał na przekonanego, ale ruszył za mną bez dalszych protestów.

– Uważaj tylko na bagienne węże – rzuciłam, chcąc się z nim podrażnić.

– Na co? – Jego głos podniósł się o oktawę.

– Och, nie udawaj, że nigdy nie słyszałeś o żadnych bagiennych stworach – powiedziałam wesoło, konwersacyjnym tonem.

Przełknął ślinę.

– Słyszałem. I właśnie to mnie martwi.

– Powiedziałabym, że jesteś płochliwy niczym babcia, ale obraziłabym wtedy moją własną, która była naprawdę twardą sztuką.

– Była?

– Tak. Nie żyje – powiedziałam krótko.

– Przykro mi.

Wzruszyłam ramionami. Umarła ponad dziesięć lat temu, już dawno się z tym pogodziłam. Niemniej, lubiłam ją wspominać. Wszystkie nasze spotkania będą pamiętać do końca życia.

– Gdyby się zdarzyło, że nie zdążymy przed zachodem słońca, pamiętaj o jednym – nie idź w stronę światła – rzuciłam i zarechotałam złośliwie na widok jego przestraszonej miny. Był jeszcze dzieciakiem. Wyższym ode mnie o głowę,

ale ciągle dzieckiem.

Nagle dopadły mnie wątpliwości. Jeśli coś mu się stanie, będę go miała na sumieniu, a nie miałam najmniejszego zamiaru robić za niczyją niańkę. Zerknęłam na niego kątem oka. Nieco przydługie, zwichrzone włosy w kolorze piasku opadały mu na twarz. Malowało się na niej skupienie. Starał się jak mógł nie okazywać strachu. Za to powinnam zapisać mu plusa.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, a przed nami rozciągały się jedynie połacie bagien. Zrobiło się chłodniej, ciemniej i straszniej. Do naszych nozdrzy docierał nieprzyjemny, bagienny zapach – mieszanina zgnilizny i rozkładu. Siedziałam na Night wyprostowana jak struna i uważnie obserwowałam otoczenie, starając się nie wzdrygać przy każdym niepokojącym odgłosie.

– Co zrobimy? – zapytał Jared. – Chyba nie będziemy tu nocować?

– Jeśli masz ochotę.

Wzdrygnął się.

– Najmniejszej.

– Tak myślałam. Czyli jedziemy dalej.

– Ale jestem głodny – zajęczał.

– Pomyśl o tym tak, że zawsze sam możesz stać się posiłkiem.

Spojrzał na mnie ponuro.

– Umiesz odebrać apetyt, co?

– Staram się jak mogę. – Obdarzyłam go szeroki uśmiechem, który momentalnie spełził mi z twarzy na widok poczwary, jaka ukazała się przed nami. Jared, widząc moją minę, powolutku odwrócił głowę.

– To utopiec – wyszeptał z twarzą bladą jak płótno.

– Zgadza się.

– Uciekamy?

– Stoi nam na drodze.

– Możemy uciec w tył.

– Skąd wiesz, czy z tyłu nie czekają na nas jego kumple?

– Czyli walczymy?

Skinęłam głową i wyciągnęłam sztylety. Ponoć utopce mogły przybierać postać powabnych młodzieńców lub panien, jeśli chciały uwieść człowieka, ale ten najwyraźniej nie miał takiego zamiaru. Ukazał nam się w całej swojej brzydocie. Utopce to topielcy, którzy pod wpływem magii przemienili się w coś w rodzaju bezmózgich zombie, gustujących w ludzkim mięsie. Jeśli więc ten nie zamierzał nas uwieść, wniosek nasuwał się sam – musiał myśleć o nas jako o przyszłej kolacji.

– To powinna być szybka akcja, nie możemy się wahać. Najlepiej ustaw się za moimi plecami – powiedziała Jaredowi, który szybko i z ochotą spełnił moje polecenie.

Paskudny stwór zwrócił na mnie spojrzenie swoich wielkich, wylupiastych oczu. Jego ciało było oślizgłe i napuchnięte, skóra bladozielona i obwisła. Za życia musiał być mężczyzną, co wnioskowałam po zmarszczonym worku zwisającym mu na wysokości bioder. Wydał z siebie nieartykułowany, gulgoczący dźwięk i ruszył w naszym kierunku. Night zarżała niespokojnie, a kasztanek Jareda kwiknął niczym świnia. Nie miałam najmniejszego zamiaru zbliżyć się do tej poczwary na odległość mniejszą niż kilka metrów. Obawiałam się wyziewów i gazów, które mogła wydzielać. Najbardziej martwił mnie trupi jad. Obserwowałam uważnie, jak stawia swoje pletwiaste stopy z błonami między palcami, śledząc trajektorię jej ruchów. Wycelowałam dokładnie i wkładając w to całą siłę, rzuciłam sztyletem. Trafiłam w miejsce, gdzie kiedyś była tętnica szyjna. Ostrze rozcięło bladą skórę i na wierzch wypłynęła wielka ilość cuchnącej, szlamowatej juchy. Skrzywiłam się, gdy dotarł do mnie paskudny zapach.

– Zatkaj nos – poleciłam Jaredowi, sama również korzystając z własnej rady.

Potwór stał jeszcze przez chwilę i mogliśmy podziwiać jego wykrzywione, bezmyślne oblicze, po czym padł twarzą w błoto.

– No – powiedziałam zadowolona. – I po kłopotach.

Poczułam na ramieniu dłoń Jareda.

– Alice?

– Tak?

Nie rozumiałam, czemu nadal był taki blady i wystraszony. Może miał ochotę wymiotować? Szczerze mówiąc, ja też siłą powstrzymywałam wracający mi do gardła obiad.

– Przyszli koledzy.

Obróciłam się gwałtownie i ujrzałam wypełzające ze wszystkich możliwych dziur oślizgłe, blade ciała.

– Cholera. Tyłu sztyletów nie mam. A walka wręcz mi się nie uśmiecha.

– Można je załatwić ogniem – powiedział nagle, jakby przypomniało mu się to dokładnie w tej chwili.

– Świetnie! Skąd weźmiemy ogień?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

Zrobiłam cierpką minę.

– Będziesz musiał walczyć, sama sobie z nimi nie poradzę.

Pożałowałam, że zostawiłam miecz babci w wychodku. Mogłabym teraz dać go Jaredowi. Istniała szansa, że obchodziłby się z nim choć odrobinę lepiej niż ja. Tymczasem Jared zaskoczył mnie, wyciągając z torby niewielki miecz o dziwnym kształcie. Spojrzałam na niego niepewnie.

– Jesteś pewien, że dasz radę?

Skinął głową, a na jego bladej twarzy pojawiła się determinacja.

– Obwiąż sobie czymś twarz – rozkazałam, sama zakładając na swoją chustkę. Utopce były coraz bliżej, musieliśmy stawić im czoła. – Gińcie maskary! – wydarłam się, po czym wyszarpnęłam sztylet z martwego utopca i ruszyłam na przód. Dwa załatwiłam od razu, idealnie trafiając w tętnice. Podobnie jak pierwszy, padły twarzami w błoto i nie poruszyły się więcej. Ich kompani nie wyglądali na oburzonych, najwyraźniej śmierć pobratymców mało ich obchodziła. Patrzyli bez wyrazu, bezmyślnie poruszając się w moim kierunku. Jedyne, co mogłam wyczytać w ich oczach, to głód – pragnęli ludzkiego mięsa, a ja byłam niczym chodzące zaproszenie.

Szponiasta dłoń chwyciła mój nadgarstek, ale wykręciłam ją, aż usłyszałam niemiły chrupot. Zerknęłam za siebie. Jared był zbyt zajęty wywijaniem swoim dziwnym mieczem, by na mnie patrzeć. Skupiłam się, mamrocząc pod nosem odpowiednie zaklęcie. Wyczarowałam niewielką kulę ognia i cisnęłam ją w stronę skradających się utopców. Zaskrzeczały, a do moich nozdrzy dotarł swąd palącego się ciała. Po chwili nastąpiła eksplozja i zostałam obryzgana cuchnącymi wnętrznościami topielców. Przewidziałam to i otoczyłam się wcześniej odpowiednim zaklęciem, dzięki czemu spłynęły po mnie jak woda po kaczkę, nie wchodząc w kontakt ze skórą. Nie cieszyłam się długo zwycięstwem. Kolejne hordy odrażająco cuchnących potworów napływały w moją stronę. Nie miałam czasu na zaklęcia. Musiałam walczyć wręcz. Trzymając sztylety w obu rękach, cięłam na oślep. Przestałam się martwić, czy trafiam w szyję, czy gdzie indziej. Liczyło się tylko, że padali jak muchy u moich stóp.

W pewnym momencie poczułam gorąco za plecami. Przecięłam tętnice kolejnej maskarzy i odwróciłam się gwałtownie. Za plecami miałam pożar. Nie wiedziałam, jakim cudem mogło do tego dojść, ale pomarańczowe płomienie strzelały wysoko w niebo, pochłaniając śmierdzące truchła. Usłyszałam przerażone rżenie Night i kasztanka.

– Na koń! – krzyknęłam do Jareda i z rozbiegu wskoczyłam na swoją klacz. Klepnęłam ją mocno w zad i popędziliśmy do przodu.

Gnaliśmy przed siebie, zostawiając w tyle rozgrzane powietrze. Po jakimś czasie odgłosy pożaru ucichły. Jakby nie patrzeć, przemierzaliśmy podmokłe bagno – zapewne płomienie szybko wygasły. Ciągle nie wiedziałam, jak do tego doszło. Eksplozja, którą wywołałam, była niewielka, a ogień trawił jedynie ciała utopców. W żaden sposób nie mógł się samoistnie rozprzestrzenić. Obrzuciłam Jareda podejrzliwym spojrzeniem.

– Ten pożar to twoja sprawka? – przyglądałam mu się uważnie. Musiałam wiedzieć, czy nie kłamie.

Zaczerwienił się i spuścił wzrok.

– Można tak powiedzieć.

– Jak to zrobiłeś?

– Ja tylko wykorzystałem ogień, który już tam był – powiedział obronnym tonem.

– Jesteś jakimś pieprzonym piromanem czy co?

Zamiast odpowiedzieć, zsunął się z konia i upadł twarzą w błoto. Szybko zeskoczyłam z Night i chwyciłam go za koszulę. Odwróciłam go twarzą do siebie i przeraziło mnie to, co zobaczyłam. Był zielony. Zielone źrenice, które zwykle odcinały się na tle jego twarzy, teraz jakby wtapiały się w tło. Spojrzałam na niego rozszerzonymi oczami i odwróciłam w porę, by zdążył zwymiotować na ziemię, zamiast na moje spodnie.

– A mówiłam, zatkaj nos! – Byłam wkurzona, ale widząc go w tak paskudnym stanie, nie potrafiłam się długo złościć. Myślałam intensywnie. Nie chciałam jawnie używać przy nim czarów. Wstałam i wyciągnęłam z torby garść niepozornie wyglądającego ziela. Mamrotałam przez chwilę pod nosem, czerpiąc magię z nieograniczonych zasobów otoczenia.

– Otwórz usta.

Kiedy posłuchał, bezceremonialnie wetknęłam mu ziele do buzi. Krztusił się przez chwilę, ale w końcu udało mu się przełknąć.

– Co to było? – wychrypiał.

– Poczujesz się po tym lepiej – odpowiedziałam wymijająco.

Podczas naszej walki słońce zaszło zupełnie, lepkie macki ciemności wyciągały się po nas ze wszystkich stron. Wolałam spędzić noc na koniu, niż próbować rozbijać gdzieś obóz, który stanowiłby otwarte zaproszenie dla nie wiadomo jakich potworów. Złapałam Jareda pod pachy i uniosłam. Musiałam włożyć w to sporo wysiłku, ale w końcu trenowanie boksu i mięśnie, które wyrabiałam sobie od dawna, na coś się przydały. Usadziłam go na koniu i sama dosiadłam Night.

– Dasz radę jechać? – zapytałam.

Skinął głową, chwiejąc się niebezpiecznie na grzbiecie swojego kasztanka.

– Będę jechała przodem. Trzymaj się w odległości nie większej niż pół metra. Właściwie to nic nie musisz robić, twój koń sam będzie podążał za Night. Ty tylko utrzymaj się w siodle.

– Dam radę.

Nie byłam tego taka pewna, ale nic nie powiedziałam. Ruszyliśmy. Night poruszała się wolno, noga za nogą. Nie czuła się dobrze, a ja nie mogłam jej winić. Zdałam się całkowicie na jej instynkt. Bagno nocą było przerażające. I choć dzielnie starałam się nie podskakiwać za każdym razem, gdy rozlegały się niepokojące dźwięki, nic nie mogłam poradzić na jeżące się na moim karku włoski. To było silniejsze ode mnie.

Po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że nie słyszę cichego mlaskania, jakie wydawały kopyta kasztanka, gdy odrywał je od grząskiego gruntu. Odwróciłam się powoli z niechętnym przecuciem, które oczywiście musiało się sprawdzić.

Jareda nie było.

Wyteżyłam wzrok, usiłując dostrzec jego sylwetkę, ale jedyne co widziałam, to otaczająca mnie zewsząd ciemność. Przeklełam w myślach. Cholerny dzieciak.

– Jared! – krzyknęłam głośno.

Odpowiedziała mi złowieszcza cisza.

Zawróciłam konia i wyczarowałam dużą kulę światła. Cofnęliśmy się kilkanaście metrów, aż dostrzegłam na ziemi podwójne ślady. Jeden z nich odbijał w lewo.

– Jared! – zawołałam jeszcze raz, kierując konia w tamtą stronę.

Kula światła, którą wyczarowałam, była jasna, ale i tak dostrzegłam unoszące się w powietrzu świetliki. Migwały zachęcająco, gdy podążałam w ich kierunku.

Cholera! A mówiłam – nie idź w stronę światła!

Chwilę rozważałam, czy jest sens go gonić. Musiał być skończonym kretynem, skoro popełnił tak oczywisty błąd, a ja nie potrzebowałam takiego towarzysza. Jeśli odszedł zbyt daleko, nie mogłam mu już pomóc. Pieprzone świetliki były nawet bardziej złośliwe niż ja. Szansa, że droga, którą ci wskazują, jest właściwa, równa się zeru. Sprowadzały na manowce takich głupców jak Jared. I mieli szczęście jeśli tylko stracili kilka dni drogi.

– Jared! – zawołałam ze złością. – To twoja ostatnia szansa!

O dziwo, usłyszałam ciche rżenie. Pogoniłam Night i wreszcie ujrzałam Jareda siedzącego na kasztanku i spoglądającego na mnie ze skruchą.

– Wiem, byłem głupi.

– To niedopowiedzenie roku! Co ty sobie w ogóle myślałeś? Mówiłam wyraźnie – nie idź w stronę światła. Czemu zignorowałeś moje polecenie? Zdajesz sobie sprawę, że jak do tej pory jesteś dla mnie tylko utrapieniem? Mam tego dość! Mam dość ciągłego ratowania ci tyłka, dość robienia za twoją niańkę. To koniec. Jak wydestaniemy się z tego bagna, nasze drogi się rozchodzą.

– Pozwól mi...

– Nie – przerwałam mu. – Nie chcę słuchać twoich wyjaśnień i kiepskich argumentów. Podjęłam decyzję.

– Alice, ostatnia szansa. – Spojrzał na mnie błagalnie. – Zawrzyjmy układ.

Rzuciłam mu pytające spojrzenie.

– Do świtu daleko, a musimy utrzymać się jakoś na koniach i nie zwariować. Opowiem ci historię. Jeśli ci się spodoba, pozwolisz mi zostać. Jeśli nie – odejdę.

Wzruszyłam ramionami, taksując go spojrzeniem. Jakoś wątpiłam, by jego historia okazała się porywająca, ale co miałam do stracenia?

– Zgoda – powiedziałam.

Wróciliśmy na główną drogę i kontynuowaliśmy nasz powolny pochód. Jared zaczął opowiadać.

– Dawno, ale to naprawdę dawno temu, kiedy w Elegestii panował jeszcze pokój, smoki i magowie żyli obok siebie i swobodnie wiązali się między sobą. – Nadstawiłam uszu, gdy zorientowałam się, że historia będzie o smokach i magach. To mogło być pouczające. – Małżeństwa międzygatunkowe były na porządku dziennym i nikogo to nie dziwiło. Elegestia była wtedy szczęśliwą krainą, której nie dokuczał głód ani wojny. W pewnej wiosce, gdzie mieszkały zarówno smoki, jak i magowie, żył bogaty kupiec, słynący ze swojej złośliwości. Obchodziło go jedynie powiększanie majątku, ale wbrew pozorom nie odnajdował szczęścia w kolejnych błyszczących złotem przedmiotach, które zdobiły jego dom. Nie zawsze taki był, nie zawsze liczyło się dla niego jedynie złoto. Za życia swojej żony ludzie określali go jako przyjaznego. Stał się taki po tym, jak jego żona umarła w połogu. Miał olbrzymi dom z ogrodem, ale nikt go nie odwiedzał, nikomu nie pozwalał na odwiedziny. Każdego, kto przekroczył próg jego posesji, mógł czekać jedynie stek wyzwisk i gróźb. Córka, Alaina, była jego całkowitym przeciwieństwem. W całej wiosce nie było miłszej i bardziej uprzejmej dziewczyny. Była nieśmiała, ale nigdy nie przeszkadzało jej to w wyciągnięciu pomocnej ręki do potrzebującego. Jej ojciec zżymał się za każdym razem, gdy dowiadywał się, że komuś pomogła, aż w końcu zabronił jej opuszczać dom. Całe dnie spędzała w ogrodzie i tylko zamieszkujące go zwierzęta mogły obserwować jej niezwykłą urodę. Jej matka była bardzo urodziwa, ale córka ją prześcignęła. Z każdym dniem stawała się coraz śliczniejsza i bardziej efemeryczna. Piękne więzienie, jakim stał się dla niej ogród, powoli zaczynało ją przytłaczać, ale kochała ojca, mimo że nigdy nie dał jej do zrozumienia, że odwzajemnia to uczucie, i nie chciała wykazywać się nieposłuszeństwem. W tym samym czasie smoczy książę wędrował po całej krainie w poszukiwaniu swojej wybranki. Musisz wiedzieć, że smoki wiążą się w pary na całe życie i mogą mieć najwięcej dwoje dzieci. Są to rzadkie przypadki, ale czasem się zdarzają. Smoczy książę miał już wiele lat, a jego rodzice starzeli się nieubłaganie. A mówimy tu o długowiecznych smokach. Nadchodził jego czas na objęcie rządów, ale bez królowej u swego boku i następcy tronu nie byłby wartościowym władcą. Dlatego wyruszył na poszukiwania, zdecydowany, by znaleźć swoją wybrankę. Jak możesz się domyślić, zawitał również do wioski, w której mieszkała Alaina. Przechadzał się jej ulicami, ale brudne twarze wieśniaczek nie były tym, o czym marzył. Zrezygnowany usiadł pod wysokim murem i w tamtym momencie usłyszał piękny śpiew. Alaina, by umilić sobie czas, śpiewała, a robiła to pięknie. Jej delikatny, smutny głos dotarł do uszu księcia i poruszył czułą strunę w jego sercu. Mur był wysoki, ale nie stanowił dla niego przeszkody. Przeskoczył go jednym susem

i znalazł się po drugiej stronie, w ogrodzie, który mógł przypominać raj. Wśród cudownej roślinności ujawniła mu się ona. Na początku pomyślał, że to zjawa – była tak piękna i nierzeczywista. Ale kiedy przestraszyła się na jego widok i przestała śpiewać, zrozumiał, że jest równie prawdziwa jak on sam.

– Zaczekaj – zawołał za nią, gdy zaczęła uciekać. – Nie zrobię ci krzywdy.

Jego szczery głos przekonał Alainę. Zawróciła i nieśmiało stanęła w pewnej odległości od niego. Książę również był niezwykle urodziwy. Potężna postura przywodziła jej na myśl największych kowali, ale tak pięknej twarzy nie widziała jeszcze nigdy. Emanował siłą i pewnością siebie.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Alaina.

Książę od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał, wiedział, że to ta jedyna, że po długich poszukiwaniach odnalazł wreszcie swoją królową.

– Jesteś spragniony, panie? – spytała Alaina z troską w głosie.

Kiedy skinął głową, podeszła do studni i zaczerpnęła wody do srebrnego kielicha. Księżciu wydawało się, że nigdy nie pił niczego pyszniejszego. Nim nastał wieczór, oboje byli zakochani po uszy. Schadzkę przerwał im ostry głos służącej, wołający Alainę na kolację. Książę chciał iść razem z nią, by od razu poprosić jej ojca o rękę ukochanej, ale ta powstrzymała go. Obiecał, że wróci następnego dnia. Ich potajemne spotkania trwały przez jakiś czas, aż ludzie w wiosce zaczęli szeptać, że książę odwiedza Alainę. Plotki te dotarły do jej ojca, który zagotował się ze złości na tę wieść. Nienawidził smoków z całego serca, obwinił je za śmierć swojej żony, bo położna, która odbierała poród Aliny, była smoczycą. Postanowił zacząć się w ogrodzie i sprawdzić, czy plotki wieśniaków są prawdziwe. Nie musiał długo czekać. Książę, spragniony widoku swojej ukochanej, zjawił się z samego rana. Widząc ich czułe powitanie, ojciec Alainy wpadł w szał. Wybiegł z krzaków, chwycił córkę za włosy i odciągnął od księcia. Zaczął obrzucać ją obelgami, nazwał smoczą kurwą i obiecał, że jeszcze tego samego dnia odeśle ją do zakonu. Książę nie mógł stać z założonymi rękami i patrzeć, jak ktoś – nawet ojciec – bije i poniża jego wybrankę. Znokautował go, chwycił zapłakaną Alainę i przeskoczył na drugą stronę muru, gdzie czekał jego koń. Uciekli razem. Gdy dojechali do najbliższej polany, książę przemienił się we wspaniałego smoka. Alainie zabrakło tchu, gdy ujrzała go jako smoka. Był jeszcze piękniejszy niż w ludzkiej postaci. Jego łuski miały barwę złota. Machnął ogonem, wskazując jej swój grzbiet. Posłusznie wdrapała się na niego i odlecieli razem w stronę słońca.

Ojciec Alainy, z dumą bardziej zranioną niż ciałem, poprzysiągł zemstę. Jego nienawiść do smoczego rodzaju osiągnęła apogeum. Miał pieniądze, opłacił więc wieśniaków i wykorzystując ich współczucie – wszyscy żalowali, że Alaina została porwana – z ich pomocą przegonił z wioski wszystkie smoki. Niektóre walczyły i tak pierwsze ofiary wojny magów i smoków spoczęły w ziemi Elegestii.

Wypowiedział im otwartą wojnę. Chciał odzyskać swoją córkę – nie dlatego, że ją kochał – była wojennym trofeum, czymś w rodzaju Heleny Trojańskiej. Smocza królewska para zmartwiła się na myśl o wojnie. Sugerowali synowi, by oddał Alainę i zakończył wojnę, póki tak naprawdę się rozpoczęła. Przeżyli już wiele wieków i doskonale zdawali sobie sprawę z tego, jakie mogą być konsekwencje postępowania ich syna. Książę był nieubłagany. Odnalazł swoją drugą połówkę i nie zamierzał wypuszczać jej z rąk. Gdy ujrzeli ją jego rodzice, zrozumieli natychmiast upór syna i pokochali Alainę jak własne dziecko. Wkrótce odbył się ślub. Gdy wieści o nim dotarły do ojca Alainy, zaczął mordować smoki z jeszcze większym zapalem. Odbyło się wiele krwawych bitew, zginęło wiele smoków i równie wielu magów. Nikt już nie pamiętał, jak zaczęła się ta wojna. Pokojowe stosunki między smokami a magami odeszły w zapomnienie. Smoki musiały więc porywać magów, by przedłużyć swój gatunek. Nie zrozum tego źle – gdy smok odnajdzie swoją drugą połówkę, rzadko się zdarza, by ona nie odwzajemniała uczucia. Rosła nienawiść, w międzyczasie podczas jednej z wielkich bitew zginął król, królowa dołączyła do niego wkrótce. I tak Alaina i jej ukochany zostali królewską parą. Mijały kolejne lata wojen, a oni nie mogli doczekać się dziedzica. Król brał udział w wielu walkach, co bardzo martwiło Alainę. W końcu, gdy wszyscy dawno już stracili nadzieję, Alaina zaszła w ciążę. Urodziła małe królewiatko, co bardzo podbudowało morale smoków i dało im nadzieję na zwycięstwo.

– Jak skończyła się ta historia? – spytałam, gdy Jared zamilkł.

– Ona nadal trwa. Wojna smoków i magów ciągle niszczy tę krainę.

Zamyśliłam się. Nie była to może historia na miarę *Ojca chrestnego*, jednak była bardzo ładna i dałabym sobie rękę uciąć, że nie znalazłabym jej ani w *Historii Elegestii*, ani w *Wojnie ze smokami*.

– Podobało ci się? – Jared spoglądał na mnie z nadzieją.

– Tak. – Nie potrafiłam skłamać. – Ale mam pytania: smoki nie mogą wiązać się w pary między sobą?

– Mogą – odpowiedział powoli Jared. – Ale szansa, że urodzi im się potomek, jest znikoma.

– Dlatego porywają magów?

– Pewnie tak, nie znam ich motywów.

– Ale tę historię znałeś bardzo dobrze. Skąd? – zapytałam autentycznie zaciekawiona.

Jared zaczerwienił się trochę.

– Podśluchałem kiedyś.

Roześmiałam się.

– Niezłe z ciebie ziółko. Jeszcze jedno pytanie: magowie żyją dłużej niż ludzie, ale i tak tylko trochę ponad sto lat. Ty mówiłeś o wiekach.

– Kiedy smok odnajduje swoją połówkę i łączy się z nią, zaczyna działać na nią smocza magia. Smoki są długowieczne i łączą się w pary na całe życie. Jeśli więc magowie umarliby po swoich stu latach, to byłoby smutne, nie sądzisz?

– Masz rację – przyjąłem jego wyjaśnienie.

Tymczasem zaczęło świtać, a przed nami wreszcie ukazał się koniec bagiennych terenów. Zauważyłam pierwsze większe drzewa i odetchnęłam z ulgą. Wyjęłam mapę.

– Mamy dwie opcje – powiedziałam do Jareda. – Albo padamy pod najbliższym drzewem, albo jedziemy jeszcze kilka kilometrów i śpimy w tawernie.

Oboje byliśmy wycieńczeni, ale mimo wszystko byłam w stanie podjąć jeszcze niewielki wysiłek, by legnąć w łóżku, a nie na gołej ziemi.

– W tawernie dadzą nam jeść – kusiłam.

– Niech będzie – powiedział zrezygnowanym tonem. – Jedźmy do tawerny.

Trochę się przeliczyłam i nim dotarliśmy do wsi, był już późny ranek. Kilku ludzi, których spotkaliśmy po drodze, obrzuciło nas nieprzychylnymi spojrzeniami. Byłam tak padnięta, że nawet nie zwracałam na to uwagi. Zatrzymaliśmy konie przed tawerną i zsunęliśmy się z nich z wysiłkiem.

– Zaprowadź je do stajni i przyjdź do środka.

– A jeśli ktoś będzie chciał je ukraść?

– Spokojnie, przez pół godziny dadzą radę bronić się same. Szczególnie ta tutaj. – Poklepałam Night po czarnym pysku.

Zamówiłam mnóstwo jedzenia. Nie miałam nic w ustach od wczorajszego popołudnia, a walka i całonocna wędrówka wyczerpały mnie do granic możliwości. Czulałam, że mogę zjeść konia z kopytami, nie chciałam nawet myśleć, jak głodny musiał być Jared.

Nim przynieśli posiłki, wtoczył się do środka i klapnął bezwładnie na krzesło obok mnie.

– Jestem skonany.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem.

Ożywił się znacznie na widok jedzenia, powiedziałabym wręcz, że jego twarz nabrała rumieńców, a spojrzenie blasku. Rzucił się na nie jak Reksio na szynkę, a ja nie mogłam go za to winić, bo sama doprowadziłam go do tego stanu.

Po zaspokojeniu pierwszego głodu odprężyłam się i wyciągnęłam na krzesło. Zapowiadał się piękny dzień, nie wątpiłam, że gospodarz znajdzie dla mnie pusty pokój. Był trochę zdziwiony, ale gdy wręczyłam mu odpowiednią ilość srebrnych monet, bez zbędnych pytań podał mi klucz. Jared po zjedzeniu wszystkiego, co nadawało się do zjedzenia, podziękował i poszedł spać do stajni. Ja wdrapałam się po schodach na piętro i odnalazłam swój pokój. Był równie obskurny i ubogo wyposażony, co poprzedni. Wsunęłam pod łóżko szkatułkę, którą dał mi Tom i walnęłam się do wyrka. Zasnąłam ze sztyletem w dłoni.

Zimny metal na gardle wyrwał mnie ze snu. Otworzyłam szeroko oczy i ujrzałam nad sobą uśmiechającego się szczerbatym uśmiechem mężczyznę. Kępki zarostu zdobiły jego szarą, wymiętą twarz.

– Dawaj kasę, a nic ci nie zrobię. – Jego nieprzyjemny oddech owionął mnie, gdy wypowiadał swoją groźbę.

Przełknęłam ślinę, ostrze ukuło mnie w skórę.

– Pod poduszką. – Staralam się mówić tak, by nóż nie naciskał na gardło.

– Wyciągnij je – rozkazał.

Wyjęłam spod kołdry lewą rękę – tę, w której nie miałam sztyletu. Prawą miałam schowaną pod kołdrą. Niespiesznym ruchem sięgnęłam za siebie i wyciągnęłam pękata sakiewkę.

– Podam ci je, ale odsuń nóż – powiedziałam, nawiązując kontakt wzrokowy. Wpatrywałam się intensywnie w jego niewielkie, kaprawe oczka, unieruchamiając go spojrzeniem. Skupiłam na tym całą swoją uwagę. Kiedy wyciągnął obficie owłosione łapsko po sakiewkę, wyplątałam rękę spod kołdry i wbiłam sztylet prosto w jego pierś, zanurzając go aż po rękojeść. W tej samej chwili ktoś uderzył go w głowę tępym narzędziem. Przez chwilę widziałam jego zaskoczone, pełne zdziwienia spojrzenie, po czym opadł bezwładnie prosto na mnie. Ktoś oderwał jego ciężkie ciało i zrzucił je na podłogę. Jared.

– Nic ci nie jest? – wykrzyknął przestraszony.

Stróżka krwi płynęła mi z płytkiego nacięcia na szyi, ale poza tym byłam cała i zdrowa.

– W porządku. Skąd się tu wzięłeś? – spytałam szczerze zaciekawiona. – Nie powinieneś czasem spać w stajni?

Jared wydał z siebie przypominający prychnięcie dźwięk.

– W stajni o tej porze kręci się tyle ludzi, co much na gnoju!

Pokręciłam głową uśmiechając się nieznacznie.

– Obrazowa metafora.

– Zobaczyłem, jak ten gość się zakrada i pomyślałem, że to sprawdzę. Czego chciał?

Wzruszyłam ramionami.

– Pieniądzy.

– Co z nim teraz zrobimy?

Westchnęłam głęboko. Nie miałam ochoty pozbywać się ciała.

– Chyba czas wyruszyć w drogę.

– Chcesz go tu zostawić? Tak po prostu?

– Tak będzie najszybciej. Idź osiodłać konie, ja zaraz zejdę.

Kiedy Jared wyszedł, wyszarpnęłam sztylet z piersi mężczyzny i oczyściłam

go zaklęciem. Przekłęci złodzieje, zaczęli działać mi na nerwy. Byłam tak zmęczona, że zapomniałam zabezpieczyć drzwi zaklęciem. Krótki odpoczynek nie był wystarczający, ale nie miałam wyboru. Spanie z trupem w pokoju mi się nie uśmiechało, a na pozbycie się ciała zużyłabym więcej energii, niż na ponowne wyruszenie w drogę. Wniosek nasuwał się sam.

Ochlapałam twarz w zimnej wodzie, która stała na komodzie w zardzewiałej miednicy. Skrzywiłam się, bo miała stęchły zapach. Chwyciłam szkatułkę i sakiewkę, obesłam leżące na podłodze ciało i zbiegłam po schodach, nie oglądając się na właściciela.

Konie były już gotowe. Poklepałam Night po szlachetnym pysku i bez większego entuzjazmu zajęłam miejsce w siodle. Nadal byłam zmęczona. Spojrzałam na bladą twarz Jareda i jego przekrwione oczy. Sam się na to pisał.

– Ruszamy.

ROZDZIAŁ 6

Po kilku godzinach jazdy oboje z trudem utrzymywaliśmy się na koniach. Nieprzespana noc dała nam się we znaki, a ten krótki odpoczynek w żadnym razie nie był wystarczający. Powieki ciążyły mi, jakby były wykonane z ołowiu, głowa sama opadała, podrygując w rytm końskich kroków. Najbardziej na świecie pragnęłam teraz paść na łóżko i nie wstawać przez najbliższe kilkanaście godzin. Niestety, nie mogłam sobie pozwolić na taki luksus, nawet gdybym rzeczywiście była gotowa to zrobić. Wioska, którą zostawiliśmy za sobą, była jedyną w promieniu kilkudziesięciu kilometrów.

Jared truchtał obok mnie na swoim kasztanku. Jeśli wyglądałam w połowie tak źle jak on, to dobrze się składało, że nie miałam pod ręką żadnego lustra. Upiorna biel jego twarzy trochę mnie przerażała. Wyglądał, jakby jedynie siła woli utrzymywała go na koniu. Co jakiś czas otwierał usta, ale zaraz zamykał je z powrotem. Mądry chłopak.

Nie mogłam zignorować niewielkiej polanki, która ukazała się po lewej stronie traktu.

– Postój.

Mało brakło, a rozplakałby się z ulgi, gdy usłyszał moje słowa. W czasie gdy zajmował się końmi, ja błyskawicznie przyrządziłam zupki, wyjęłam bochenek chleba i zaparzyłam herbatę. Jared nawet nie skomentował, po prostu rzucił się na jedzenie. Nie byłam aż tak głodna jak on, ale zjadłam wszystko z apetytem. Kiedy talerze były już opróżnione, wyciągnęłam na trawie swoje zmęczone, obolałe ciało.

Byłam już o kilka dni do tyłu, nie miałam szans dotrzymać złożonej kotu obietnicy – choćbym nie wiem co robiła, nie dotrę do Warowni O'ren w dziesięć dni. Podróż po tej krainie nie należała do najprzyjemniejszych. Te kilka wiosek, które napotkałam do tej pory, wyglądało, jakby wzięto je ze średniowiecza. Ludzie byli dziwni, nieprzyjaźnie nastawieni i mieli złodziejskie zapędy. Kiedy zabiłam rozbójników, którzy napadli Jareda, dręczyło mnie coś na kształt wyrzutów sumienia, a teraz odkryłam, że śmierć człowieka, który próbował mnie okraść, nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Chciał mnie obrabować, więc dostał za swoje. Nigdy nie byłam zbyt wrażliwa, ale zdaje się, że resztki mojej wrażliwości skonały w tej krainie. Potrząsnęłam głową, odpędzając natrętne myśli i podniosłam się z trawy. Jared jęknął, gdy zauważył, że wstaję, ale podniósł się szybko i nie musiałam nawet otwierać ust, sam zabrał się za siodłanie koni.

Uśmiechnęłam się do siebie. Jednak chłopak nie był taki beznadziejny. W tej samej sekundzie, gdy o tym pomyślałam, przypomniało mi się, jak w nocy postanowiłam, że się go pozbędę. Otworzyłam usta, ale zawahałam się. Pospieszył mi na ratunek dziś z rana, teraz zachowywał się bez zarzutu. Może zasługiwał na

kolejną szansę?

Westchnęłam i dosiadłam Night. Klacz zarżała cicho, gdy poczuła na grzbiecie znajomy ciężar. Poglaskałam ją po pysku.

– Przepraszam, że cię tak przemęczam – powiedziałam do niej półgłosem, żeby Jared nie usłyszał. Prychnęła i ruszyła. To się nazywa koń.

Mimo krótkiego odpoczynku nadal czułam się zmęczona. Wydarzenia z poprzedniej nocy odcisnęły swoje piętno zarówno na moim ciele, jak i duchu. Wzdrygnęłam się na myśl o odrażających utopcach. Nie tylko ludzie byli nieprzyjaźni w tej krainie.

Miałam już do czynienia z wodnymi potworami, załatwiłam kiedyś trzy rusalki, ale z hordą utopców nie mierzyłam się nigdy. Zaczynałam myśleć, że sto tysięcy nie jest wcale wygórowaną stawką. Nie wiedziałam, jakie nieprzyjemności spotkają mnie jeszcze w Elegestii, ale patrząc na mapę, nie liczyłam na to, że dotrę do Warowni O'ren już bez żadnych przygód. Połacie lasu, które rozpościerały się po obu stronach traktu, jedynie od czasu do czasu przetykane kilkoma niewielkimi wioskami, nie nastrojały mnie optymistycznie. Nie miałam złudzeń. Utopce z pewnością nie były jedynymi potworami zamieszkującymi tę krainę.

Zaczęłam się zastanawiać, czy spotkam jakiegoś smoka w jego smoczej postaci. Wyobrażałam je sobie jako wielkie góry łusek ziejące ogniem. Czegoś takiego nie mogłabym przegapić i nie obchodziło mnie, że Tom ich nienawidził i że teoretycznie ja też powinnam. Spodobała mi się historia opowiedziana przez Jareda, w przeciwieństwie do ody nienawiści, którą mogłam znaleźć na kartach *Wojny ze smokami*.

Moje rozmyślenia przerwały odgłosy krzyków. Poczułam, jak Night spina się, niespokojnie przebierając kopytami.

– Słyszałaś? – zapytał Jared.

Skinęłam głową i lekko przekrzywiłam ją na bok, wytyżając słuch. Krzyk rozległ się ponownie. Bez wątplenia należał do młodej dziewczyny, był piskliwy, ale brzmiało w nim przerażenie, które pozwoliło mi sądzić, że najpewniej zgraja facetów próbuje położyć na niej łapska. Westchnęłam, bo nie chciałam zmieniać się w miejscowego obrońcę uciśnionych.

– Na co czekasz? Nie pomożemy jej? – Jared rzucił mi zniecierpliwione spojrzenie, całe zmęczenie wydało się go opuścić, był zwarty i gotowy, by ruszyć na ratunek dziewczoi w opałach.

Co mogłam zrobić?

Pogoniłam konia i wkrótce ujrzałam dokładnie to, co spodziewałam się zobaczyć. Czterech brodatych mężczyzn osaczyło niewysoką dziewczynę. Rozerwali jej bluzkę, blade ciało odcinało się wyraźnie na tle ciemnego lasu. Byli tak zajęci swoją ofiarą, że nie zauważyli naszego przybycia. Ich błąd. Jared wy dobył swój dziwny miecz, a ja sięgnęłam po sztylety. Ważyłam je przez chwilę

w dłoni, po czym rzuciłam. Poszybowały, ze świstem tnąc powietrze. Jeden z mężczyzn odwrócił się i szeroko otwartymi oczami obserwował trajektorię jego lotu, ale było za późno, by mógł zrobić cokolwiek. Sztylet wbił się w jego gardło. Zacharczał, chwytając się za szyję i padł na kolana. Drugi trafił w plecy. Wycelowałam dobrze, przebił serce i niedoszły gwałcieł padł na miejscu. Tych dwóch, którzy pozostali na nogach, odwróciło się z zaskoczeniem, ale szybko odzyskali rezon. Chwycili wielkie miecze i z rykiem ruszyli w naszą stronę. Oceniali nas przez chwilę wzrokiem, po czym ten bardziej postawny rzucił się na Jareda, a chudszy i niższy zaatakował mnie. Uśmiechnęłam się niczym kot z Cheshire. Ludzie często mnie nie doceniali i zawsze słono za to płacili.

Działania mojego przeciwnika nie miały w sobie za grosz strategii. Z rykiem, który brzmiał bardziej jak odgłos zwierzęcia niż człowieka, rzucił się na mnie i wykonał potężne cięcie, które może i pozbawiłoby mnie głowy, gdybym stała ciągle w tym samym miejscu, czekając na dekapitację. Tymczasem wykonałam zgrabny unik i kopnęłam go w kolano. Zachwiał się, ale nie upadł. Ponownie zamachnął się na mnie mieczem i znowu chybił.

– Potrzebujesz okularów? – zapytałam szyderczo.

Obnażył zęby w grymasie i natarł ponownie. Miał w ręce wielki miecz, a ja, oprócz jednego sztyletu i własnych, gołych pięści, nie miałam żadnej broni. Tym razem musiałam użyć magii, by odeprzeć jego pchnięcie. Spojrzał na mnie z głupią miną, zdziwiony, że miecz nie trafił w cel. Wykorzystałam jego chwilową dekoncentrację i wytrąciłam mu broń z ręki. Kiedy rzucił się na ziemię, żeby ją podnieść, wbiłam mu sztylet w plecy.

Odwróciłam się, by zobaczyć, jak radzi sobie Jared. Z trudem parował silne ciosy mężczyzny, który choć nie dorównywał mu wzrostem, był zapewne dwa razy od niego postawniejszy i silniejszy. Wyszarpnęłam sztylet z dogorywającego u moich stóp mężczyzny i skrzywiłam się, bo lepił się cały od gęstej, ciemnej krwi. Nie miałam czasu, żeby go oczyścić. Przeciwnik Jareda wytrącił mu miecz z ręki i zbliżał się do niego z paskudnym uśmiechem na zarośniętej twarzy. Zamachnął się, a Jared uniósł ręce, by zasłonić twarz. Wtedy rzuciłam. Sztylet trafił w pierś. Trzonek drgał jeszcze, gdy Jared podszedł bliżej i krzywiąc się, przekręcił go. Stróżka krwi pociekła z ust mężczyzny, po czym padł twarzą na ziemię.

– Załatwiłam czterech, a ty żadnego – powiedziałam, wycierając ręce. – Nie sądzisz, że jesteś trochę beużyteczny?

Jared zignorował mój przytyk i pognął w stronę dziewczyny. Prawdziwy księżę na... kasztanowym koniu. Pozbierałam swoje sztylety i wykorzystując fakt, że Jared nie patrzył, oczyściłam je za pomocą magii.

Powoli podeszłam do dziewczyny. Była niewysoka, niższa ode mnie, ale pozbawiona dziecięcych rysów twarzy. Mogła być w wieku Jareda albo o rok starsza. Podobnie jak on była blondynką, ale jego włosy miał piaskowy odcień, jej

były mysie. Zwisaly smętnie po obu stronach jej zapłakanej, zaczerwienionej twarzy. Jared dał jej swoją bluzę i nie świeciła już golizną. Obejmowała się ramionami, kołysząc w przód i w tył. Mój giermek gładził ją uspokajająco po ramieniu, szepcząc do ucha słowa pocieszenia.

Przestąpiłam z nogi na nogę.

– Nie możemy tu zostać.

Jared uniósł głowę.

– Masz rację. – Powiedział coś do dziewczyny, po czym chwycił ją na rękę i stanął przede mną. – Musimy ruszać.

– Ona nie jedzie z nami.

Twarz Jareda wyrażała szczere oburzenie.

– Przecież nie możemy jej tu zostawić!

– Uratowaliśmy jej kościsty tyłek, teraz niech radzi sobie sama – powiedziałam bezlitośnie. Ta dziewczyna tylko by nas opóźniała.

– Ja się nią zajmę.

– Nie rozumiesz. Powiedziałam, że ona z nami nie jedzie. – Zmrużyłam oczy. Właśnie zaprzepaszczał swoją drugą szansę.

– Alice, czy ty nie masz serca? Spójrz na nią. – Wskazał na trzęsącą się w jego ramionach kupkę nieszczęść. – Ja jej nie zostawię.

– Świetnie, więc zostań z nią.

Dosiadłam Night. Jared zgrzytnął zębami.

– Pozwól mi się nią zająć.

Wzruszyłam ramionami i bez słowa ścisnęłam piętami boki Night. Po kilkunastu minutach usłyszałam w tyle tętent kopyt kasztanka. Najwyraźniej udało mu się jakoś załadować dziewczynę na konia. Jechałam na tyle szybko, by nie był w stanie się ze mną zrównać. Byłam wkurzona. Nie znalazłam się w Elegestii po to, żeby pędzić z pomocą wszystkim ofiarom losu, które akurat znalazły się w opałach. Okazało się, że uratowanie Jareda miało swoje konsekwencje. Najbardziej denerwował mnie fakt, że tak naprawdę nie mogłam go za to winić. Ja też nie zostawiłam go samego na tamtej polanie.

Nim zaszło słońce zdążyłam przejechać jeszcze zaledwie kilkanaście kilometrów. Byłam wyczerpana, poprzednia nieprzespana noc mocno dawała mi się we znaki. Zjechałam z traktu i zaczęłam rozbijać obóz. Najpierw zajęłam się Night.

– Jesteś najlepszym koniem na świecie – powiedziałam do niej, gdy zdejmowałam ciężkie torby. Łypnęła na mnie czarnym okiem. „Się wie” – zdawało się mówić jej spojrzenie.

Kończyłam przygotowanie posiłku, gdy zjawił się Jared. Nieśmiało stanął przede mną.

– Alice – odezwał się ze skrucłą w głosie. – Nie gniewaj się, ale ja po prostu

nie mogłem jej zostawić.

– Jasne, bo może to była poszukiwana przez ciebie księżniczka – wbiłam mu szpilkę. Zaczerwienił się, ale nie spuścił wzroku.

– Zostawienie jej samej w tym lesie byłoby dla niej pewną śmiercią, wtedy fakt, że uratowaliśmy jej życie, straciłby sens.

W myślach musiałam się z nim zgodzić. Sama rozumowałam podobnie.

– Mam tu coś do zrobienia i nie jest to bynajmniej obrona uciśnionych. Jeśli masz ochotę się tym zajmować, to jest najlepszy moment, żebyśmy się rozstali – rzekłam beznamiętnym tonem.

– Ale mnie uratowałeś – powiedział cicho, spoglądając mi w oczy.

– I zaczynam tego żałować.

– Alice, jestem lojalny wobec ciebie – mówił tak szczerze, że nie mogłam wątpić w prawdziwość tych słów. – Odstawmy ją do najbliższej wioski, tylko o tyle proszę.

Mierzyłam go spojrzeniem przez dłuższą chwilę. Jego zielone tęczówki był niemal hipnotyczne, wydawały się jarzyć własnym światłem. W końcu odwróciłam wzrok i wzruszyłam ramionami. Jared odczytał to jako znak zgody i zaczął zajmować się własnym koniem. Wcześniej ułożył dziewczynę pod drzewem tak, żeby było jej wygodnie. Opatulił ją kocami, ale nadal drżała i kręciła się niespokojnie. Wspaniałomyślnie podzieliłam się z nimi posiłkiem. Dziewczyna wkrótce potem zasnęła, a Jared odszedł w poszukiwaniu strumienia, żeby pozmywać.

Stałam nad dziewczyną i zlustrowałam ją wzrokiem. Jej ubranie, choć podarte, wyglądało na lepsze niż to, które mieli na sobie wieśniacy spotkani przez nas w mijanych osadach. Mimo że jej blond włosy miały mysi odcień, nie wyglądała na ubogą dziewczynkę. Rysy jej twarzy były łagodne i regularne, mogłam się założyć, że umyta i porządnie ubrana, wyglądałaby całkiem do rzeczy. Ciekawe, co robiła sama w lesie? Jeśli wyruszyła na poszukiwania księcia z bajki, Elegestia musiała być dziwnym krajem.

Wrócił Jared, niosąc czyste naczynia. Położył je obok niewielkiego ogniska, które rozpałam i usiadł naprzeciwko mnie.

– Ktoś musi nad nią czuwać i wiem, że to nie będziesz ty – powiedział, a ja uniosłam brwi. – Potrzebuję czegoś, co nie pozwoli mi zasnąć.

Rozłożyłam bezradnie ręce. Kawy akurat nie zabrałam.

– Pożycz mi swoją książkę – wypalił.

– Jaką książkę? – spytałam zdeorientowana.

– Tę, którą czytałaś, gdy obudziłem się po raz pierwszy po tym, jak mnie uratowałeś.

Ach tak, *Ojciec Chrzestny*.

– Zauważyłeś?

– Byłaś tak zaczytana, że nie widziałas nawet, że się ocknałem.

– Nieprawda. – Zmarszczyłam brwi. – Poza tym – obrzuciłam go podejrziwym spojrzeniem – umiesz czytać?

Zarumienił się. Robił to w uroczy sposób. Najpierw czerwieniły mu się policzki, a potem, w zależności od stopnia zażenowania czy zakłopotania, kolor obejmował kolejno jego uszy i szyję. Uniosłam brwi, oczekując na odpowiedź.

– Umiem.

– Gdzie się nauczyłeś?

– Nie wszyscy w tej krainie są takimi analfabetami jak wieśniacy, których widziałas.

– Doprawdy?

Pokiwał głową.

– To jak, pożyczysz mi tę książkę?

Zawahałam się.

– Raczej nie będzie w twoim guście.

– Och, daj spokój. Skoro ty byłaś taka zaczytana, dlaczego mnie miałyby się nie podobać?

Wzruszyłam ramionami i wyjęłam ją z torby.

– Spróbuj zagiąć choć jeden róg, a będzie po tobie – zagroziłam.

– Spokojnie, nie zniszczę jej.

Podałam mu książkę. Przez chwilę obracał ją w rękach, po czym otworzył usta.

– Jeśli chcesz powiedzieć, że dziwnie wygląda, to lepiej nic nie mów – ubiegłam go.

Zamknął usta i otworzył książkę na pierwszej stronie. Zaczął czytać, a ja tymczasem przygotowałam sobie posłanie.

Obudziłam się po kilku godzinach i zobaczyłam Jareda nad dogasającym ogniskiem. Zachowywał się cicho i to nie on był tym, który mnie obudził. To jęki dziewczyny nie dały mi spać.

– Ładnie się nią opiekujesz – powiedziałam, wstając.

Jared podskoczył, jakby wyrwany z transu.

– Ja... – zaczął, ale chyba nie wiedział, co powiedzieć.

– Zostaw książkę i idź spać, bo jutro spadniesz z konia.

– Ale... – Wskazał na dziewczynę.

– Już pokazałeś, jak dobrze potrafisz się nią zająć. Do spania – rozkazałam.

Położył się posłusznie i szybko zasnął. Podeszłam do jęczącej dziewczyny. Miała szeroko otwarte oczy i patrzyła na mnie przestraszona.

– Spokojnie. – Położyłam jej rękę na ramieniu. – Oni już nic ci nie zrobią.

Po chwili i ona uspokoiła się na tyle, że zasnęła.

Sięgnęłam po magię i rozmieściłam subtelne tarcze dookoła nas. Nie mogły

zabezpieczyć nas przed niebezpieczeństwem, ale obudzą mnie w porę, bym mogła zareagować.

Po kilku minutach i ja drzemałam słodko.

Zanim otworzyłam oczy, poczułam swąd spalenizny. Zerwałam się na równe nogi, oczekując zagrożenia, ale jedynym, co ujrzałam, był Jared stojący przy ognisku z zakłopotaną miną.

– Co jest, przypaliłeś wodę na herbatę?

Spuścił wzrok.

– Nie chciałem.

Zgrzytnęłam zębami. Był o głowę wyższy ode mnie, ale zachowywał się jak małe dziecko.

– Jasne. Teraz zasuważ to umyć. – Wskazałam na przypalony garnek.

Nim wrócił, zdążyłam już przygotować śniadanie. Wolałam nie powierzać tego zadania nikomu innemu. Sama nie byłam może kucharką doskonałą, ale nie miałam wątpliwości, że o niebo lepszą niż Jared.

Przebudziła się nasza niedoszła ofiara gwałtu. Wyglądała tylko na odrobinę mniej wystraszoną niż wczoraj. Podałam jej parującą miskę.

– Masz jakieś imię?

– Evelin – powiedziała tak cicho, że ledwo usłyszałam.

– No to smacznego, Evelin.

Patrzyłam, jak nieufnie spogląda na zawartość miski. Głód był jednak silniejszy. Chwyliła za łyżkę i nie minęły dwie minuty, jak opróżniła ją do czysta. Czy w tej krainie wszyscy mieli taki wilczy apetyt?

– To było pyszne. – Jej głos brzmiał nieco pewniej.

Pokiwałam skromnie głową. Zupki chińskie staną się chyba niedługo moim znakiem firmowym.

Wrócił Jared. Rozprawił się ze swoim śniadaniem nawet szybciej niż dziewczyna.

– Jest znakomitą kucharką, prawda? – zwrócił się do Evelin konfidencjonalnym tonem, a ja poczułam się mile połączona. Skrywając uśmiech, zabrałam się za pakowanie. Kiedy byliśmy gotowi do drogi, Jared podszedł do dziewczyny i chciał znowu wziąć ją na rękę.

– Dam sobie radę, nie zrobili ze mnie kaleki – powiedziała cicho, lecz stanowczo, a ja spojrzałam na nią bardziej przychylnym okiem.

Jared i Evelin załadowali się na kasztanka, a ja dosiadłam Night. Dzień dopiero się rozpoczynał, gdy znowu wróciliśmy na trakt, by kontynuować wędrowkę.

Siedzenie na koniu i patrzenie na monotony krajobraz było dołujące.

Drzewa, drzewa, jeszcze więcej drzew, od czasu do czasu jakaś zapyziała osada. Mimowolnie zastanawiałam się, czy cała Elegestia tak wygląda? Wyjęłam mapę i odszukałam najbliższą wioskę na naszej drodze. Musiała być większa od tych, które minęliśmy, bo wyraźnie zaznaczono ją na mapie. Znajdowała się relatywnie niedaleko od gospody, w której spaliśmy poprzedniej nocy. Miałam nadzieję, że zdążymy dotrzeć tam jeszcze tego samego dnia.

Od czasu do czasu mijali nas jacyś jeźdźcy, niektórzy pędem, inni oceniali nas wzrokiem, pewnie zgadując, czy warto nas napaść. Przedstawialiśmy sobą niezbyt okazały widok. Troje ludzi na dwóch koniach i tylko ja zachowałam groźny wizerunek. W każdym razie taką miałam nadzieję.

Niewyspany Jared i przestraszona Evelin na jednym kasztanku wyglądali jak kupka nieszczęść podróżująca na koniu. Po dwóch godzinach, widząc, jak męczy się rumak Jareda, zdecydowałam się na akt najwyższego poświęcenia.

– Czas na zamianę – powiedziałam, zatrzymując Night.

Jared i Evelin patrzyli na mnie bez zrozumienia, zupełnie jakbym odezwała się w innym języku.

– No już, twój kasztanek jest słabszy od Night. Teraz będziesz jechała ze mną – zwróciłam się do dziewczyny.

Nie wyglądała na zachwyconą. Night, mimo że niezwykle piękna, mogła budzić strach. Wielki, czarny jak smoła rumak raczej nie przypominał słodkiego kuczka, o jakim mogłaby marzyć Evelin jako mała dziewczynka. Romantyczne wyobrażenie o koniach też nie bardzo do niej pasowało. Była piękna, to prawda, ale w jej pełnej godności sylwetce można było dopatrzeć się zapowiedzi niebezpieczeństwa. Groźny błysk w czarnym oku i opadająca na oczy gęsta grzywa dopełniały wrażenia. Gdyby tak bardzo mnie nie lubiła, pewnie bałabym się zbliżyć rękę do jej pyska w obawie, że stracę palce.

Pomogłam Evelin wdrapać się na wysoki grzbiet klaczy, która, wyczuwając strach dziewczyny, parsknęła i przebierała kopytami. Jeszcze raz przypomniałam sobie, co powiedział o niej Tom. Bez wątplenia złośliwa z niej była bestia. Zamiast stać spokojnie, parsknęła groźnie, tylko potęgując przerażenie dziewczyny.

– Nie bój się. W głębi duszy jest łagodna jak baranek – powiedziałam, klepiąc Night po lśniącej szyi. – Trzymaj się mocno – dodałam jeszcze, nie mogąc sobie darować, i spięłam konia piętami. Ruszyła, wzniecając tumany kurzu i pozostawiając w tyle kaszłającego Jareda. Poczułam, jak ręce Evelin zaciskają się kurczowo na moim brzuchu.

W życiu nie miałam lepszego konia. W życiu nie miałam innego konia, ale Night i tak była najlepsza.

Po jakimś czasie, nie chcąc, by klacz za bardzo się męczyła, pozwoliłam jej, żeby zwolniła. Kłusowała teraz równym tempem.

– Co zamierzasz ze mną zrobić? – Usłyszałam za uchem niepewny głos

Evelin.

– Odstawić do najbliższej wioski – powiedziałam, odwracając głowę. – Dalej będziesz musiała radzić sobie sama.

Zacisnęła usta. Nie wyglądała, jakby z wdzięczności miała zaraz zarzucić mi rękę na szyję.

– Coś nie tak? Wolisz, żebym wysadziła cię tutaj? – Wskazałam na ciągnący się przed nami trakt.

Pokręciła głową.

– Mieszkam w tamtej wiosce.

– Świetnie. – Uśmiechnęłam się zadowolona. Definitywnie się jej pozbędę.

Spuściła głowę, bynajmniej nie sprawiając wrażenia szczęśliwej. Co z nią było nie tak?

– Co jest? Nie cieszysz się?

Nie patrzyła mi w oczy.

– Właściwie – spojrzałam na nią uważniej – jak wplątałaś się w tamtą sytuację? Westchnęła ciężko i zaczęła mówić.

– Jechałam do wioski swojego narzeczonego, mieliśmy wziąć ślub. Mniej więcej w połowie drogi napadła na nas cała zgraja rozbójników. Podczas gdy mordowali służących, ja próbowałam uciec, ale tych czterech, których zabiłaś, zaczęło mnie gonić. Dopadli mnie na polanie i pewnie zgwałciliby mnie, gdyby nie ty. Dziękuję, że mnie uratowałaś – powiedziała szczerze, a mi zrobiło się głupio.

– Nie ma sprawy. Więc chyba się cieszysz, że ocalałam twoją cnotę dla narzeczonego?

Wzrok uciekł jej w lewo.

– Jasne.

Na tym skończyła się nasza rozmowa. Gdy koło południa chciałam zrobić postój, powiedziała, że od wioski dzieli nas zaledwie kilka kilometrów, więc jechaliśmy dalej. Trakt stawał się coraz szerszy, zmieniając się w coś w rodzaju gościńca. Ludziom, którzy nas mijali, najwyraźniej nieźle się powodziło. Ich ubrania były w jednym kawałku i choć nie błyszczały nowością, były czyste i... kolorowe. W poprzednich wioskach wszyscy mieli na sobie jednakowe łachy w szarym albo brązowym kolorze. W wiosce Evelin mignęła mi nawet czerwień i królewska purpura.

Osada, w której mieszkała, była największą, jaką do tej pory widziałam w Elegestii. Miała więcej niż jedną ulicę i choć domy nie były architektonicznymi cudami, zbudowano je z kamienia, nie z drewna i nie sprawiały wrażenia, jakby ledwie podmuch mógł zmieść je z powierzchni ziemi. Co więcej, w ich rozmieszczeniu można było doszukać się jakiejś regularności. Wszystkie drogi zbiegały się do niewielkiego rynku, na którym kręciło się sporo osób. Odkąd znalazłam się w Elegestii, nie widziałam tak wielu ludzi w jednym miejscu. Night

budziła wśród nich zbyt duże zainteresowanie, by mogło nam to wyjść na zdrowie, więc szybko przejechaliśmy przez rynek i wjechaliśmy w ulicę, którą wskazała Evelin.

– Który dom jest twój? – zapytałam.

– Największy.

Uniosłam brwi, ale nie skomentowałam. Skierowałam Night w stronę najbardziej okazałej rezydencji. Byliśmy jeszcze jakieś pięćdziesiąt metrów od uroczego, dużego domu, ogrodzonego zielonym żywopłotem, gdy rozległ się krzyk.

– Evelin! Evelin!

Zsunęła się z konia i przebiegła kilka metrów, by paść w ramiona brzuchatego jegomościa.

Jej ojciec musiał być kimś w rodzaju dużej szczy w tej wsi, bo jego ubranie wyglądało na najbardziej kosztowne, a szaty miał w kolorze purpury. Nosił na krótkich palcach dużą ilość srebrnych pierścieni, które dostrzegłam, gdy ścisnął swoją córkę. Odsunął ją w końcu na odległość ramienia i uważnie zlustrował wzrokiem.

– Nic ci się nie stało? Odchodziłem od zmysłów.

Evelin powiedziała coś cicho i wskazała w naszym kierunku. Spojrzał na nas, a ja musiałam zwalczyć pokusę, by mu pomachać. Szybko ruszył w naszym kierunku.

– A więc ocaliliście moją córkę – powiedział, wyciągając tłustą rękę w moim kierunku. Zsiadłam z konia i obdarzyłam go silnym uściskiem.

– Tak się złożyło.

– Jesteście zmęczeni? Spragnieni? Życie mojej córki jest dla mnie bezcenne, ale pozwólcie, że spróbuję odwdziżyć się, goszcząc was w moich skromnych progach.

Zerknęłam na Jareda. Nieprzespane noce odcisnęły piętno na jego ładnej twarzy, wyglądał, jakby tylko siła woli utrzymywała go w siodle w pozycji pionowej. I tak musielibyśmy się tu zatrzymać, więc czemu nie zrobić tego w najładniejszym domu?

– Będziemy wdzięczni – powiedziałam krótko.

– Nie, nie, to ja będę wdzięczny! Ale gdzie moje maniery, jestem Gregory. – Jeszcze raz wyciągnął nakrapianą tłuszczem dłoń w moim kierunku.

– Alice. A to mój koniuszy, Jared. – Wskazałam na chłopaka.

– Alice, piękne imię. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, błyskając złotem.

Uniosłam brwi. Jared miał odmienne zdanie, ale nie powiedziałam tego na głos. Pozwoliliśmy się zaprowadzić do domu, który urządzony był z zaskakującym przepychem. Przyzwyczajona do ciemnych i wilgotnych pokoi w tawernach, patrzyłam ze zdumieniem na jasne, bogato umeblowane pokoje w domu

Gregory'ego. Pełno w nich było drobnych przedmiotów, które świadczyły o pozycji ich właściciela. Bo w jakim innym domu znalazłoby się lustro z posrebrzaną rączką czy wazon pomalowany w misterne wzorki, nasuwające na myśl skojarzenia z secesją? Rzeźbione oparcia krzeseł, puszyste dywany i nawet kominek... Tak, Gregory zdecydowanie był *kimś*.

Evelin gdzieś zniknęła, pewnie poszła doprowadzić się do porządku. Pan domu sam oprowadzał nas po swojej rezydencji, a ja mimowolnie zaczęłam się zastanawiać, gdzie podziewa się matka Evelin.

– Do kolacji pozostało jeszcze trochę czasu, ale jeśli macie jakiegokolwiek prośby... – zawiesił głos.

W zasadzie miałam jedną.

– Chciałabym się wykąpać.

– Oczywiście, oczywiście. – Zaśmiał się jowialnie. – Polecę służącym, by przygotowały kąpiel. Młody człowieku, ty również chciałbyś się odświeżyć? – zwrócił się do Jareda.

– Z przyjemnością.

Pełna kultura, aż się uśmiechnęłam. Chłopak przynajmniej nie robił mi wstydu przy ludziach.

Gregory wskazał nam w końcu dwa sąsiadujące ze sobą pokoje.

– Zostaniecie na noc, prawda? Tutaj będziecie mogli się przespać.

Nim w końcu zostawił nas samych, zaczęłam się niecierpliwić. Gdy wreszcie odszedł, wymieniliśmy spojrzenia z Jaredem. Wzruszyłam ramionami i nacisnęłam kłamkę swojego pokoju. Nie był tak okazale urządzone jak te, które widziałam, ale nadal sprawiał przytulne wrażenie. Łóżko wyglądało na wygodne i to było z grubsza wszystko, co mnie obchodziło. Chociaż nie – wielka balia, pełna ciepłej, parującej wody, to była dopiero odpowiedź na moje pragnienia.

Zaczęłam zrzucać z siebie ubrania i po chwili zanurzyłam się w gorącej wodzie. Długie westchnienie wyszło z moich ust. Metalowa balia nie równała się co prawda z wanną, ale w porównaniu z zimnymi strumieniami, była to kąpiel pierwszej klasy. Wydobyłam z torby kilka saszetek i rozpoczęłam mycie. Wyszłam dopiero, gdy woda zupełnie ostygła. Wreszcie czułam się absolutnie czysta i do tego ładnie pachniałam. Skorzystałam też z okazji i uprałam brudne ubrania. Gdy przywdziałam czysty podkoszulek i spodnie, poczułam się jak nowy człowiek.

Nim zesłam na kolację, postanowiłam ukryć szkatułkę. To, że Gregory zaoferował nam gościnę, nie znaczyło, że był godny zaufania. Rzuciłam prosty czar maskujący i kiedy do drzwi zapukał służący, z czystym sumieniem udałam się na kolację.

Z pokoju obok wyszedł Jared. Aż przystanąłam na jego widok. Po porządnej kąpeli i zmianie ciuchów na świeże prezentował się na tyle dobrze, że gdyby nie był jakieś pięć lat młodszy ode mnie, mogłabym się nim zainteresować.

Tymczasem bez słowa zlustrowałam go spojrzeniem z lekko uniesionymi w górę brwiami.

– No co?

– Nic. Idziemy jeść.

Wystarczył jeden rzut oka na suto zastawiony stół, by mój żołądek zwariował. Zaburczał tak głośno, że zapewne usłyszała go cała wieś. Gdy do moich nozdrzy dotarł zapach pieczonego mięsa, ślina zaczęła mi cieknąć tak, że nie nadążałam przelykać. Na szczęście Gregory musiał dostrzec, jak głodni jesteśmy, bo darował sobie przemowy. Z miejsca zabraliśmy się do jedzenia.

Siłą musiałam hamować się, by nie rzucić się na stojącego przede mną kurczaka. Pochwyciłam spojrzenie Jareda i zmrużyłam groźnie oczy. Zrozumiał przesłanie, bo chwycił za sztucę i zaczął kroić mięso na małe kawałeczki.

Kiedy już zaspokoiliam pierwszy głód, zauważyłam, że dołączyła do nas Evelin. Miałam rację – w pięknej sukni, umyta i uczesana, wyglądała naprawdę ładnie. Zachowywała się jak prawdziwa dama – jadła wolno i z umiarem... w przeciwieństwie do mnie i Jareda. My tylko staraliśmy się zachować pozory, niezbyt sumiennie zresztą.

– Mam nadzieję, że wam smakuje. – Gregory z uśmiechem przyglądał się, jak oczyszczamy mu stół z jedzenia, sam nie pozostając przy tym bierny.

– Jest pyszne – powiedział z zapałem Jared.

Sięgnęłam po kielich wina. Zakołysałam nim lekko i uniosłam do ust. Miało nieco cierpki smak.

– Czy wyjdę na zbyt ciekawskiego, jeśli zapytam, w jakim celu wędrujecie traktem? – zapytał z niedbałością, ale błysk w oku ostrzegł mnie, że to jedynie pozory.

– Mam coś do załatwienia. – Wzruszyłam ramionami. Więcej ode mnie nie usłyszy.

– Cóż, jeśli to nie jest bardzo ważna sprawa, może zechcielibyście zostać na dłużej. Narzeczony Evelin zerwał zaręczyny – powiedział, zerkając na córkę – a ja chętnie oddam jej rękę młodzieńcowi, który ją uratował. – Jared poderwał gwałtownie głowę, a jego policzki przybrały barwę szkarłatu.

– Panie – powiedział, schylając głowę z szacunkiem. – To bardzo... wspaniałomyślna propozycja. Nie mógłbym jej przyjąć.

– Och, daj spokój, chłopcze. – Zbył jego słowa machnięciem ręki. – Jesteś przystojny, dobrze wychowany. Czyż mógłbym chcieć lepszego zięcia?

Jared najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć. Zerknął na mnie, szukając wybawienia z opresji, ale ja zbyt dobrze się bawiłam, by robić cokolwiek.

– Może to nie jest taki głupi pomysł – powiedziałam powoli, z namysłem.

Jared rzucił mi zranione spojrzenie z serii „Jak możesz mi to robić?”.

– Cóż, jestem zaszczycony tą propozycją – wybąkał w końcu.

Zerknęłam na Evelin. Chyba myśl o poślubieniu Jareda nie była jej przykra, bo na jej ustach również błąkał się nieśmiały uśmiech.

Nagle do sali wszedł mężczyzna ubrany w coś na kształt munduru. Podszedł do Gregory’ego i wyszeptał mu coś do ucha.

– Musicie mi wybaczyć, ale obowiązki wzywają – powiedział, uśmiechając się przepaszająco. – Jeśli tylko będziecie czegoś potrzebowali, nie wahajcie się wołać służbę.

Życzył nam jeszcze dobrej nocy i wyszedł. Zerknęłam na Evelin. Zauważyła moje spojrzenie i zarumieniała się.

– Wiem, co sobie myślicie – powiedziała, zaskakując mnie, bo w tamtym momencie, z pełnym żołądkiem, nie myślałam w zasadzie o niczym. – Mój ojciec ma wysoką pozycję, dlaczego miałby więc oddawać córkę pierwszemu lepszemu mężczyźnie?

W sumie, kiedy już o tym wspomniała...

– Jared nie jest pierwszym lepszym – postanowiłam zabawić się w adwokata diabła. Nie mogłam powiedzieć, że mój towarzysz podróży to docenił. Spojrzał na mnie wilkiem.

– Ale nadal jestem nieznanym.

Evelin wzruszyła lekko odsłoniętymi ramionami.

– Przedtem widziałam się zaledwie dwa razy ze swoim narzeczonym. Tak naprawdę też był nieznanym. Nie zrozumcie mnie źle, ojciec mnie kocha, ale mam już swoje lata i powoli fakt, że nie mam męża, staje się dla niego kłopotliwy. – Zarumieniała się jeszcze bardziej, spuszczając wzrok. Najwyraźniej nie codziennie zdobywała się na takie wyznania. Ale to był dopiero początek. – Długo pozwalał mi na unikanie tego tematu, wykazując się zrozumieniem po śmierci mamy. Ale niedawno skończyłam dwadzieścia lat, a u nas w domu zawsze kręci się mnóstwo mężczyzn. Coraz trudniej jest... – zawiesiła głos, najwyraźniej nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, by dokończyć myśl. Ale rozumiałam, o co jej chodzi, Jared zdaje się też. Za to zainteresowało mnie coś innego.

– Naprawdę masz dwadzieścia lat?

Wyglądała na jakieś szesnaście z tą swoją niewinną buzią. Skuliła się w sobie, gdy zadałam to pytanie, przez co wydała mi się jeszcze młodsza.

– Naprawdę.

Po tym wyznaniu zapadła cisza. Nie sądziłam, by Jared miał więcej niż osiemnaście lat, ale może lubił starsze dziewczyny? Tak czy inaczej to nie był mój interes.

Byłam już tak napchana, że nie byłam w stanie zjeść nic więcej. Nie widziałam powodu, by dłużej siedzieć przy stole.

– Zostawię was samych, gołąbeczki. – Uśmiechając się znacząco do Jareda i Evelin, opuściłam salę. Z tego co zauważyłam, wszędzie kręcili się służący, nie byli więc zupełnie sami, ale zawsze to coś. Może wyjaśnią sobie to i owo i dojdą do jakiegoś porozumienia.

Słońce nie zaszło jeszcze zupełnie, nie wróciłam więc do pokoju, tylko wyszłam na zewnątrz. Za domem znajdował się piękny ogród. Przypomniłam mi się mój własny, zapuszczony do granic możliwości i poczułam się głupio. Ale z drugiej strony, ja nie miałam armii służących, która by o niego dbała.

Usiadłam na niewielkiej ławeczce stojącej przy fontannie. Przyglądałam się rzeźbie przedstawiającej człowieka, najpewniej maga, który przebijał mieczem smoka. To z jego rozwartego w agonii pyska wypływała woda. Całość sprawiała raczej ponure wrażenia. Moja sympatia do Gregory'ego zmalała znacząco. Jeśli miał coś takiego w ogródku, pewnie fanatycznie nienawidził smoków.

Po jakimś czasie przysiadł się do mnie Jared.

– Jak tam narzeczona? – spytałam.

– Ona nie jest moją narzeczoną.

– Ale jeśli chciałbyś, żeby była... masz otwartą drogę.

Jared milczał, wpatrując się w rzeźbę.

– Co jest, nie podoba ci się?

– Alice, myślisz, że tak po prostu cię zostawię?

Roześmiałam się.

– Żartujesz? Dam sobie radę bez ciebie. Masz teraz niepowtarzalną okazję. Evelin jest prawie jak księżniczka. Lepiej ożeń się z nią, zanim Gregory się rozmyśli.

Jared milczał. Zauważyłam, że wysunął do przodu szczękę, a jego twarz przybrała zacięty wyraz.

– Uratowałam mi życie. Więcej niż raz. Jestem lojalny wobec ciebie – nie Evelin.

– Mówią, że kiedy uratujesz czyjeś życie, stajesz się za nie odpowiedzialny – powiedziałam powoli. – Sądzę, że powinieneś ją poślubić.

– Ty uratowałaś jej życie. Zabiłaś czterech mężczyzn, ja żadnego.

– Ale...

– Nie. – Nie pozwolił mi się wtrącić. – Poza tym, skoro uratowałaś moje życie, to znaczy, że za mnie wyjdiesz? – spytał niespodziewanie poważnym tonem.

Uniosłam dłonie w geście kapitulacji.

– Wygrałeś.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy razem w milczeniu. Było cicho, jeśli nie liczyć delikatnego szumu wody i cykających świerszczy.

– Jak myślisz, skąd Gregory ma tyle pieniędzy? – przerwałam ciszę. – Ten

dom musi być warty majątek.

– Czy to nie oczywiste? – Spojrzenie Jareda przywiodło mi na myśl sposób, w jaki patrzył na mnie Tom, gdy czegoś nie wiedziałam. Naburmuszyłam się.

– Nie.

– Wzbogacił się na wojnie.

– I domyślam się, że nie jest bynajmniej po stronie smoków – powiedziałam, patrząc na fontannę. – Czekaj, to znaczy, że jest magiem? – spytałam zaniepokojona. Jak to się stało, że wcześniej na to nie wpadłam? Ewidentnie znaleźliśmy się w strefie wpływów magów, porządnie wykonane domy i przepych w posiadłości Gregory’ego powinny być dla mnie wystarczająco oczywistym znakiem tego, że ludzie mają tutaj do czynienia z magią.

– Pewnie tak.

Zerwałam się z ławki.

– Myślę, że już czas, byśmy poszli spać. Jeśli nie zamierzasz ożenić się z Evelin, wyruszamy jutro z rana – powiedziałam i pognałam do swojego pokoju.

Z pozoru wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to zostawiłam, wychodząc. Zniknęła tylko balia z wodą. Uklękłam i zajrzałam pod łóżko. Odetchnęłam z ulgą. Szkatułka na szczęście nadal tam była. Wsunęłam ją z powrotem pod łóżko. Gdyby w domu byli jacyś magowie, wyczułabym ich. Gregory musiał być po prostu sprawnym biznesmenem, to wszystko. Nie musiałam obawiać się niczego z jego strony.

Wreszcie miałam okazję porządnie się wyspać, bez zagrożenia, że obudzę się rano ze sztyletem na gardle. Zdjęłam spodnie i w samym podkoszulku położyłam się do łóżka. Wygodny materac i puchowa kołdra sprawiły, że nim się obejrzałam zapadłam w głęboki sen.

ROZDZIAŁ 7

W czystej pościeli i wygodnym łóżku spało mi się cudownie do tego stopnia, że mało brakło, bym zasnęła. Na szczęście i tym razem mój wewnętrzny zegar nie zawiódł i choć z wielką biedą, otworzyłam oczy tuż przed świtem. Nie powiem, że bym była wyspana. Ilość przespanych godzin nie grała w tym wypadku roli – mój organizm podświadomie buntował się, gdy musiałam wstać wcześniej i choćbym położyła się równo z zachodem słońca, kiedy wstawałam przed jego wschodem, nie istniała możliwość, że bym się wyspana. Mimo tego odrzuciłam na bok ciepłą, puchową kołdrę i postawiłam stopy na zimnej podłodze. Dobrze, że obok łóżka nie leżał żaden miękki dywan – dotyk zimnego drewna otrzeźwił mnie na tyle, że byłam w stanie opuścić posłanie. Ubrałam się szybko i wymknęłam na korytarz. Bez pukania weszłam do pokoju Jareda. Nawet nie drgnął, choć wcale nie zachowałam się cicho.

Leżał zaplątany w pościel. Nieco przydługie, piaskowe kosmyki spadały mu na twarz. Wyglądał tak bezbronne i niewinnie, aż się uśmiechnęłam. Podeszłam bliżej i potrząsnęłam go za ramię. Budził się powoli, najwyraźniej nadal nie odespał poprzednich nocy. Otworzył powieki i spojrzał na mnie zaspanymi oczami. Nie były tak intensywnie zielone jak za dnia, miały bardziej stonowany kolor.

– Alice. Musimy jechać, tak?

Skinęłam głową.

– Za dziesięć minut w stajni. Jeśli chcesz pożegnać się jeszcze z narzeczoną, sugerowałabym, żebyś się pospieszył.

Wróciłam do swojego pokoju i szybko spakowałam te kilka drobiazgów, które zabrałam ze sobą. Nie wiedziałam, czy Gregory wrócił wczoraj do domu, po tym jak „wezwały go obowiązki”. Nasz wyjazd był trochę nie w porządku, ale nie miałam zamiaru zawracać sobie tym głowy. Ja uratowałam jego córkę, on udzielił mi gościny. Uczciwy układ. Miałam nadzieję, że pożegnanie Jareda z Evelin załatwi sprawę.

Po cichu, by nie budzić domowników, zeszłam po schodach i wyszłam na zewnątrz. Służba powoli zaczynała wstawać, ale na szczęście udało mi się uniknąć spotkania z kimkolwiek i niezręcznych pytań, które pewnie by zadawali. Skierowałam się prosto do stajni, gdzie czekała na mnie Night. Na szczęście dobrze o nią zadbali. Mój widok wydawał się ją cieszyć. Poklepałam ją po pysku i zaczęłam siodłać, nie czekając na Jareda.

– A więc wyjeżdżasz?

Zaskoczył mnie cichy głos Evelin, która stanęła niespodziewanie w drzwiach stajni. Założyła długi płaszcz, podobny do tego, który dostałam od Toma. Najprawdopodobniej pod spodem miała koszulę nocną, bo jej potargana fryzura

sugerowała, że dopiero wstała z łóżka.

– Tak. – Wzruszyłam ramionami i wróciłam do mocowania toreb na grzbiecie klaczy. – Jak powiedziałam, mam coś do załatwienia i jakkolwiek twój ojciec ugościł nas wspaniale, nie mam czasu, by zostać tu dłużej.

– A Jared? – zapytała z nadzieją.

Otworzyłam usta, by odpowiedzieć, ale wtedy wpadł zdyszany przedmiot naszej rozmowy.

– Przepraszam, że tak długo, ale nigdzie nie mogłem znaleźć Evelin. – Umilkł gwałtownie, gdy dostrzegł ją w środku. – Ja... – zająknął się, spoglądając w jej stronę.

– Rozumiem – powiedziała cicho, starając się ukryć rozczarowanie. – Ty też wyjeżdżasz.

– Tak, ja... chciałem się pożegnać. – Znowu to robił. Czerwienił się w ten swój uroczy sposób. Nic dziwnego, że spodobał się Evelin.

Dziewczyna obserwowała w milczeniu, jak przygotowujemy konie do drogi. Kiedy wszystko było gotowe, podeszła bliżej i stanęła przede mną.

– Alice, zanim odjedziesz, chciałam powiedzieć, że nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłaś. Uratowałaś nie tylko mój honor, najprawdopodobniej ocaliłaś mi życie. Nigdy nie będę w stanie należycie ci się odwdziaczyć.

– Nie ma sprawy – powiedziałam szybko. Głupio się czułam, gdy ludzie mi dziękowali.

– Jeśli znalazłabyś się tu kiedykolwiek, wiedz, że zawsze będziesz mile widziana. Ty również – zwróciła się w stronę Jareda. – Jeśli kiedykolwiek będziecie czegoś potrzebowali, zrobię wszystko co w mojej mocy, by wam pomóc.

– Nie zapomnę. – Wskoczyłam na konia i spojrzałam na nią z góry. – Żegnaj, Evelin.

Spięłam konia piętami i odjechałam, pozostawiając w stajni Jareda i Evelin. Jared dogonił mnie kilka minut później. Zerknęłam na niego. Po nocy w łóżku wyglądał o niebo lepiej.

– Gotowy do drogi?

Zasalutował mi żartobliwie i skierowaliśmy się na trakt.

Choć nie należę do najbardziej rozmownych typów, monotonia naszej wędrowki sprawiła, że gdy Jared po raz kolejny zrównał ze mną konia i wyraźnie chciał coś powiedzieć – dałam mu szansę. Spojrzałam przyzwalająco w jego kierunku, skinieniem głowy zachęcając go, by wyrzucił z siebie wreszcie to, co miał do powiedzenia.

– Książka, którą mi pożyczyłaś... – zaczął.

– Co z nią?

– Jest trochę nietypowa – powiedział ostrożnie.

Miał szczęście, że tylko o to chodziło. Westchnęłam. Wiedziałam, że będzie z tego więcej kłopotów niż pożytku.

– Niech zgadnę, wiele rzeczy, o których nigdy nie słyszałeś?

– No tak. – Rzucił mi nieco spłoszone spojrzenie. – Autor używa dość dziwnych słów.

– Na przykład?

– Nie rozumiem, co to samochody.

– Samochody... to coś jakby metalowe konie. – Staralam się jak mogłam, ale i tak porównanie wyszło mi dość kiepskie.

– Jak koń trojański?

– Koń trojański? – powtórzyłam zdziwiona, tym razem faktem, że znał mit o Troi. Zaraz potem przypomniałam sobie, co mówił Tom. Drogi Ziemi i Elegestii rozeszły się kilkanaście wieków temu. Najwyraźniej historię starożytną mieliśmy taką samą. Jak już sobie to uświadomiłam, doszłam do wniosku, że była to doskonała analogia.

– Tak, coś w tym stylu.

– Dziwny to musi być świat, w którym ludzie poruszają się wewnątrz metalowych koni – powiedział w zadumie.

Uśmiechnęłam się.

– Mogą też poruszać się na metalowych koniach.

– Jak to? – Jego oczy zrobiły się okrągłe.

– Na coś takiego mówi się motor. – Pomyślałam tęsknie o zamkniętym w szopie Kawasaki. Night spisywała się świetnie, ale na pierwszym miejscu nadal był mój ścigacz.

– Ten Puzo musiał mieć niezłą wyobraźnię – powiedział Jared, odrywając mnie od rozmyślań o motorze. – Ale tak poza tym historia jest klasyczna.

Obrzuciłam go uważnym spojrzeniem.

– Prawda?

– Władza, pieniądze, kobiety i zemsta – wyliczał. – Niezależnie od realiów, to są najważniejsze rzeczy, wokół których kręci się świat.

– Wnikliwa analiza. – Uśmiechnęłam się krzywo. – Więc w wojnie między magami a smokami chodzi o władzę, pieniądze, kobiety czy zemstę?

Patrzyłam na niego uważnie, podczas gdy ważył w myślach słowa. Odpowiedział po dłuższej chwili.

– Konflikt między smokami a magami trwa od wieków i choć przyczyną jego wybuchu mogła być kobieta i chęć zemsty, obecnie jest już tylko walką o dominację.

– Czyli władza.

– Władza, a co za tym idzie pieniądze. Zemsta też, ale teraz to bardziej

przykrywka. Magowie chcą wybić do nogi rasę smoków i choć tłumaczą to chęcią zemsty, tak naprawdę chcą zyskać niepodzielną władzę nad Elegestią.

– Nie lubisz magów, co?

Odwrócił wzrok.

– Nie sympatyzuję ani ze smokami, ani z magami. Obie rasy swoją wojną wyniszczają tę krainę. Nie mam powodu, by lubić jednych bądź drugich.

– A co z porwaniami? – zapytałam, przypominając sobie, co mówił Tom.

Jared zaśmiał się kpiąco.

– Od lat smoki nie porwały żadnego maga. Za bardzo się teraz pilnują. Rasa smoków jest skazana na wyginięcie.

Pokiwałam głową w zadumie. Jak się okazało, całkiem bystry chłopak z niego był, a nasza rozmowa dała mi do myślenia. Rzeczywiście, na wojnie cierpieli wieśniacy. Widziałam wioski, w jakich mieszkają, opłakane warunki, w których żyją. Jediną osadę, która wydawała się reprezentować jakiś poziom, zamieszkiwali ludzie, którzy dorobili się na wojnie.

Walka między smokami a magami rozpoczęła się wieki temu. Jeśli historia, którą opowiedział mi Jared, była prawdziwa i przyczyną konfliktu rzeczywiście była kobieta, zapewne już dawno nie żyła, a jej porwanie zostało pomszczone po tysiącokroć. Skoro smoki nie porywały już magów, by się z nimi krzyżować, Jared musiał mieć rację. Widziałam, z jaką nieuzasadnioną nienawiścią Tom mówił o smokach i nie zdziwiłabym się, gdyby magowie rzeczywiście dążyli do ich całkowitego unicestwienia.

Na szczęście byłam w Elegestii tylko w celu wykonania konkretnego zadania i nie musiałam angażować się w ten konflikt. Ceniłam sobie spokojne życie, a wojna była od tego daleka. Zresztą, nie potrafiłam solidaryzować się z magami, bo tak naprawdę oficjalnie nie byłam nawet pełnoprawną czarownicą. Wyrzucili mnie z Akademii Magii, byłam zwykłym renegatem. Smoki, o których słyszałam niewiele i przeważnie same złe rzeczy, nadal pozostawały dla mnie papierowymi stworami. Wojna wymagała zaangażowania – ja byłam zwykłą najemniczką, która po wykonaniu swojego zadania zainkasuje sto tysięcy, wróci do swojego wymiaru tak szybko, jak się da i zapomni o Elegestii.

Jechaliśmy cały dzień, z krótką przerwą koło południa. Już dawno odnalazłam wspólny rytm z Night, jednak nie uchroniło mnie to od paskudnych zakwasów. Z dnia na dzień było coraz lepiej, ale tyłek nadal bolał niemiłosiernie. Gdy słońce powoli chowało się za drzewami, zjechaliśmy z traktu w poszukiwaniu miejsca na nocleg. Poprzedniej nocy spaliśmy wygodnie w łóżkach, dziś musieliśmy zadowolić się gołą ziemią. Patrząc na mapę, nie spodziewałam się spotkać żadnej wioski wcześniej niż za kilka dni.

W końcu trafiliśmy na wystarczająco ustronne miejsce i zaczęliśmy rozbijać obóz. Jared zajął się kołmi, a ja przygotowaniem kolacji. Nadal miałam całkiem spory zapas zupek chińskich, więc wyjęłam dwie torebki i zalałam wodą. Rozszedł się charakterystyczny aromat, który natychmiast przywołał Jareda. Podałam mu miskę, jednocześnie patrząc na niego surowo. Skulił uszy po sobie i zaczął jeść wolno, choć z wyraźnym apetytem. Widząc, że nie połknie wszystkiego w pół minuty, sama zabrałam się do jedzenia.

Byłam mniej więcej w połowie, gdy usłyszałam trzask łamanych gałązek. Nie zatrzymaliśmy się na nocleg, więc nie stawiałam żadnych magicznych tarcz. Odłożyłam miskę i sięgnęłam po sztylet. Jared spojrzał zdziwiony, ale gestem nakazałam mu ciszę. Mrużyłam oczy, uważnie patrząc w stronę, z której dochodziły dźwięki. Ktoś się skradał i nie robił tego dyskretnie. Tylko dlatego postanowiłam nie ucinąć mu głowy od razu. Dostrzegłam ciemną czuprynę i rzuciłam sztyletem. Wbił się w pień tuż nad czyjąś głową. Usłyszałam cichy okrzyk i po chwili moim oczom ukazał się potężny mężczyzna.

Miał na sobie długi płaszcz. Zaczynałam myśleć, że w Elegestii to ostatni krzyk mody. Z tym że jego okrycie, w przeciwieństwie do mojego, było czarne. Nie wątpiłam, że skrywa pod nim boskie ciało. To, co było odsłonięte, cieszyło oczy – przystojna, opalona twarz z cieniem zarostu, ciemne, zmierzwione włosy opadające mu na czoło w artystycznym nieładzie i magnetyczne, brązowe oczy.

Podniosłam się, trzymając na widoku kolejny sztylet.

– Zgubiłeś się?

– Właściwie to nie. – Błysnął zębami w oszalamiającym uśmiechu. Zdaje się, że Tom miał konkurencję. – Odnalazłem dokładnie to, czego szukałem.

– Doprawdy?

Spojrzał na miskę, którą położyłam na ziemi.

– O tak. Źródło tego niebiańskiego zapachu. Poczęstujesz mnie?

Stałam z głupią miną, wpatrując się w nieprzyzwoicie przystojnego mężczyznę, który z kolei gapił się z głodem w oczach na miskę leżącą u moich stóp.

– Oczywiście zapłacę, ile będzie trzeba.

Jared stanął obok i rzucił mi czujne spojrzenie.

Naprawdę, gdybym wiedziała, że zupki chińskie zrobią w Elegestii taką furorę, dwa razy bym się zastanowiła, nim bym je spakowała. Teraz stałam jak głupia, kompletnie nie wiedząc, jak się zachować. Pogonić go czy poczęstować? Widząc moje wahanie, zrobił żalostną minę.

– Chyba nie odmówisz głodnemu mężczyźnie?

– Głodnemu nieznanemu mężczyźnie – poprawiłam.

– Jestem pewien, że przy posiłku się poznamy.

Co miałam do stracenia? Facet wyglądał na miejscowego Casanovę, nie

rozbójnika. Nie podejrzewałam, że będzie chciał mnie okraść, a nawet jeśli, wiedziałam, że będę potrafiła się obronić. Poza tym sprawiał wrażenie kogoś, z kim można było pogadać. Spotkani przeze mnie wieśniacy nie zachęcali do rozmowy, a ciągła konwersacja z tą samą osobą, to jest z Jaredem, powoli zaczynała mnie nudzić.

– Niech ci będzie – zgodziłam się.

Odrobina towarzystwa nie zaszkodzi, szczególnie gdy towarzystwo powala urodą.

– Świetnie! – wykrzyknął, autentycznie ucieszony. – Pójdę tylko po swojego konia i zaraz jestem z powrotem!

Zniknął w krzakach, a ja poczłapałam do torby po kolejną zupkę. Nim wrócił, była gotowa.

Wyłonił się zza drzew, trzymając za uzdę wielkiego, czarnego rumaka, który wyglądał nawet groźniej niż Night.

– Niech zgadnę – nazywa się Black?

– Owszem. – Jego właściciel aż napuchł z dumy, a ja przewróciłam oczami. Cóż za przewidywalność. Night też nie było najbardziej oryginalnym imieniem, ale nie ja je wybrałam.

– Przy okazji, jestem Waren – powiedział, po czym skłonił się lekko w moją stronę. Maniery miał niczego sobie, nie mogłam się przyczepić. Ciekawe, co robił sam w lesie.

– Proszę. – Podałam mu parującą miskę i chwyciłam za uzdę Black. – Pozwól, że go komuś przedstawię.

Pociągnęłam za rzemień, nie zwracając uwagi na gniewne prychnięcia i zęby kłapiące tuż obok mojego ucha.

– Night? – zawołałam swoją klacz.

Na widok Black, kasztanek Jareda jakby skulił się w sobie, natomiast Night wydawała się nie zwracać na niego większej uwagi. Puściłam uzdę rumaka – tym razem nie miałam wątpliwości, że jest rodzaju męskiego – nie tylko ze względu na imię. Podeszedł do Night, ale gdy znalazł się zbyt blisko, ta kłapnęła groźnie zębami. Obserwowałam przez chwilę ich podchody, po czym odwróciłam się na pięcie i wróciłam do ogniska.

Waren opróżnił swoją miskę nawet szybciej niż Jared. Stała pusta obok niego. Obaj wpatrywali się teraz w moją.

– Nawet o tym nie myślcie – rzuciłam groźnie. Czym prędzej dokończyłam jedzenie. Dwie pary oczu, jedna zielona, druga brązowa, uważnie śledziły każdy mój ruch. Kiedy skończyłam, Jared odebrał miskę i odszedł pozmywać.

– Czyli wiem już o tobie, że jesteś najlepszą kucharką w Elegestii i masz osobistego służącego. To całkiem sporo, mimo wszystko chciałbym też poznać twoje imię. – Miał głęboki, męski głos i, jak na mój gust, siedział zbyt blisko mnie.

– Nie przysuwaj się tak – burknęłam. – Mam na imię Alice.

Wydawał się trochę zaskoczony. Nie wiedziałam, co było nie tak z tym imieniem, ale każdy dziwnie na nie reagował. Zaraz też usłyszałam dokładnie to, czego się spodziewałam.

– Piękne imię dla pięknej kobiety.

– Słuchaj, Waren – powiedziałam, nie chcąc bawić się w subtelność. – Może i dałam ci zupę, ale na ciupcianie nie licz.

Patrzył na mnie przez długą chwilę, autentycznie zdziwiony, ale mimo że słowo mogło wydawać mu się dziwne, przekaz był jasny. W końcu roześmiał się głośno.

– Piękna i do tego nadzwyczaj bezpośrednia.

Przewróciłam oczami. Nie pomyślałam o tym, by na wyprawę do Elegestii zabierać kondomy, mógł więc sobie jedynie pomarzyć.

– Nie strzęp sobie języka.

– Lubię wyzwania. – Mrugnął do mnie, a ja nagle poczułam, że ciężko będzie mi się go pozbyć.

Tymczasem wrócił Jared. Nie wyglądał na specjalnie ucieszonego, widząc Warena mrugającego do mnie porozumiewawczo.

– W którą stronę wędrujecie? – zapytał Waren.

– A ty?

Przez chwilę wyglądał, jakby miał zamiar się kłócić, że to on pierwszy zapytał, ale w końcu wzruszył ramionami i powiedział:

– Północny wschód.

Cholera.

– My też – przyznałam niechętnie.

– To cudownie, będziemy mieli więcej czasu, żeby dobrze się poznać.

Z jednej strony to mogło być uciążliwe, jednak z drugiej... byłam ciekawa, co wymyśli. Pozwoliłam sobie na uśmiech.

– To się jeszcze okaże.

Ułożyliśmy się wygodnie, ale nie wiedzieć czemu, żadne z nas nie zasnęło. Widziałam, jak Jared wierci się, co chwila zmieniając pozycje. Waren leżał nieruchomo, ale wiedziałam, że nie śpi. Ja leżałam i gapiłam się w niebo. Nieziemsko przystojny facet spoczywający zaledwie metr ode mnie trochę mnie rozpraszał, przytłaczał swoją obecnością i wiedziałam, że doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nasza rozgrywka powinna być ciekawa. Miałam jeszcze kawał drogi do pokonania – odrobina rozrywki mi się przyda.

Pierwsze, co ujrzałam po przebudzeniu, to goła klata Warena. Była tak fantastycznie umięśniona, że przez chwilę zastanawiałam się, czy nie śnię nadal.

W moim śnie Waren nie miałby jednak tak zadowolonej miny, gdyby przyłapał mnie na podglądaniu. Rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie i zerknął szybko w stronę zajętego końmi Jareda.

– Chcesz dotknąć? – zapytał konfidencjonalnym tonem.

Prychnęłam i wyplątałam się z koców. Grał nieuczciwie. Postanowiłam się przebrać. Wygrzebałam z torby świeżą bluzkę i zrzuciłam tę, którą miałam na sobie. Wylądowała dokładnie pod nogami Warena. Potem niespiesznie założyłam nowy podkoszulek, doskonale zdając sobie sprawę ze spojrzenia, którym obrzucał mnie Waren.

– Chcesz dotknąć? – powtórzyłam po nim, ale o ile jego pytanie było otwartą propozycją, moje było kpinią.

Dokończyłam ubieranie.

– Co ci tak wesoło? – spytał Jared na mój widok.

– Kolejny dzień na koniu. – Zerknęłam z ukosa na Warena. – Jak tu się nie cieszyć?

Jared nie wyglądał na ucieszonego, powiedziałabym, że był wręcz ponury.

Tym razem ruszyliśmy we troje. Towarzystwo Warena dodawało nam splendoru. Teraz jeźdźcy, których mijaliśmy, odwracali wzrok na nasz widok i załóżę się, że nawet im do głowy nie przyszła myśl, by na nas napadać. Przeciwnie, sami musieli obawiać się ataku z naszej strony, bo wymijali nas prędko, gnając na złamanie karku, jakbyśmy za chwilę mieli zacząć ich gonić.

Waren zrównał ze mną swego konia, ale Night kłapnęła groźnie zębami, tak, że Black musiał odskoczyć.

– Widzisz? – zaśmiałam się. – Nawet moja klacz wysyła ci jasne sygnały. Lepiej się nie zbliżaj.

– Twoja klacz powinna raczej zająć się Blackiem. Wyobrażam sobie, jak wyglądałoby ich potomstwo. – Waren zmierzył Night oceniającym wzrokiem.

– Ej! To nie klacz rozplodowa! Zresztą, nie widzę, by miała ochotę na bliższe poznanie z twoim rumakiem – powiedziałam złośliwie.

Waren wzruszył ramionami.

– Źle się do tego zabiera. Nie wie, jak zdobyć kobietę.

– Za to ty jesteś ekspertem? Wystarczy przeaparować jej pod nosem bez podkoszulka, a rzuci ci się w ramiona?

– Zdziwiłabyś się. – Jego ton sugerował, że ten sposób rzeczywiście działał na wiele kobiet. – Daj mi czas. Jeszcze sama do mnie przyjdiesz.

– Pewności siebie ci nie brakuje, ale tym nic nie osiągniesz. Nie tym razem. – Bawiła mnie ta dyskusja bardziej, niż chciałam przyznać. – A czasu nie masz aż tak wiele – oznajmiłam, bo nie zamierzałam przecież podróżować z nim w nieskończoność. Mówiąc szczerze, planowałam pozbyć się go przy pierwszej lepszej okazji.

Polna znowu ustępowała miejsca lasom. Z każdym pokonywanym kilometrem zagłębialiśmy się w coraz gęstszy las. Nie podobało mi się to, ale miałam u swojego boku dwóch facetów. Nie wątpiłam, że wystarczyłoby jedno słowo, aby Waren nie odstępował mnie nawet na krok. Jaredowi pewnie też niewiele by trzeba było.

Polana, która ukazała się nam koło południa, była idealnym miejscem na postój. Zsiadłam z konia i zaczęłam wydawać rozkazy. Niesamowicie przyjemnie było patrzeć, jak bez szemrania robią wszystko, co każę. Kiedy odeszli do wyznaczonych zajęć, zajęłam się przygotowaniem obiadu. Nie żeby zalanie trzech zupek chińskich zajmowało wiele czasu. Powoli zaczynały mi już brzydnąć, ale nie miałam nic lepszego w zanadrzu, a gdybym zdecydowała się gotować sama, skutki mogłyby być katastrofalne. Z mianem najlepszej kucharki w Elegestii bez wątpienia musiałabym się pożegnać.

– Znowu ten boski aromat. – Waren przykucnął przy mnie i głodnym wzrokiem wpatrywał się w miski. – Jak ty to robisz? Pomagasz sobie magią? – zapytał poważnie.

– Jared też tak sądzi – odparłam lekceważąco. – Czy tak ciężko uwierzyć, że jestem po prostu dobrą kucharką?

Dołączył do nas Jared i w milczeniu zabraliśmy się do jedzenia. Najwyraźniej miałam do czynienia z dżentelmenami, bo obaj poczekali, aż zaczną jeść, nim rzucili się na swoje porcje. Kiedy skończyliśmy, postanowiłam utrzyć Warenowi nosa.

– Twoja kolej na zmywanie – powiedziałam, uśmiechając się złośliwie.

– Myślałem, że ten tutaj jest od zmywania. – Wskazał lekceważącym gestem na Jareda, który choć wyraźnie się naburmuszył, nie powiedział słowa na swoją obronę, bo rzeczywiście zmywanie należało do jego obowiązków.

– Nic podobnego, kochasiu. Zabieraj się za gary. – Wskazałam na brudne naczynia. – Trzeci raz nie będę powtarzać.

Niechętnie i z niezadowoloną miną wstał, by spełnić moje polecenie.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał Jared, gdy Waren odszedł.

– Dlaczego nie? Nigdzie nie jest powiedziane, że masz po nim zmywać.

Poza tym – uśmiechnęłam się przewrotnie – widziałeś jego minę?

Zaśmialiśmy się zgodnie, ale po chwili Jared spoważniał.

– Nie ufam mu.

– Och, ja też nie. Ale dostarcza jakiejś rozrywki, nie sądzisz?

Chyba nie podzielał mojego zdania, bo nie odpowiedział.

– Będę miał na niego oko – powiedział jeszcze, nim wrócił Waren.

– Co macie takie grobowe miny? – zapytał na nasz widok. Zmarszczył brwi

i spojrzał na Jareda. – Lepiej zajmij się końmi, a zabawianie Alice pozostaw mnie.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem. W końcu Jared wzruszył ramionami i odszedł.

– Ach, ta służba – powiedział Waren z roztargnieniem, siadając przy mnie. Uniosłam brwi.

– Gdzie zgubiłeś swoją?

Wykonał nieokreślony gest, unikając odpowiedzi.

– Za to jeśli chcesz, mógłbym zostać twoim drugim osobistym służącym. – Posłał mi uwodzicielskie spojrzenie. – Mógłbym ci służyć, ale nie przy garach.

– Tak? – zapytałam przeciągle. – Gdzie dokładnie?

– Myślę, że wiesz. – Przysunął się bliżej, mocno naruszając moją przestrzeń osobistą.

Jego bliskość była nieco oszałamiająca. Mocny, męski zapach, który wydzieliał, bynajmniej nie pomagał mi w zachowaniu dystansu.

Nie masz kondomów! – upomniałam się w myślach.

– Mniej gadania, więcej działania – powiedziałam, klepiąc go energicznie po ramieniu. Zerwałam się na równe nogi, ale Waren chyba zbyt poważnie potraktował moje słowa. Podciął mnie w kolanach i runęłam jak długa prosto w jego otwarte ramiona. Nim się zorientowałam, odwrócił mnie tak, że za plecami miałam twardą ziemię, a na sobie jego ciało... równie twarde. Splótł moje nogi ze swoimi i unieruchomił mi ręce w nadgarstkach. Gdybym tylko chciała, mogłam użyć magii i pozbyć się jego ciężaru. Ale nie chciałam.

Przybliżył swoją twarz do mojej. Jego ciemne oczy zrobiły się jeszcze ciemniejsze, niemal czarne. Byłam ciekawa, czy moje wyglądają tak samo. Pocałował mnie. Najpierw w szczękę, drapiąc delikatnie swoim zarostem. Bardzo się pilnowałam, by nie wydać z siebie żadnego westchnienia.

– Tylko na tyle cię stać? – zapytałam z otwartym wyzwaniem w oczach.

– Stać mnie na wiele więcej. – Jego głos był niski i lekko ochrypły.

Nie czekając na moją zgodę, przycisnął swoje wargi do moich we władczym pocałunku. Napierał chwilę, nim wpuściłam go do środka. Jego język w moim gardle sprawiał mi więcej przyjemności, niż powinien, ale tego nie mogłam przyznać, więc kiedy odsunął się, by złapać oddech, powiedziałam:

– W skali od jeden do dziesięć dałabym ci najwyżej sześć. Naprawdę, przeceniasz swoje umiejętności...

Nie pozwolił mi dokończyć. Pocałował mnie ponownie i tym razem to była dziesiątka. Przerwał nam Jared.

– Konie są gotowe – oznajmił tonem mistrza ceremonii na pogrzebie.

Zrzuciłam z siebie Warena i zaczęłam otrzepywać ubranie.

– Jedziemy. – Tylko tyle byłam w stanie powiedzieć.

Musiałam sobie przypomnieć, po co znalazłam się w Elegestii. Miałam zadanie do wykonania i jakkolwiek nigdzie nie było powiedziane, że po drodze nie mogę się zabawić, nie mogłam się rozpraszać. Tym bardziej, że Warenowi sprawiało zbyt wielką satysfakcję patrzeć, jak mu ulegam. Jared spoglądał teraz na mnie wilkiem, jakbym co najmniej przespała się z Warenem na jego oczach. Sytuacja zrobiła się mocno niezręczna i postanowiłam, że przy najbliższej okazji pozbędę się Warena. Jeszcze nie wiedziałam, w jaki sposób to zrobię, ale jedno było pewne – to miała być nasza ostatnia wspólna noc.

Night zarżała groźnie i gdy spojrzałam w bok, zobaczyłam, że Black zbliżył się do niej na nieprzyzwoitą odległość.

– Alice, pędzisz jakby gonił cię sam diabeł – Waren spróbował nawiązać rozmowę.

– Zależy mi na czasie – burknęłam. – Nie mam ochoty na pogaduszki.

– Jasne, po co tracić czas na rozmowę, kiedy można od razu przejść do rzeczy? – Mrugnął do mnie porozumiewawczo, jakbyśmy co najmniej spędzili razem upojną noc, a nie pocałowali się dwa razy.

Skrzywiłam się, bo jego nachalność zaczynała mnie denerwować. Mógłby wziąć przykład z Jareda i siedzieć cicho na swoim koniu.

– Nie powiesz mi chyba, że ci się nie podobało? – odwrócił głowę tak, że patrzył mi prosto w oczy, oczekując odpowiedzi.

– Podoba mi się widok, który się przed nami roztacza, podoba mi się sposób, w jaki moja klacz kłapie zębami na twojego konia, podobają mi się moje buty... wiele rzeczy mi się podoba. Twój pocałunek... cóż, powiedzmy, że też mi się podobał – powiedziałam najbardziej lekceważącym tonem, na jaki było mnie stać.

Pewny siebie uśmiech znikł z twarzy Warena. Moja odpowiedź chyba go nie usatysfakcjonowała. Wyglądał wręcz na zagubionego, co szybko wykorzystałam.

– Masz coś jeszcze do powiedzenia? – zapytałam, uśmiechając się złośliwie.

Otworzył usta, potem je zamknął. W końcu pokręcił głową i pozwolił mi się wyprzedzić. Kolekcjonowałam takie głupie miny.

Nim zapadł zmrok, zarządziłam postój. Znowu byliśmy w lesie, gęstszym niż bym sobie tego życzyła, dlatego potrzebowaliśmy tej chwili, nim słońce zaszło zupełnie, by znaleźć dogodne miejsce na nocleg.

Podczas gdy ja zajmowałam się przygotowaniem posiłku, Jared i Waren doglądali koni. Zatrzymaliśmy się na polance tak niewielkiej, że nasze wierzchowce nie miały nawet zbyt wiele trawy do skubania. Ze wszystkich stron otaczały nas potężne, wyglądające na pięć razy starsze od nas drzewa. Las był wiekowy i sprawiał ponure wrażenie. Drzewa przytłaczały swoim ogromem, człowiek czuł się tu jak nic nie znacząca mrówka, która w każdej chwili może spotkać się z czymś wielkim butem – i to będzie jej ostatnie spotkanie w życiu.

Las był na tyle gęsty, że promienie zachodzącego słońca nie były w stanie do nas dotrzeć. Ognisko, które tymczasem rozpałił Jared, rozpraszało panujący półmrok, ale tworzyło też głębokie cienie. W blasku jego płomieni nasze twarze wyglądały mizernie i nienaturalnie. Mimowolnie zadrżałam, gdy w oddali rozległo się pohukiwanie sowy. Może byłam przewrażliwiona, ale zabrzmiało to... demonicznie. Spojrzeliśmy po sobie nad miskami.

– Sowa nie wróży niczego dobrego – odezwał się Jared.

Waren roześmiał się, ale nie było w jego śmiechu ani krzty radości czy rozbawienia.

– Wieśniacy i ich zabobony – rzucił lekceważącym tonem. – To zwyczajna sowa.

Wzruszyłam ramionami i wróciłam do zawartości swojej miski. Demoniczna czy nie, mogłaby polecieć sobie do innej części lasu. Najlepiej takiej, która byłaby jak najbardziej oddalona od naszej polanki.

Zamarłam, gdy usłyszałam suchy trzask pękającej gałęzi.

– To pewnie jakieś zwierzę – powiedział Waren.

– Jasne, takie samo jak ty. Cicho! – Przyłożyłam palec wskazujący do ust i zmierzyłam go groźnym wzrokiem. Drugą ręką sięgnęłam po sztylet. Kiedy poczułam znajomy ciężar w obu dłoniach, wyparowała cała niepewność. Skanowałam wzrokiem pogrążone w półmroku drzewa. Usłyszałam kolejny szelest, tym razem z przeciwnej strony.

– Okrążają nas – wyszeptałam. – Przygotujcie się na walkę.

Jared, nie wiedząc czemu, nie wyciągnął tym razem swojego dziwnego miecza, za to Waren wy dobył z pochwy olbrzymi miecz, który trochę przypominał ten podarowany mi przez babcię. Nie miał jednak żadnych magicznych symboli wrytych na klindze i brakowało mu surowej elegancji, która cechowała mój. Niemniej wyglądał na cholernie ostry i bez wątplenia był zabójczy, a to liczyło się najbardziej w tym momencie.

Ujrzałam odcinające się na tle ciemności czerwone, jarzące się oczy. Raczej nie należały do ludzkiej istoty. Zamierzyłam się, celując między nie, po czym wypuściłam sztylet z ręki. Poszybował i głuchy jęk powiedział mi, że trafił w cel.

– Jeden z głowy – powiedziałam, a potem odwróciłam się w przeciwną stronę.

Dzięki palącemu się ognisku mogłam dostrzec naszego przeciwnika, choć szczerze mówiąc, wolałabym pozostać w błogiej nieświadomości. Widok, który ukazał się naszym oczom, był tak odrażający, że pewnie dręczyłby mnie później w koszmarach, gdybym je miewała.

Stwór, który wychynął z ciemności, miał żeńskie cechy. Długie, splątane włosy, obwisłe piersi i choć zdeformowane, zdecydowanie kobiece rysy twarzy. Zamiast paznokci poczwara miała kilkunastocentymetrowe, zakrzywione szpony

i kły w ustach, które były doskonale widoczne, gdy syczała na nas, unosząc górną wargę i ukazując poczerwiałe dziąsła. Nie miała na sobie nic oprócz brudnej, wystrzępionej przepaski. Choć niesamowicie brudna, dało się dostrzec, że jej skóra była trupioblada.

– Strzyga – wyszeptał Jared pobielającymi wargami.

Strzyga. Świetnie.

– Jak się z tym walczy? – spytałam głupio, bo nie miałam zielonego pojęcia.

– Najlepiej zaostrzonym kołkiem.

Nagle usłyszałam szelest za plecami. Obróciłam się gwałtownie i ujrzałam kolejną powalającą piękność. Szła w naszym kierunku z moim ostrzem sterczącym między oczami.

Spojrzałam na bezużyteczny sztylet w ręce. Cudownie.

– Skąd weźmiemy kołek?

Moje pytanie pozostało bez odpowiedzi. Zbiliśmy się w ciasną gromadkę, ustawiając się plecami do siebie. Strzygi syczały na nas, obnażając ostre, zakrwawione kły, ale nie podchodziły. Po chwili mnie olśniło.

– Boją się ognia!

To była nasza szansa. Ale ognisko nie mogło płonąć przez całą noc. Zwłaszcza że kilka minut temu Jared wrzucił do niego ostatnie z gałęzi, które przyniósł.

Choć bardzo nie chciałam używać magii przy moich towarzyszach, wszystko wskazywało na to, że będę zmuszona to zrobić. Ale nie bez walki.

– Dobra, plan jest taki – skupiłam na sobie ich uwagę. – Ich jest dwie, nas troje. Ja z Warenem atakujemy, Jared biegnie poszukać kołka.

W milczeniu skinęli głowami.

– Na mój znak. – Rzuciłam okiem na strzygi, które z każdą chwilą zbliżały się coraz bardziej i mocniej ścisnęłam rękojeść sztyletu. – Teraz! – krzyknęłam i rozdzieliliśmy się.

Ja natarłam na strzygę, którą trafiłam wcześniej, Waren zajął się drugą. Jared zniknął w lesie, miałam nadzieję, że nie czekała tam na niego żadna nieprzyjemna, demoniczna niespodzianka w postaci upiornej kobiety.

Moja niespodzianka zamachnęła się na mnie szponiastą ręką. Złapałam ją za nadgarstek i z całej siły wykręciłam do tyłu, aż usłyszałam trzask pękających kości. Zaskrzeczała i rzuciła się na mnie z kłami, które w jednej chwili znalazły się zdecydowanie zbyt blisko mojej szyi. Poczułam bolesne ukłucie i tryskającą krew. Na szczęście nie trafiła w tętnicę. Poczęstowałam ją prawym sierpowym, uśmiechając się, gdy usłyszałam chrupot łamanego nosa. To zawsze był niezawodny sposób. Kiedy wyjął, złapała się obiema rękami za krwawiący nos, uderzyłam sztyletem i rozplątałam jej gardło. Buchnęła śmierdząca jucha, zalewając mi ręce. Odskokczyłam na bezpieczną odległość i patrzyłam, jak chwytą

się za szyję. Myślałam, że to już koniec, ale po chwili krew przestała lecieć, a ona podniosła głowę. Jej oczy jarzyły się teraz czystą czerwienią. Miałam sekundę na reakcję, gdy rzuciła się na mnie z obnażonymi kłami i pazurami. Powaliła mnie na ziemię. Kotłowaliśmy się przez chwilę, ale była o wiele silniejsza. Wytrąciła mi z ręki bezużyteczny sztylet i nagle znalazłam się plecami do ziemi, zupełnie bezbronna. Z błyskiem w czerwonych oczach nachyliła się nade mną, chcąc zatopić kły w mojej szyi. Nie miałam nawet czasu, by myśleć o magii.

Zamiast mnie ugryźć, zaskrzeczała przeraźliwie i stanęła w płomieniach. Przeturlałam się szybko, zrzucając ją z siebie. Z trudem podniosłam się na kolana. Sytuacja Warena też nie była kolorowa. Walczył ze strzygą, ale wyraźnie przegrywał.

– Pomóż mi – wychrypiałam do Jareda, trzymającego w dłoni płonąca gałąź, po czym padłam na ziemię.

Zjawił się chwilę później. Jego jasna głowa zawisła nade mną.

– Nic ci nie jest? – spytał przerażony.

– To nie moja krew – skłamałam, lecząc się w tej samej chwili, gdy to mówiłam.

Odetchnął z ulgą.

– A ty? Pokaż rękę – rozkazałam.

Wyciągnął ją przed siebie, ale o dziwno, nie miał żadnych oparzeń. Najwyraźniej tylko ja ucierpiałam w tym starciu. Podniosłam się z ziemi, niepewnie stając na nogach. Ogarnęłam wzrokiem naszą polankę. Poza dwoma zwęglonymi ciałami i pojękującym Warem, wyglądała jak przedtem.

– Żyjesz? – spytałam go, podchodząc bliżej.

Skinął głową, ściskając mocno ramię.

– To dobrze.

Zużyłam prawie cały nasz zapas wody, by zmyć z siebie zakrzepłą krew. Jared obserwował mnie uważnie, jakby obawiał się, że w każdej chwili mogę jednak paść trupem. Brudne ubrania wrzuciłam do ognia, bo i tak nie dało się ich ocalić. Kiedy już doprowadziłam się do względnego porządku, poczułam, że jestem skonana. Nie marzyłam o niczym innym, tylko wygodnym, ciepłym łóżeczku. Zamiast tego miałam gołą ziemię i stertę koców na pocieszenie.

– Jared, obejmiesz pierwszą wartę?

– Jasne.

– Świetnie, Waren niech weźmie następną, ja będę ostatnia.

Zarejestrowałam jeszcze jego skinienie głową, po czym zasnęłam jak kamień.

ROZDZIAŁ 8

Bolało mnie całe ciało, czułam rwanie w kończynach nawet przez sen. Oczywiście nie przyśniły mi się strzygi, nie dręczyły mnie żadne koszmary, ale sen nie przyniósł wielkiej ulgi. Może gdybym przespała się w wygodnym łóżku, przestałabym być tak obolała. Goła ziemia nie była moją przyjaciółką. Obudziłam się sama i przez chwilę po prostu leżałam, wpatrując się w szarzące niebo. Wtedy spadła na mnie świadomość, że Jared zignorował moje polecenie. Przetarłam oczy i podniosłam się na łokciu. Dojrzałam skuloną przy dogasającym ognisku sylwetkę Warena.

– Co jest? Czemu mnie nie obudziłeś?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Jared powiedział, że odrobiłaś już swoją wartę i że ja mam czuwać do rana. Marszcząc brwi, wyplątałam się z koców.

– Cóż, skoro już wstałam, możesz się jeszcze zdrzemnąć.

Z Jaredem policzę się później – dodałam w myślach.

Waren wzruszył ramionami, wyciągnął się na ziemi i nakrył kocami. Kiedy zaczął oddychać w miarę regularnie, odprężyłam się i otworzyłam na otaczającą mnie magię. Wysłałam proste zaklęcie namierzające. Miałam szczęście, w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów znajdowało się większe źródło. Wyjęłam z torby szczoteczkę i parę innych akcesoriów do mycia. Po namyśle zabrałam też kilka pustych bukłaków na wodę. Wymknęłam się cicho, jak złodziej, by nie obudzić Jareda i Warena. Przez tego pierwszego przespałam niemal całą noc i chciałam dać im jeszcze chwilę.

Odnalazłam strumyk. Był zbyt płytki, bym mogła się w nim zanurzyć. Zrzuciłam ubranie i zaczęłam szorowanie. Paskudny zapach krwi strzygi nadal się na mnie utrzymywał, chciałam pozbyć się go ostatecznie.

Sięgnęłam po bluzkę, gdy usłyszałam trzask. Z zarośli wyłonił się Waren.

– Umyć ci plecy? – zapytał z bezczelnym uśmiechem.

– Podglądałeś? – Skrzyżowałam ręce, wpatrując się w niego ze złością.

– Raczej podziwiałem widoki. Nie musisz się tak zakrywać, nie masz tam nic, czego wcześniej bym nie widział.

– Świetnie. – Olałam to, że patrzy i sięgnęłam po ciuchy. Byłam całkowicie ubrana w przeciągu niecałej minuty.

Waren obserwował moje wysiłki z lekkim uśmieszkiem na twarzy. Nie można mu było odmówić uroku – troszeczkę zaspany, z dwudniowym zarostem i zwichrzonymi włosami wyglądał jak z obrazka. I doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Po co to wszystko, skoro i tak mam zamiar cię rozebrać? – zapytał z nutką

autentycznego zainteresowania.

To mnie rozsierdziło do końca.

– Więc masz taki zamiar? – Mój głos wręcz ociekał jadem i nieskrywaną ironią. – Świetnie, ale obawiam się, że nic z tego. Trafiłeś pod zły adres. Nie zrobią na mnie wrażenia ani twoje powłóczyście spojrzenia, ani twoje pocałunki, a już tym bardziej irytujące komentarze. Myślisz, że jesteś pieprzonym bogiem seksu? Może i matka natura dała ci ładną buzię, ale to wszystko, co się jej udało. Jesteś zwykłym prostytutkiem, Waren. Może twoje końskie zaloty zrobią wrażenie na pierwszej lepszej wieśniaczce, ale nie na mnie! – wykrzyczałam mu prosto w twarz. – Więc zrób nam obojgu przysługę i pozbaw mnie swojego towarzystwa – dodałam już spokojnie.

Przez dłuższą chwilę tylko stał i mierzył mnie wzrokiem. Ewidentnie zraniłam jego męską dumę. Nie wiedziałam, czy szukał odpowiednio ciętej riposty, czy zastanawiał się nad swoimi szansami. W końcu widząc moją zaciętą, pełną pogardy minę, musiał dojść do oczywistego wniosku, że jego koń miałby większe szanse od niego.

– Nie żebym stracił wiele. Nawet nie masz czym oddychać – rzucił w kierunku mojego biustu, odwrócił się napięcie i odszedł.

Jeśli to było wszystko, na co go stać, miałam całkowitą rację, mówiąc, że jedyne, co się w nim udało, to ładna buzia. Elokwencji za grosz. Zebrałam manatki i chwilę później ruszyłam za nim.

Tym razem przygotowałam śniadanie tylko dla dwóch osób. Gdy było gotowe, obudziłam Jareda.

– Już nie śpisz? – zapytał, patrząc na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

– Tak, i bynajmniej nie dzięki tobie.

Nawet nie zrobił skruszonej miny. Tak nie mogło być. Musiałam odbyć z nim poważną rozmowę. Ale to później.

– Jeszcze tu jesteś? – rzuciłam w stronę Warena. – Nie wyraziłam się jasno?

– Wystarczająco jasno, żeby mnie oślepić – pozwolił sobie na małą złośliwość. – Nie ma sensu, żebyśmy rozstawali się już teraz. Jadąc we troje, nie musimy się obawiać żadnych rozbójników. Rozdzielimy się w najbliższej wsi.

Jared śledził nas wzrokiem, spoglądając to na jedno, to na drugie.

– Coś mnie ominęło?

– Jedz. – Podałam mu miskę.

Atmosfera była wyjątkowo nieprzyjemna. Biedny Jared, nie wiedział, co między nami zaszło, ale mądrze postanowił się nie odzywać. W pełnej napięcia ciszy zebraliśmy się i ruszyliśmy w drogę.

Jechałam na samym przedzie, narzucając zabójcze tempo wędrowki. Waren taktownie podążał kilkanaście metrów za mną. Zdezorientowany Jared znajdował się w środku. W końcu, po kilku godzinach jazdy w milczeniu, zrównał ze mną

swojego konia.

– Alice?

Nie odpowiedziałam, bo byłam zbyt zajęta wymyślaniem miłej, pożegnalnej niespodzianki dla Warena.

– Alice? – powtórzył nieco głośniej.

Potrząsnęłam głową i spojrzałam w jego stronę.

– Co jest?

– Jesteś zła, bo cię nie obudziłem? Ja tylko... – zawahał się – ...po walce ze strzygą byłaś wykończona, chciałem, byś chociaż wyspała się porządnie.

Groźnie zmarszczyłam brwi.

– Pamiętasz, jak brzmiała pierwsza, najważniejsza zasada? – zapytałam surowo.

– Jeżeli coś powiesz, mam traktować to jako jedyną świętość – odparł, nie patrząc mi w oczy.

– Cieszę się, że zapamiętałeś. Jakbyś jeszcze nie zapominał się do niej stosować, byłoby świetnie!

– Chciałem dobrze. – Nadal nie widziałam skruchy na jego twarzy.

– Jeśli to się powtórzy, spotka cię taki sam los jak Warena – zagroziłam.

– Właśnie, co jest nie tak między waszą dwójką? – Złamał kolejną zasadę: żadnych pytań. Tym razem postanowiłam jednak zrobić wyjątek i odpowiedziałam:

– Wszystko w jak najlepszym porządku. Postanowiliśmy, że nasza wspólna podróż musi dobiec końca, to tyle. – Uśmiechnęłam się niczym sfinks i nachyliłam nad Jaredem. – Ale podróżowało nam się tak wspaniale, że na koniec zrobię mu niespodziankę – wyszeptałam nad jego uchem. – Mogę liczyć na twoją dyskrecję?

– Jasne – zapewnił. Przez chwilę jechaliśmy obok siebie w milczeniu, ale ciekawość okazała się silniejsza. – Jaką niespodziankę?

– Och, przekonasz się. Kiedy już zobaczysz, będziesz wiedział. – Po tych słowach spięłam piętami boki Night i zostawiłam Jareda w tyle.

Według moich obliczeń przed wieczorem powinniśmy dotrzeć do wioski, którą ktoś oznaczył na mapie nazwą Zbutwiały Pień. Miałam szczerą nadzieję, że łóżka w tamtejszej gospodzie nie będą zbutwiałe.

Od kilku godzin rozmyślałam nad pożegnalną niespodzianką dla Warena. Biorąc pod uwagę wszystkie opcje, zdecydowałam się na użycie magii. Nie wiedziałam o nim zbyt wiele oprócz tego, że najwyraźniej był miejscowym playboyem i miał zamiłowanie do dużych biustów. Tak naprawdę nie miałam pojęcia, w jakim celu wędrował po Elegestii, znałam tylko kierunek jego wędrowki, który dziwnym trafem pokrywał się z moim. W związku z tym, musiałam załatwić go tak, by osiadł w Zbutwiałym Pniu na dłużej, żeby czasem

nie natknęła się na niego na trakcie. Idealny do tego celu był... urok miłosny.

Miałam dość bogate doświadczenie w tym temacie. Znałam doskonale zarówno zaklęcia, jak i różnego rodzaju napoje. Lata spędzone w Akademii Magii w końcu miały mi się na coś przydać. Jako że nie miałam pod ręką żadnych ksiąg magicznych z wyrafinowanymi zaklęciami ani odpowiednich składników do sporządzenia wywaru, zdecydowałam się na najprostszy wariant. Zanim odeszłam z Akademii, pozostawiłam wiele ukrytych między kartami ksiąg zaklęć. Wystarczyło, by jakiś nieszczęśnik otworzył ją później, by aktywowały się samoistnie, padając na pierwszą z brzegu osobę. W tym wypadku musiałam po prostu włożyć więcej serca w przygotowanie obiadu dla Warena. Biorąc pod uwagę całą tę magię, która wręcz unosiła się w powietrzu, zwykłe zaklęcie powinno podziałać równie silnie, jak urok miłosny.

Wiedziałam już, jak zabrać się do rzeczy. Teraz potrzebowałam tylko pomyśleć nad słowami zaklęcia. Nie chciałam przecież, by Waren stracił głowę dla nieśmiałej i skromnej, aczkolwiek niebrzydkiej wieśniaczki. O nie, to byłoby zbyt proste.

– Postój – zarządziłam, tym razem wcześniej niż zwykle. Byłam odrobinę podekscytowana i może zbyt radosna, biorąc pod uwagę poranną potyczkę z Warenem, jak i wczorajszą ze strzygami. Wydawać by się mogło, że powinnam mieć grobową minę, tymczasem tryskałam dobrym humorem.

– Nie wiem, co to za niespodzianka – powiedział Jared konfidencyjnym tonem, gdy był pewien, że Waren nie usłyszy – ale najwyraźniej wprawiła cię w doskonały nastrój.

Poklepałam go po ramieniu.

– Ciebie też wprawi, cierpliwości.

Nucąc pod nosem, zabrałam się do przyrządzania obiadu. Nad zupką dla Warena zatrzymałam się na dłużej. Zamknęłam oczy i skupiłam się, szepcząc odpowiednie słowa. Gdy skończyłam, otworzyłam oczy. Zawartość miski Warena wyglądała całkiem zwyczajnie, gdybym sama przed chwilą przy niej nie majstrowała, w życiu bym się nie domyśliła, że jest zaczarowana.

Waren rozsiadł swojego konia i teraz patrzył na mnie z przeciwnego końca polanki. Pewnie zastanawiał się, czy robiłam trzy posiłki, żeby się z nim podrażnić, czy jeden rzeczywiście był na niego.

– Będiesz tak stał jak widły w gnoju? – rzuciłam do niego. – Siadaj i jedz.

Spojrzał na mnie nieufnie, ale usiadł tuż obok. Widząc jego wahanie, czułam się zobowiązana dodać:

– Potraktuj to jako prezent pożegnalny.

Uspokojony moimi słowami, zabrał się do jedzenia. Przez chwilę

obserwowałam go z uśmiechem, jednak gdy pochwycił moje spojrzenie, odwróciłam wzrok i sama zabrałam się do jedzenia. Jared dołączył do nas chwilę później.

Po posiłku nie pozwoliłam im długo odpoczywać.

– Chcę dotrzeć do wioski przed zachodem słońca.

– Zdamy, nie martw się – uspokoił mnie Waren. – To już niedaleko.

Mimo tego kazałam im się zbierać i wróciliśmy na trakt. Narzuciłam całkiem szybkie tempo. Chciałam zobaczyć działanie mojego zaklęcia w świetle dnia.

Drzewa stopniowo się przeredzały. Krajobraz z leśnego przechodził w pagórkowaty. Wspięliśmy się na wyższy niż inne, porośnięty zieloną trawą pagórek i ujrzałam to, na co czekałam. Położona w dolinie wioska była niewielka, z daleka mogłam wyróżnić budynek, który był tawerną. Choć Zbutwiały Pień nie wyglądał tak tragicznie, jak dwie pierwsze wioski, przez które przejeżdżałam, nadal daleko było mu do tej, w której mieszkała Evelin.

Mało brakło, a zatarłabym ręce z zadowolenia. Naprawdę, tęskniłam za tym. Odkąd wyrzucili mnie z Akademii, nie dość, że miałam ograniczony kontakt z magią, tak naprawdę nie miałam komu robić złośliwych niespodzianek. Dobrze zadbałam o swoją prywatność, tak że sąsiedzi nawet się do mnie nie zbliżali. Tom był moim pracodawcą, zdrowy rozsądek podpowiadał, że zrobienie mu kawału mogłoby skończyć się niezbyt wesoło. Ludzie, których spotykałam, byli jedynie statystami, nie chciało mi się nawet zwracać nimi głowy. A teraz trafiła mi się doskonała okazja. Czekałam na nią od lat, choć nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Oczywiście nie mogłam powiedzieć, że przez te kilka lat, kiedy mieszkałam sama, nie robiłam nikomu żadnego dowcipu, to byłoby dużym niedopowiedzeniem. Nie robiłam jednak nic na miarę epicką, jak to bywało za czasów, gdy uczyłam się w Akademii. Po raz pierwszy doceniłam pobyt w Elegestii. Mało tego – zaczynało mi się tu podobać.

Trakt zmienił się w szeroką drogę poznaną wieloma dziurami, w które co i rusz wpadały koła furmanek. Wieśniacy klęli, okładali batami swoje konie, krzyczeli na parobków, by za kilka metrów wpaść w kolejną dziurę. Na nas oczywiście spoglądali nieprzychylnie. Dawno przestałam zwracać sobie głowę ich krzywymi spojrzeniami. Kogo obchodziło, co myślą zapyziali wieśniacy, którzy nie mieli bladego pojęcia zarówno o technice, jak i choćby literaturze czy sztuce?

Skanowałam wzrokiem każdą napotkaną na drodze kobietę, szukając tej właściwej. Dojechaliśmy już prawie do wioski, a ja ciągle nie mogłam wypatrzyć odpowiedniej. Miałam już machnąć ręką na szczegóły, ale na szczęście wstrzymałam się i kilka chwil później zobaczyłam babę, która była strzałem w dziesiątkę. Nie mogłabym wymarzyć sobie lepszej.

Na oko wyglądała na jakieś czterdzieści lat, choć jej twarz była zniszczona od pracy i zapewne nie osiągnęła jeszcze tego wieku. Na głowie miała chustę, spod której wystawało kilka szarych, niechlujnych kosmyków. Jej twarz nie miała w sobie nic pięknego – zbyt szerokie, mięsiste usta, nos wykwitający pośrodku niczym kartofel, z niewielką brodawką porośniętą krótkimi, sztywnymi włosami; małe, kaprawe oczka. Do tego liczne, głębokie zmarszczki, które nadawały jej twarzy surowy wyraz, nie dodając jej przy tym nic z mądrości i godności, którą mogli poszczycić się sędziwi ludzie. Najpewniej była zwyczajną chłopką, która przepracowała całe swoje życie, nie dokonując w jego trakcie nic godnego uwagi, jeśli nie liczyć spłodzenia kilku, jak nie kilkunastu bachorów.

Na nogach miała sięgające połowy łydki gumiaki. Nie wiedziałam, jak określić jej strój. Były to zwyczajne łachmany, przewiązane w pasie konopnym sznurkiem. W rękach dzierżyła olbrzymie baniaki, które, sądząc po jej ciężkich, powolnych krokach, musiały ważyć tonę. Tym, co wyróżniało ją z tłumu, był monstrualnych rozmiarów biust. Spokojnie mogła nim udusić mężczyznę. Najwyraźniej w tej wiosce nie znali jeszcze biustonoszy, bo piersi wisały jej smętnie niczym dwa do połowy opróżnione balony, zlewając się w jedno z jej równie wielkim i sflaczałym brzuchem.

– Waren – rzuciłam lekko, z całej siły próbując powstrzymać wypływający na moje usta uśmiech. – Pomóż pani. – Wskazałam na uginającą się pod ciężarem baniaków babę.

Spojrzał na mnie, jakbym była nienormalna. Przytrzymałam jego spojrzenie i powtórzyłam jeszcze raz, wkładając w swój głos więcej mocy i... nie oszukujmy się, magii.

– Pomóż pani. – Tym razem to nie była rzucona lekko sugestia. To był rozkaz, któremu nie mógł i nie potrafił się sprzeciwić.

Zacisnął zęby, ale zeskoczył z konia i podszedł do baby.

– Pomóc pani? – zapytał z całą uprzejmością, na jaką było go stać.

Zatrzymałam Night, Jared zrobił to samo ze swoim kasztankiem. Rozsiadłam się wygodnie w siodle, brakowało mi tylko popcornu. Jared rzucił mi pytające spojrzenie, na które odpowiedziałam uśmiechem, ukazującym mnóstwo zębów.

– Po prostu patrz.

Baba zatrzymała się i postawiła ciężkie baniaki na ziemi. Gapiała się na Warena tępym wzrokiem, zupełnie jakby nie rozumiała pytania. Zresztą nic dziwnego. Nie sądziłam, by przez całe swoje życie choć raz opuściła Zbutwiały Pień, a chociaż syn kowala czy sam kowal mógł dorównywać posturą Warenowi, byłam gotowa założyć się o swoje niezarobione jeszcze sto tysięcy, że wieśniaczka w życiu nie widziała kogoś, kto dorównywałby mu urodą.

Nie miała przy sobie nic cennego, musiała więc uznać, że zwyczajnie robi sobie z niej żarty, choć pewnie nie miała pojęcia dlaczego.

– Panie, idź pan. – Głos pasował do niej idealnie. Rozlazły, gderliwy – ni mniej ni więcej taki, którym przemawiają stare, styrane życiem wieśniaczki.

Czar zaczynał działać i Waren, choć pewnie by chciał, nie mógł się już wycofać. Obdarzył ją uśmiechem, od którego zapewne zmiękły jej nogi w kolanach. Choć może i nie – nigdy nie wiadomo, jak to jest z takimi babami. Niewiele w życiu widziały, ale swój rozum mają. Ta zdecydowanie nie wyglądała, jakby zaraz miała rzucić mu się do stóp.

Tym lepiej.

– Niech pani pozwoli. – Pochwycił jej dłoń w szarmanckim geście i ucałował z namaszczeniem, nie zwracając uwagi na to, że była brudna. – Naprawdę chciałbym pomóc.

– Czy on się w międzyczasie uderzył w głowę? – Usłyszałam nagle głos Jareda.

– Cii... – uciszyłam go. – Słuchaj.

Baba spojrzała na niego, jakby podzielała obawy Jareda.

– Puszczaj pan. – Wyrwała rękę z uścisku i chciała go wyminąć, ten jednak zastąpił jej drogę.

– Ależ nalegam, moja piękna. – Czar musiał się już w pełni aktywować, skoro zaczynał sypać komplementami.

Baba znalazła się w nieciekawym położeniu. Nie mogła iść dalej, bo Waren zagradzał jej drogę, a widać było, że miała ochotę zapaść się pod ziemię. Ludzie zaczęli przystawać i obserwować tę niecodzienną scenę. Bo oto mężczyzna niewątpliwie wyższego niż oni pochodzenia, najpewniej wojownik, sądząc po jego stroju i rumaku, zaczepia zwykłą, a wręcz jedną z brzydszych bab we wsi i mówi do niej „moja piękna”. To musiało być dla nich coś w rodzaju kina.

Nagle chwycił w dłonie jej pomarszczoną twarz i wycisnął soczysty pocałunek na grubych wargach. Ludzie zaszemrali, Jared o mało nie spadł z konia. Złapałam go za bluzę i z powrotem usadziłam w siodle.

Nie wiem, czy wsadził jej język do gardła, ale kiedy w końcu się odsunął, twarz baby była szkarłatna.

– Panie, co ja chłopu powiem?

– O nic się nie martw, moja droga. – W oczach Warena błyszczało pożądanie. – Uciekniemy razem.

Chwycił ją i chciał posadzić na koniu, ale jej olbrzymie cielsko to było zbyt wiele, nawet dla Blacka.

– Szalonyś? – Głos baby przeszedł w pisk, a wśród gawiedzi dało się słyszeć oburzone pomruki. Moje wyczulone uszy wychwyciły takie zduszone okrzyki jak „Ki diabeł?!”, „Co za lichy?”.

Waren padł na kolana. Chwycił grubą, brudną dłoń swej wybranki i przyłożył sobie do serca.

– Błagam, piękna, ucieknij ze mną. Moje życie bez ciebie u mego boku nie będzie miało sensu. Zabiję twojego męża, jeśli stanie nam na drodze do szczęścia!

Tym razem nie zdążyłam złapać Jareda. Zsunął się z kasztanka i padł twarzą w piaszczystą glebę, wzbijając tumany kurzy. Nikt oprócz mnie zdawał się tego nie zauważyć, wszyscy byli zbyt zajęci obserwowaniem Warena.

Baba stała, zapewne nie miała pojęcia, co powiedzieć. Waren najwyraźniej odkrył w sobie talent krasomówczy, bo wykorzystując jej milczenie wypuszczał potoki słów ze swoich ust.

– Wiem, że nie jestem księciem na białym koniu, o jakim mogłabyś marzyć. Black jest... cóż, czarny. Podobnie, jak było me serce, nim ujrzałem ciebie. Jesteś światłem mojego życia i choć wiem, że proszę o wiele, będę nieustępliwy. Ucieknij ze mną! Razem odnajdziemy szczęście w rozległych lasach Elegestii. Będę się tobą opiekował jak należy, obiecuję, że nigdy nie zabraknie ci niczego. Dla ciebie, pani, zdobędę najpiękniejsze klejnoty tej krainy.

Umilkł na chwilę, najwyraźniej skończyło mu się powietrze. Baba uczyniła gest mający zdaje się chronić ją przed złymi duchami i krzyknęła wysokim głosem:

– Odejdź, demonie!

Wyrwała dłoń i chciała uciec, skryć się wśród tłumu, ale ludzie ustępowali jej z drogi, patrząc na nią jakby rzeczywiście przed chwilą dotykał jej demon. Baba rzuciła się biegiem w stronę lasu. Na swoich krótkich, grubych nogach poruszała się żałośnie wolno. W dodatku jej monstrualny biust kołysał się komicznie, utrudniając jej ruchy.

Waren zerwał się z klęczek i pognął za nią, odprowadzany spojrzeniami wieśniaków.

Jared tymczasem podniósł się z ziemi, otrzepał ubranie i zasiadł na grzbiecie swojego kasztanka.

– To było... – przez moment szukał odpowiedniego słowa – mocne.

Uśmiechnęłam się skromnie.

– Dość mocne.

– To twoja niespodzianka?

Rozłożyłam ręce w niewinnym geście.

– Ja tylko pomogłam mu odnaleźć swoją wybraną. Wiedziałam, że będą do siebie pasowali.

– Uhm. Wiesz – powiedział po długiej chwili – powinnaś raczej nazywać się Malice.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Prawdę mówiąc, niektórzy tak na mnie mówią. – Postanowiłam uchylić mu rąbka tajemnicy.

– Ja też mogę?

Skoro sam do tego doszedł, coś musiało w tym być. Nie ujawniłam mu

swojego imienia – sam je odkrył.

– Możesz. – Posłałam mu uśmiech. – A teraz ruszajmy do gospody. Nie wiem jak ty, ale ja zgłodniałam.

Nie musiałam powtarzać dwa razy.

Podjechaliśmy pod jednopiętrowy budynek z podmurówką z kamieni. Zeskoczyłam z Night i zaczęłam chłopaczka, który był odpowiedzialny za konie.

– Zaprowadź je do stajni – wskazałam na moją czarną klacz i kasztanka Jareda. – I jeśli chcesz zachować wszystkie zęby, radziłabym nie robić żadnych głupich numerów. Jak ona ci ich nie wybije – poklepałam Night po lśniącej sierści – ja to zrobię.

Czułam się zobowiązana uprzedzić. Stajenny gorliwie pokiwał głową na znak, że przyjął do wiadomości moje ostrzeżenie. Skinęłam na Jareda i ruszyliśmy w stronę gospody. Nad wejściem wisiał drewniany szyld z napisem, którego nie potrafiłam rozszyfrować.

– Gospoda pod czym?

Jared przechylił głowę, przyglądając się uważnie tabliczce.

– Coś jakby pijanym żurawiem.

– Pijany to był ten, kto to pisał.

– Najpewniej. – Błysnął zębami w uśmiechu i otworzył przede mną drzwi.

Buchnęło na nas rozgrzane powietrze, pachnące jedzeniem i mnóstwem niemytych ciał, stłoczonych w jednej sali. Standardowy zapach w tawernach Elegestii.

Rozejrzałam się, szukając wolnego stolika. Jak na złość, wszystkie były zajęte. Przez chwilę skanowałam wzrokiem męskie twarze, aż znalazłam odpowiednią. Podeszłam do chudego osobnika, w samotności sączącego piwo z wielkiego kufła. Był prawie pusty, więc wyrwałam mu go z ręki i przechyliłam w dół. Kiedy reszta piwa chlapnęła na podłogę, z hukiem odstawiłam kufel na stół.

– Myślę, że wypiełeś już wystarczającą ilość. Zwolnij stolik.

Popatrzył na mnie załzawionymi oczami. Nie pierwszy raz dzisiejszego dnia uraziłam męską dumę. Zrobiłam najgroźniejszą minę, na jaką było mnie stać, ostentacyjnie kładąc dłoń na wyeksponowanym sztylcie.

– Wystarczyło poprosić – powiedział i posłusznie ulotnił się, zostawiając nam pusty stół.

– Właśnie, Malice, wystarczyło poprosić. – Jared uśmiechał się krzywo, gdy to mówił.

– Chcesz jeść w stajni?

Miałam ochotę krzyknąć głośno „kelner!”, ale nie wiedziałam, czy w Elegestii też się tak robi. Siedziałam niecierpliwie, stukając palcami o stół.

W końcu zjawiała się gruba, niezbyt urodna dziewczyna i zapytała, czego sobie życzymy. Jared zamówił tyle jedzenia, że kiedy odeszła, musiałam się odezwać:

– Ty za to płacisz.

Wzruszył ramionami.

– Jasne.

Jego lekceważący ton przyprawił mnie o uczucie *deja vu*. Czułam się, jakbym była na randce z bogatym snobem, który usiłuje zaszpanować przede mną pieniędzmi. Zaraz też zaczęłam się zastanawiać, skąd wziął całą tę kasę. Ludzie w Elegestii nie należeli do najbogatszych. Przeciwnie – patrząc na siedzących w tawernie mężczyzn, bez trudu mogłam orzec, że ledwo przędli. Postanowiłam przy najbliższej okazji przepytac Jareda. W końcu musiałam wiedzieć, z kim podróżuję. Rozkazałam mu o nic nie pytać, ale przecież on też nic mi o sobie nie powiedział. Na podstawie jego bredzenia w malignie ułożyłam sobie historyjkę, której właściwie nie zweryfikowałam.

W momencie, gdy otworzyłam usta, by zadać pytanie, pojawiło się jedzenie. Oboje byliśmy głodni, więc zabraliśmy się do jedzenia, nie przerywając sobie pogawędkami. Choć Jared zamówił sobie dwa razy więcej, skończył przede mną i jeszcze miał czelność patrzeć głodnym wzrokiem na moją porcję.

– Co jest z tobą nie tak? – Pokręciłam głową. – Masz dziurawy żołądek?

Chyba należał do tych z szybką przemianą materii. Gdybym jadła tyle co on, nie mieściłabym się w drzwiach.

– Po prostu mam dobry apetyt. W przeciwieństwie do ciebie.

– A to niby co miało znaczyć? – Odłożyłam widelec.

– Ty właściwie nic nie jesz.

– A co to było? – Wskazałam na opróżnione talerze.

– To była racja głodowa.

Czułam, że zaraz przestanę być taka spokojna. Wiele mi można było zarzucić, ale nie brak apetytu. Zawsze lubiłam sobie dobrze pojeść, a to, co zjadłam przed chwilą, bynajmniej nie było racją głodową. Chyba, że uznać by za takową trzydaniową kolację. Nie wiedziałam, jaki problem miał Jared, ale bez wątpienia to on go miał, nie ja. Może wszyscy młodzieńcy w tej krainie mieli żołądki bez dna? Ciężko było mi to stwierdzić, skoro do tej pory poznałam żywieniowe zwyczaje zaledwie jednego z nich.

Wycelowałam w niego widelcem.

– Powiedz jeszcze słowo, a spisz w stajni.

Jared wykonał całą pantomimę, sznurując sobie usta i wyrzucając za siebie niewidzialny kluczyk. Przewróciłam oczami i wstałam od stołu, kierując się w stronę baru.

– Dwa pokoje na tę noc – rzuciłam, nie bawiąc się w uprzejmości.

Nerwowy facecik, który stał przy ladzie, czyszcząc szklanki, odłożył ścierkę.

– Obawiam się, że został nam tylko jeden wolny.

– Biorę.

Targowaliśmy się kilka chwil, ale jako że Jared miał płacić, nie wkładałam w to wiele serca. Gdybym musiała zapłacić z własnej sakiewki, stanęlibyśmy na dwukrotnie niższej cenie. W końcu podał mi klucz. Kazałam Jaredowi zanieść nasze torby do pokoju, a sama poszłam sprawdzić, jak się ma Night.

Na zewnątrz było już ciemno, ale kierując się cichym rzeniem koni, trafiłam do stajni bez problemu. W środku było kilka zabezpieczonych szklanymi kloszami lamp, które rozświetlały ciemność. Usłyszałam cichy okrzyk i wiedziałam, że powinnam pójść właśnie w tamtą stronę, by znaleźć Night. Nie pomyliłam się. Moja klacz znokautowała właśnie stajennego. Gdy mnie zauważył, spojrzał na mnie ze łzami w oczach.

– Nie pozwoliła mi się nawet rozsiodłać.

Popatrzyłam na nią z uznaniem. Zdecydowanie musiałam pomyśleć o przerobieniu szopy na stajnię po powrocie do domu.

– Ja się nią zajmę.

Sama rozsiodłałam i nakarmiłam Night. Kasztanek nie był tak waleczny i już dawno został odpowiednio opatrzony.

– Miej na niego oko. – Wskazałam rumaka Jareda.

Nie martwiłam się o Night. Jeśli jakiś złodziej by ją sobie upatrzył, miałby pecha. Kasztanek natomiast był łatwym celem. Dałam jej jeszcze przemyconą kostkę cukru i wróciłam do gospody.

Facet zza baru rozmawiał właśnie z potężnie wyglądającym mężczyzną i wskazał na mnie ręką, gdy weszłam. Tamten ruszył w moją stronę, stawiając wielkie, ciężkie kroki. Nagle gwar ucichł, wszystkie spojrzenia skierowały się w naszą stronę.

Zatrzymał się przede mną – dwa metry wzrostu i pewnie ze sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi.

– Słyszałem, że zajęłaś ostatni pokój. – To nie było pytanie, ale mimo wszystko odpowiedziałam.

– Owszem.

Mierzył mnie wzrokiem, jakby oczekiwał, że dodam coś jeszcze.

– Mnie będzie potrzebny bardziej – powiedział w końcu, nachylając się nade mną w sposób sugerujący, że chciał mnie zastraszyć.

Zaplotłam ręce na piersi.

– Nie sędzę.

Facet westchnął głęboko, aż zafalowały jego krzaczaste wąsy.

– Naprawdę, wołałem tego uniknąć – powiedział, po czym zamierzył się na mnie pięścią.

Sądził chyba, że będę stała i czekała na cios, bo zrobił komicznie zdumiona

minę, gdy jego pięść trafiła w powietrze.

Stałam po jego lewej, więc nie mogłam się opanować i poklepałam go po prawym ramieniu. Kiedy odwrócił twarz w prawo, rąbnęłam go w nos. Rozczarowana zmarszczyłam brwi, gdy nie usłyszałam chrupotu łamanych kości. Musiał mieć twardą czaszkę. Zamiast tego poleciała krew, zalewając mu brodę i wąsy.

Ryknął jak rozwścieczony niedźwiedź i ruszył prosto na mnie. Uskoczyłam na jedną z ław, zrzucając przy okazji talerze, które roztrzaskały się na podłodze. Mój przeciwnik chwycił za krawędź ławy i uniósł ją do góry. Zgrabnie wyładowałam na podłodze i, pomagając sobie trochę magią, pchnęłam ciężką ławę na niego. Zacharzał, cały czerwony na twarzy, po czym odsunął się, splunął czerwoną od krwi śliną i wycodził przez zaciśnięte zęby:

– Zapłacisz mi za to.

Brzmiał jak żywcem wyjęty z kiepskiego filmu sensacyjnego.

Wyrwał komuś z ręki olbrzymi kufel i, zamachnąwszy się, rzucił w moją stronę. Wtedy jak myślę rozpętało się piekło. Nasza potyczka przerodziła się w regularną bijatykę.

– Jared! – krzyknęłam najgłośniej jak potrafiłam.

Nie mogłam stać beczynnie, z niemalą przyjemnością wdałam się w bójkę. Gospodarz krzyczał, żebyśmy przestali, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. W powietrzu latały nie tylko kufle i talerze – co bardziej krzepcy chwyтали za krzesła, a nawet ławy.

Poczułam na ramieniu czyjąś dłoń. Odwróciłam się, by uderzyć jej właściciela, ale to był tylko Jared. Po schodach uciekliśmy na piętro.

– Jak to się zaczęło?

– Ktoś chciał zająć nasz pokój.

Jared spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Ty to wywołałaś?

Wzruszyłam skromnie ramionami.

– Zablokuj drzwi – poleciłam, gdy znaleźliśmy się w pokoju.

Razem zastawiliśmy je ciężką komodą. Zmęczona opadłam na łóżko.

– Śpisz na podłodze, wiesz o tym?

Jared wskazał na posłanie, które zrobił sobie z koców. Mądry chłopak.

– Będziemy musieli wymknąć się chyłkiem przed świtem. Coś mi mówi, że właściciel nie wypuści nas tak łatwo.

– O ile nie zabiją nas w nocy.

– Myślisz, że się odważą? – spytałam lekceważącym tonem.

– Zależy, ile wypiją.

– Obudzą nas, jeśli będą próbowali tu wejść, nie martw się.

Choć nie powiedziałam tego na głos, nałożyłam zaklęcie na drzwi, komoda

była tylko *pro forma*. Nikt nie będzie przerywał nam snu.

Zanim weszłam do łóżka, sięgnęłam do torby i jak co wieczór wyciągnęłam szkatułkę, która przekazał mi Tom. Chciałam upewnić się, że nadal znajduje się na swoim miejscu, ale miałam też nadzieję, że obracanie jej w dłoniach w jakiś sposób przybliży mnie do odkrycia, co skrywa.

Zauważyłam pytający wzrok Jareda. Wyraźnie miał ochotę zadać jakieś pytanie, ale spojrzałam na niego ostrzegawczo. Zasada numer trzy brzmiała: żadnych pytań. Nie wiedziałam, czy powstrzymało go właśnie to, czy wszechogarniające zmęczenie, w każdym razie ułożył się wygodnie i nie odezwał już więcej. Chwilę później poszłam jego śladem i po kilku minutach oboje spaliśmy jak zabici.

ROZDZIAŁ 9

Po tym jak udało nam się zbiec z gospody bez wzbudzania większego zainteresowania, z powrotem wróciliśmy na trakt. Pokonywaliśmy kolejne kilometry, mijając nieskończone połacie pól, a potem łąk. Mówiłam już, że krajobraz Elegestii był monotony? Nie wiedziałam, co hodowali mieszkańcy Elegestii. Niskie, karłowate krzaki przywodziły mi na myśl ziemniaki, ale ręki bym sobie uciąć nie dała, ba, bałabym się nawet o jednego palca.

Dzisiejszego dnia wstałam z mocnym postanowieniem przepytania Jareda. Jak już zaczęłam się zastanawiać, kim naprawdę jest i co zamierza, wiedziałam, że moja ciekawość nie zostanie zaspokojona, dopóki nie poznam odpowiedzi. Nagle zaczął doskwierać mi fakt, że poza imieniem swojego towarzysza podróży i kilkoma rzeczami, które sama zdążyłam zaobserwować, nic o nim nie wiedziałam. Nigdy nie należałam do ludzi, którzy z zapamiętaniem śledzili życiorysy swoich sąsiadów, przeciwnie – szczegóły z życia innych osób interesowały mnie tak niewiele, jak to tylko możliwe, ale sprawa z Jaredem była inna. Podróżowaliśmy razem, powinnam więc wiedzieć o nim co nieco. Przynajmniej tak sobie tłumaczyłam moją ciekawość. Postanowiłam podejść go przy jedzeniu. Wtedy był najbardziej bezbronny.

Nie miałam zbyt wielkiego pola do popisu, zalewając zupki wrzącą wodą, mimo wszystko starałam się bardziej niż zwykle. Jared jak zwykle zajadał z apetytem.

– Wiesz, tak się zastanawiałam – zaczęłam ostrożnie – twoi rodzice muszą chyba być zmartwieni...

Jared rzucił mi czujne spojrzenie znad krawędzi miski.

– Dlaczego?

– Tak po prostu sobie zniknąłeś na dłuższy czas... a może wytłumaczyłeś im, gdzie się wybierasz?

Uch, subtelność nigdy nie była moją mocną stroną.

– Właściwie to nie.

– Aha. Więc nie będą cię szukać? – zadałam kolejne pytanie.

Wtedy chyba zorientował się, że to coś więcej niż zwykła pogawędka, bo odłożył miskę i przyjął obronną pozę.

– Czemu pytasz?

Wzruszyłam ramionami, starając się wyglądać możliwie nonszalancko.

– Z ciekawości. Bo wiesz, jeśli zjawią się tu nagle twoi rodzice i będą mieli ochotę na mnie nawrzeszczyć, to ja się na coś takiego nie piszę – tłumaczyłam mętnie.

– Nie martw się. Nie zjawią się – zapewnił solennie.

– Skoro tak mówisz.

Umilkłam na chwilę, czekając, aż znowu zaczniesz jeść. Wtedy zaatakowałam ponownie.

– A te pieniądze? Nie wmówisz mi, że sam je zarobiłeś.

– No dobra, Malice, nie wiem, o co ci chodzi. Nagle zaczęli cię interesować moi rodzice i to, skąd mam pieniądze? Nie wystarczy, że po prostu je mam i mogę nimi płacić? Nie wystarczy ci, że jestem tutaj i spełniam twoje polecenia?

– Próbuję być odpowiedzialna – naburmuszyłam się.

– Niepotrzebnie. Zresztą, bądźmy szczerzy – ty i odpowiedzialność zupełnie do siebie nie pasujecie.

Tu mnie miał.

– Nie było tematu. – Machnęłam ręką. – Jedz dalej.

Zabrał się za jedzenie, a ja uświadomiłam sobie, że właśnie zostałam zbyt i to przez nastolatka. Nie wiedziałam, czy to ja stawałam się miękka, czy obcowanie ze mną sprawiało, że Jared stawał się twardszy.

Przyjrzałam mu się uważniej. Był równie wysoki i pozbawiony tkanki mięśniowej jak wtedy, gdy go uratowałam, ale coś zmieniło się w jego postawie. Siedział wyprostowany, nie kulił się już w sobie. Wydawał się pewniejszy siebie – zresztą, co ja mówię – był pewniejszy siebie, przed chwilą to zaprezentował. Nie wiedziałam, czy się cieszyć, czy zdenerwować. Z jednej strony wołałam, gdy potulnie i bez szemrania spełniał wszystkie moje polecenia, ale z drugiej... nikt nie lubi pantoflarzy, a już w szczególności ja.

Kontynuowaliśmy naszą wędrówkę i po raz pierwszy, odkąd znalazłam się w Elegestii, zaczęło padać. Nie ulewnie, to był zaledwie niewielki deszczyk, ale wystarczył, by trakt stał się grząski i błotnisty. Założyłam płaszcz, który dostałam od Toma. Jadąc na koniu zakapturzona, czułam się w pewnym sensie anonimowa.

Już myślałam, że ten dzień upłynie nam miło i spokojnie – pokonamy kilkadziesiąt kilometrów bez niepotrzebnych przygód, które by nas spowolniły, ale oczywiście to były tylko moje płonne marzenia. Cały wszechświat sprzyślał się przeciwko mnie, bym tkwiła w Elegestii najdłużej, jak się da.

Night truchtała sobie spokojnie, sukcesywnie pokonując kolejne kilometry i w ogóle nie zwracając uwagi na grząski grunt pod kopytami, zupełnie jakby szła po idealnie prostej, twardej powierzchni. Wtedy na drodze przed nami wyrosło dwóch obszarpanych wieśniaków, których ubrania zdecydowanie miały lepsze czasy za sobą. Oprócz tego byli zarośnięci i tak brudni, że nawet niewielki deszczyk, który uparcie siąpił, nie był w stanie im pomóc. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że nieśli ze sobą worek. Nadal nie zwróciłam na nich uwagi, ale worek szamotał się, przeklinał i wyglądał, jakby zaraz miał dostać nóg i uciec, gdzie pieprz rośnie. Obserwowałam tę niecodzienną scenę z zainteresowaniem. Worek ucichł gwałtownie, gdy jeden z mężczyzn uderzył go

tępy narzędnym. Ze środka wydobył się głuchy jęk i nagle przestał się ruszać, stając się zwyczajnym workiem.

Na nasz widok obaj wieśniacy zdjęli czapki i skłonili się lekko przede mną.

– Dzień dobry, szanowna pani dobrodziejko – pozdrowili mnie uprzejmie.

– Nie taki znowu dobry. – Wskazałam na zachmurzone niebo, nieco zaskoczona faktem, że w ogóle się do nas odezwali. To byłby pierwszy raz, kiedy tubylcy nie obrzucili mnie niechętnymi spojrzeniami. No, pomijając pewnego pana, któremu spodobała się Night.

– Miłej podróży – rzucił jeden z nich, niższy i z zaledwie kilkoma szerniałymi zębami, śledząc nas wzrokiem, gdy przejeżdżaliśmy obok.

Wzruszyłam ramionami i jechałam dalej. Nie ujechaliśmy nawet kilkunastu metrów, jak odezwał się Jared.

– W tym worku coś było. – Jego ton brzmiał oskarżycielsko.

– Może kot – próbowałam go zbyć.

– Koty nie wydają takich dźwięków. Tam coś było i myślę, że powinniśmy to uratować.

– Nie ma mowy.

– Ale Malice... – zajęczał.

– Żadnego *ale*. Powiedziałam, nie ma mowy.

Przez chwilę jechaliśmy w ciszy.

– Nie jesteś ciekawa, co było w środku?

– Niech cię szlag. Wracamy. – Zawróciłam Night i pognaliśmy z powrotem.

Ja nie byłam ciekawa – byłam *cholernie* ciekawa, co tam było.

Mężczyźni razem wlekli za sobą ciężki worek. Na nasz widok zatrzymali się.

– Coś nie tak, pani dobrodziejko? – Znowu mówił ten z ubogą kolekcją zębów. Najwyraźniej był bardziej komunikatywny niż jego wyglądający na upośledzonego kolega. – Chciała pani spytać o drogę?

– Czy ja wyglądam, jakby potrzebowała pytać o drogę?

Zeskoczyłam z konia.

– No nie. – Wieśniak spuścił wzrok.

– Dobra odpowiedź. – Uśmiechnęłam się, ale to nie był przyjemny uśmiech, nie miał w sobie nic z promiennej radości. – Odpowiedz mi jeszcze na jedno pytanie. – Podeszłam bliżej i nachyliłam się nad nim, pozwalając mu dostrzec kilka moich sztyletów. – Co jest w worku?

– Nic – odpowiedzieli zgodnie obaj mężczyźni.

– Nic? W takim razie nie będziecie mieli nic przeciwko, jeśli zajrzę do środka?

– Nie. Tak – odezwali się obaj na raz.

– Nie. – Pałeczkę przejął bezzębny. – To nasz worek. – Zasłonił go własnym ciałem. – Poza tym, nic w nim nie ma.

W tam samym momencie worek poruszył się i wymruczał coś gniewnym tonem. Uniosłam brwi.

– Macie teraz dwie opcje. Albo odejdziecie i nie dojdzie do rozlewu krwi, albo zaraz zrobi się tu nieprzyjemnie. – Żeby brzmieć bardziej wiarygodnie, wyjęłam z buta jeden ze sztyletów i ostentacyjnie podrapałam się nim po nosie.

– Myślę, że powinniśmy odejść – odezwał się grubym głosem wyższy z nich, ciągnąc za rękaw swojego kompana.

– Widzisz, choć twój kolega wygląda na głupszego od ciebie, okazuje się być mądrzejszy. Zabierajcie stąd swoje brudne tyłki. Już!

Niższy splunął mi pod nogi i zaczął sypać przekleństwami, nie starając się wcale robić tego dyskretnie, ale koniec końców odszedł. Obserwowałam ich, dopóki nie zniknęli nam z oczu. Dopiero wtedy nachyliłam się nad workiem.

– A więc przekonajmy się, co jest w środku – rzekłam do Jareda i rozwiązałam sznurek.

Z wnętrza wyskoczył natychmiast mały, brudny i zarośnięty ponad wszelką miarę człowieczek. Chociaż nie – kiedy przyjrzałam mu się bliżej, stwierdziłam, że nie mógł być człowiekiem. Na owłosionej twarzy widoczne były tylko małe, niebieskie oczy i olbrzymi, przypominający pomidora nos. Usta niknęły w gąszczu włosów, podobnie jak reszta twarzy. Miał na głowie śmieszoną, przekrzywioną czapkę i powiększającego się z każdą chwilą guza.

– Niech mnie drzwi ścisną – powiedziałam na głos. – Czy to jest krasnal?

Rzeczony krasnal spojrzał na mnie z jawnym oburzeniem i, przekrzywiając głowę, odezwał się, idealnie przedrzeźniając mój głos:

– Niech mnie drzwi ścisną, czy to jest rasistka?

Otworzyłam usta ze zdziwienia, moje oczy musiały w tamtym momencie zrobić się okrągłe niczym monety.

– A niech mnie, w dodatku zna słowo *rasistka*.

Nie mogłam wyjść ze zdziwienia. Ale w sumie, czemu ja się dziwiłam? Skoro po Elegestii latały sobie smoki, czemu miałyby nie być krasnali?

– Pewnie, że znam słowo *rasistka*, paniusiu. – Nieomal wypluł to zdanie, taki był wkurzony. – Spotykam się z dyskryminacją od dnia moich urodzin, ludzie myślą, że skoro jestem krasnałem, czyni mnie to stworzeniem niższej kategorii! Jak ci dwaj debile – porwali mnie, bo myśleli, że dostarczę rozrywki w ich zapyziałej wiosce. Nic z tego!

Z całą godnością, na jaką było go stać, poprawił szelki swoich spodni.

Widząc, że staliśmy i gapiliśmy się na niego jak cielęta na malowane wrota, trochę się zmieszał.

– Ale wy nie zamierzacie mnie porwać? – Po raz pierwszy stracił pewność siebie.

– Spokojnie. – Poklepałam go po ramieniu. – Właściwie to my będziemy się

już zbierać.

Wsiadłam na swoją klacz, Jared nie wykonał jednak żadnego ruchu, ciągle gapił się na krasnala.

– Przecież nie możemy go tak zostawić.

– Ty znowu swoje? – zdenerwowałam się.

– Właśnie – podchwycił krasnal. – Nie możecie mnie zostawić.

– Możemy. I zaraz to zrobimy. – Skinęłam na Jareda. – Na co czekasz?

Wtedy krasnal uderzył w błagalny ton.

– Ci dwaj wrócą, jak tylko odjedziecie i znowu wsadzą mnie do worka – zajęczał.

– Nie mój problem.

Słodkie oczy w jego wykonaniu nie były w stanie mnie przekonać. Krasnal stał tak przez chwilę, ale widząc, że prośbą nic nie wskóra, wrócił do swojego normalnego stylu bycia.

– Więc jesteś nie tylko rasistką – wydarł się – jesteś też bezduszną, głupią krową! Czy ty w ogóle nie masz serca? Chcesz mnie tu zostawić na pastwę losu, bo co? Bo jestem mały i jestem krasnałem? Jesteś taka sama jak wszyscy – powiedział z jadem, przez który przebijało jednak rozczarowanie.

To mnie ubodło. Przecież nie byłam taka sama jak wszyscy.

– Niby gdzie miałabym cię wsadzić? Do tego worka? – Wskazałam na kawałek materiału leżący nieopodal. Kopnął go ze złością.

– Żartujesz, paniusiu? Mam ledwo metr wzrostu i ważę mniej niż ty. Myślisz, że to byłoby zbyt wiele dla takiego konia? – Wskazał na moją czarną klacz.

Spojrzałam z powątpiewaniem na jego wydatny brzuch.

– Tylko ja jeżdżę na Night.

– Może jechać ze mną – odezwał się Jared.

Zdrajca. Od początku wiedział, że to się tak skończy.

– Świetnie. Więc ładuj swoje krasnoludzie cztery litery na konia i jedziemy.

Po raz kolejny pożałowałam, że na samym początku uratowałam Jareda. Więcej miałam z tego kłopotów niż pożytku. Miał najwyraźniej syndrom rycerza, musiał ratować każdego, kto się nawinął. Ja nie miałam takiego problemu. Najchętniej zostawiłabym tego krasnala na środku drogi i pognęła w stronę cholernej Warowni O'ren, która zamiast się przybliżyć, z każdym dniem wydawała mi się coraz bardziej odległą.

Przy kolacji, którą *notabene* krasnal wychwalał pod niebiosa, nazywając mnie boską kucharką, Jared zaczął swoje własne przesłuchanie.

– Przez to całe zamieszanie zapomniałeś się przedstawić – przypomniał mu

uprzejmie.

– No jasne. – Krasnal z rozmachem palnął się owłosioną ręką w głowę. – Gdzie moje maniery? – Zerwał się na swoje krótkie nogi. – Jestem Gordomir Szlachetny.

Parsknęłam w talerz, ale powstrzymałam się od komentarza.

– Ja jestem Jared. – Uścisnęli sobie dłonie. – A nasza kucharka ma na imię Ma... – zawahała się – Alice.

– W porządku. – Machnęłam ręką. – Może być Malice.

– Malice – powtórzył krasnal, jakby smakując to imię w ustach. – Pasuje – orzekł i wyciągnął do mnie rękę. Miał zadziwiająco silny uścisk jak na takiego liliputa.

Gdy formalności stało się zadość, usiadł i kontynuował jedzenie.

– Um, więc jak dorobiłeś się takiego przydomku? – zapytałam, powstrzymując śmiech.

– Rodzice mi go nadali – odpowiedział z godnością.

– I wszystko jasne.

Zanim Gordomir zdążył się zdenerwować, Jared zadał kolejne pytanie.

– Wydawało mi się, że krasnoludy żyją w ukryciu.

– Bo tak jest. Mój lud nie chce mieszać się w konflikt między magami a smokami. – Potoczył spojrzeniem po naszych twarzach. – Żyjemy w podgórskich lasach, mamy własne społeczności i czekamy, aż Elegestia znowu stanie się krainą, gdzie wszystkie rasy będą mogły żyć obok siebie w pokoju. – Westchnął. – Ale to raczej nie stanie się prędko.

– Wszystko pięknie, ale w takim razie jakim cudem się znalazłeś w worku?

– Musiałem opuścić swój lud.

– Musiałeś opuścić? Znaczy, że cię wyrzucili? Jesteś kimś w rodzaju krasnoludzkiego przestępcy? – Przeklęłam w myślach. Zawsze miałam skłonności do przyciągania degeneratów.

– Nie! – Aż zaperzył się z oburzenia. – Czy ja wyglądam na przestępcę?

Powiodłam wzrokiem po jego czerwonej, brodatej twarzy i guzie wielkości pięści, który wyrósł mu na czole. Zdziorna mina wcale nie poprawiała wrażenia.

– Owszem – powiedzieliśmy zgodnie razem z Jaredem.

– Raniecie moje serce. – Skrzywił się komicznie i dla uwydatnienia swoich słów chwycił się za pierś. – Jestem porządnym obywatelem. Ba, nawet szlachetnym. Niestety okoliczności zmusiły mnie do opuszczenia swoich pobratymców. Nie dlatego, że zostałem wygnany – zrobiłem to z własnej, nieprzymuszonej woli.

– Nie bądź taki tajemniczy.

– Muszę odnaleźć swoją żonę.

– Że co? – Oboje z Jaredem zrobiliśmy głupie miny.

– Nie patrzcie tak. Owszem, mam żonę. I muszę ją odnaleźć. – Gordomir wyglądał na poirytowanego.

– Uciekła od ciebie?

– Nie! – Zrobił się czerwony na twarzy. To znaczy, czerwiejszy niż był wcześniej. – Została uprowadzona.

Zerknęłam na Jareda, ale nie zdołałam nic wyczytać z jego twarzy.

– Słuchaj, Jared – zwróciłam się do niego. – Ty chyba bardziej znasz się na krasnoludach, a przynajmniej wiesz więcej niż ja. Czy one się czasem nie lubują się w robieniu ludziom głupich kawałów?

– Różnie bywa, nie ma reguły. Zresztą, żaden ze mnie znawca. – Rozłożył ręce w bezradnym geście.

Gordomir obserwował nas, przeskakując wzrokiem to na mnie, to na Jareda.

– Ty! – Wskazał na mnie sękatym paluchem. – Wkurzasz mnie.

Teraz to ja byłam święcie oburzona.

– Wkurzam cię? Myślałby kto! Chyba należy mi się więcej wdzięczności?! Uratowałam ci tyłek!

– Nie uratowałam mnie dlatego, że jesteś szlachetnym człowiekiem! Zrobiłaś to, bo byłaś ciekawa – zarzucił mi. – Za to mam być ci wdzięczny?!

– Owszem. Koniec końców siedzisz teraz i napełniasz swój wielki brzuch moim jedzeniem, nie mając przy tym worka na głowie. Więc tak, należy mi się wdzięczność, nawet jeśli nie jestem szlachetna.

Podrapał się po dużej, zarosniętej głowie, jakby rozważał moje słowa.

– Może masz rację. Wybacz. – Spojrzał w bok. – Z natury jesteśmy dość wybuchowi.

– A ja z natury jestem dość złośliwa. Przyzwyczajaj się. – Tak naprawdę nie potrzebowałam wdzięczności, ale jej ostentacyjny brak mnie denerwował. – Jared. Talerze. – Wskazałam na opróżnione naczynia.

Kiedy odszedł, krasnal wyciągnął się przy ognisku, beknął potężnie i z błogą miną poklepał się po wydatnym brzuchu.

– Wiesz, Malice, jakkolwiek kolacja była pyszna, przydałoby się jeszcze coś na rozgrzewkę.

– Mam ci przypiec tyłek w ogniu?

– Miałem na myśli jakiś alkohol.

Wtedy przypomniało mi się, że miałam przecież całą butelkę wódki w torbie. Może i nie mieliśmy specjalnej okazji, ale bez okazji też można się przecież napić.

– Coś się znajdzie – powiedziałam tajemniczo i wyciągnęłam butelkę.

Krasnal podparł się na łokciu i zmrużył oczy, wpatrując się w moją połówkę.

– Co to niby jest? Woda w szklanej butelce?

Zignorowałam jego lekceważący ton. Najwyraźniej w Elegestii nie znali jeszcze wódki. Nawet nie wiedzieli, co tracili.

– To mój drogi, jest ognista woda. – Uśmiechnęłam się niczym kot z Cheshire.

Gordomir wykazał się nadzwyczajną gotowością do eksperymentowania. Wstał i wyciągnął w moim kierunku wyszczerbiony kubek.

– Do pełna!

Zaśmiałam się.

– Raczej nie.

Nalałam na dwa palce jemu i sobie.

– Zdrówko.

Stuknęliśmy się kubkami.

Krasnal przechylił głowę i od razu wlał wszystko do gardła, po czym zakrztusił się i zaczął kasłać tak mocno, aż łzy popłynęły mu po policzkach, znikając w gąszczu brody.

– Ognista woda to dobra nazwa – powiedział w końcu ochryplym głosem.

– Prawda? – Automatycznie zrobiło mi się weselej, Gordomir przestał nawet być taki brzydki i wkurzający.

Nim wrócił Jared, rozmawialiśmy głośno, niczym starzy znajomi, co chwilę wybuchając gromkim śmiechem. Gdybym nie widziała Gordomira, ale słyszała jego śmiech, sama doszłabym do wniosku, że był krasnoludem – śmiał się głośno, rubasznie i bez żadnych zahamowań.

Jak szybko odkryłam, lubił opowiadać sprośne kawały. Moje poczucie humoru było dość specyficzne, a jeśli dodać do tego wypitą wódkę, śmiałam się bardziej, niż powinnam.

Powiedzieć, że nasz widok zaskoczył Jareda, byłoby niedomówieniem. Stał jak wryty i gapił się, jakby zobaczył nas pierwszy raz w życiu.

– Co wam tak wesoło? – Łypnął podejrzliwie na Gordomira.

– Malice, myślę, że powinnaś poczęstować naszego chłopaczka ognistą wodą.

– Tak myślisz? – zapytałam sceptycznie. – Pewnie nie jest nawet pełnoletni – dodałam głupio, jakby w Elegestii miało to jakieś znaczenie.

– Co to jest ognista woda? Co jej zrobiłeś? – Jared wyglądał, jakby chciał uderzyć krasnala.

– Spokojnie, chłopcze. Naprawdę, Malice, sądzę, że powinnaś go poczęstować.

– Nie jestem aż tak pijana, żeby upijać dzieci.

– Nie jestem dzieckiem – zaperzył się Jared.

– Na waszą odpowiedzialność. – Uniosłam do połowy już opróżnioną butelkę i nalałam Jaredowi do kubka. Niewiele, żeby nie było.

– Co to jest? – zapytał podejrzliwie.

Przystawił sobie kubek do nosa i skrzywił się, gdy dotarł do niego ostry

zapach spirytusu.

– Mam to wypić?

– Jeśli się wahasz, ja chętnie zrobię to za ciebie – zaoferował Gordomir.

To go przekonało. Przechylił kubek i wypił do dna, po czym podobnie jak krasnal, zaczął przeraźliwie kaszleć.

– Pali – powiedział ze łzami w oczach i, o dziwo, uśmiechem na twarzy.

– Stąd nazwa ognista woda – powiedziałam odrobinę niewyraźnie.

– Wlej mi więcej.

Wyciągnął pusty kubek w moim kierunku.

– Nie ma mowy. – Przycisnęłam butelkę do piersi. – W ogóle, chłopaki, myślę, że na dziś wystarczy. – Wstałam i chwiejnym krokiem ruszyłam w stronę toreb, by odłożyć butelkę, ale zatrzymały mnie głośne krzyki Gordomira i trochę bardziej nieśmiało Jareda.

– Malice, nie bądź taka – krasnal uderzał w błagalne tony. – Przecież i tak już niewiele zostało. Nie opłaca się odkładać.

– Właśnie, Malice, chcę więcej – Jared wtrącił swoje trzy grosze.

Stałam niezdecydowana, dzierżąc w ręku butelkę. Musiałam być twarda. Pokręciłam głową i odwróciłam się gwałtownie, co okazało się kiepską decyzją, bo potknęłam się i straciłam równowagę. Runęłam jak długa, na szczęście udało mi się upaść tak, że nie stłukłam butelki.

– Nic ci się nie stało? – Jared zerwał się, żeby mi pomóc.

– Butelka jest cała.

Uniosłam ją w górę niczym trofeum, zupełnie nie zwracając uwagi na potłuczony łokieć.

Jared spieszył się tak bardzo, że w ciemności potknął się o moje nogi i wylądował na mnie, wyciskając mi powietrze z klatki piersiowej. Nagle jego twarz znalazła się w odległości zaledwie kilku centymetrów od mojej. Wpatrywał się we mnie swoim cudownymi, zielonymi oczami. Z bliska stwierdziłam, że były jeszcze bardziej fascynujące, niż sądziłam do tej pory. Jeśli oczy rzeczywiście były zwierciadłem duszy, jego musiała być piękna. Nie potrafiłam nawet nazwać tego odcienia zieleni... a może po prostu była to wina obecności zbyt wielu procentów w mojej krwi?

– Uh, złaź. – Zrzuciłam go z siebie i wstałam, otrzepując ubranie.

Gordomir już czekał z wyciągniętym w moim kierunku kubkiem.

Następnego dnia wszyscy mieliśmy kaca. Twarz krasnala była bardziej czerwona niż zwykle i jedyne, co wydobywało się z jego ust, to ponure burczenie, ja obudziłam się z bólem głowy, a Jared rzygał dalej, niż widział. Typowe skutki pijaństwa.

Nie szarżowaliśmy ze śniadaniem. Mojemu ściśniętemu żołądkowi wystarczyła woda.

Night łypała na mnie oskarżycielsko wielkimi czarnymi oczami, gdy podejmowałam drugą próbę wdrapania się na jej grzbiet.

– Podsadzić cię? – zaproponował Jared. Był blady na twarzy i wyglądał, jakby lada chwila miał się przewrócić.

– Żebyśmy razem wylądowali na ziemi? Nie, dziękuję. Za to ty – wskazałam palcem na krasnala – możesz posłużyć mi za schodki.

– Wał się – burknął Gordomir.

Wzruszyłam ramionami i kontynuowałam swoje wysiłki. Grzbiet Night wydawał mi się wyższy niż zwykle.

No dobra, nadszedł czas na cięższą artylerię.

– Chłopaki, patrzcie na to. – Zrobiłam niewielki rozbieg i... klapnęłam nosem prosto w koński zad. Wiedziałam, że jedynie sympatia, którą Night do mnie żywiła, uchroniła mnie przed kopniakiem.

Krasnal padł na ziemię, skręcając się ze śmiechu, Jared również rechotał jak pomyłony. Że też w ogóle mieli na to siłę.

– Śmiejcie się – sarknęłam i spróbowałam ponownie, tym razem pomagając sobie magią. Z całym wdziękiem, na jaki było mnie stać w tej sytuacji, wylądowałam w siodle. – Wasza kolej. – Uśmiechnęłam się złośliwie. Myny zrzędy im momentalnie.

Po kilkunastu nieudanych próbach udało im się załadować na kasztanka. Biedny koń, miał paskudny ranek, nic dziwnego, że spłoszony przebierał kopytami.

W końcu ruszyliśmy i tylko pusta butelka leżąca gdzieś w krzakach świadczyła o naszych wczorajszych ekscesach.

Zanim zrobiliśmy przerwę na obiad, głowa przestała mi tak strasznie ciążyć i wreszcie zaczęłam myśleć jasno. Wtedy dotarło do mnie, że podróżuję nie tylko z Jaredem, ale i z zręcznym krasnalem. Jak do tego doszło? I co ważniejsze – czym sobie na to zasłużyłam?

Przygotowałam posiłek dla trzech osób, podczas gdy Jared zajmował się końmi, a Gordomir leżał z brzuchem wypiętym w stronę nieba i komentował jego wysiłki.

Gdy zasiedliśmy do jedzenia, postanowiłam rozwiać kilka nurtujących mnie kwestii.

– Więc Gordomir – odezwałam się, przelżykając gorącą zupę – mówiłeś, że twoja żona została porwana.

– Zgadza się – przytaknął z pełnymi ustami, plując na około kawałkami nie do końca przeżutego chleba.

– Dlaczego ją porwano?

Krasnal wypiął pierś i odpowiedział z nieskrywaną dumą:

– Moja żona jest najpiękniejszą krasnalicą w Elegestii!

Zerknęłam na Jareda. Ukrył się za miską, ale jego ramiona trzęsły się podejrzenie.

– Wybacz pytanie, ale w takim razie dlaczego ożeniła się z tobą?

– Jestem Szlachetny! – wykrzyknął, jakby to wszystko wyjaśniało. – Wyszła za mnie z miłości.

Nie odważyłam się powiedzieć nic więcej. Całą swoją postawą sugerował, że kolejne pytanie to będzie dla niego zbyt wiele. Już teraz był ledwie krok od wybuchu.

Przez chwilę tylko jedliśmy, nie mogąc powiedzieć, że w ciszy. Gordomir siorbał głośno i mlaskał niemiłosiernie. Jeśli takimi manierami urzekł swoją małżonkę, bałam się pomyśleć, jak naprawdę wyglądała. W końcu zdecydowałam się zapytać o drugą nurtującą mnie rzecz.

– Kto ją porwał?

O ile wcześniej Gordomir był o krok od wybuchu, o tyle teraz wyglądał, jakbym zdzieliła go w twarz. Od razu spochmurniał i nawet odstawił na bok miskę. Westchnął głęboko, aż zafalował jego wielki brzuch, napinając do granic możliwości podtrzymywane przez szelki spodnie.

– Są różne rasy krasnali – zaczął wyjaśniać. – Moja należy do tych, które żyją w lasach. Te, które porwały moją żonę, mieszkają pod ziemią. Są wyjątkowo głupie. I brzydkie – dodał, jakby sam należał do tych pięknych.

– Dlaczego ją porwały? – zadałam ostatnie nurtujące mnie pytanie.

Zanim odpowiedział, przeczesał palcami długą brodę.

– Potrzebują królowej, to oczywiste.

– Czyli opuściłeś swój lud, żeby ją odnaleźć i uratować – po raz pierwszy Jared zabrał głos.

– Chłopak jest bystrzejszy od ciebie, Malice – powiedział złośliwie. – Tak czy owak, ma rację – dodał szybko, nie pozwalając mi się odgryźć. – Chcę ją uratować.

– Wiesz, gdzie szukać? – zapytał Jared.

– Wiem.

– Więc szerokiej drogi. – Wiedziałam, co zaraz nastąpi i nie mogłam do tego dopuścić. – Nie licz na naszą pomoc. Możesz z nami jechać, dokąd ci będzie pasowało, ale nie pomożemy ci w odbijaniu twojej żony.

– O tym właśnie chciałem z tobą pogadać. Z tego co zauważyłem, kierujesz się na północny wschód. Jak daleko chcesz dotrzeć?

– Nie twoja sprawa – burknęłam nieuprzejmie. Nie zamierzałam zdradzać nikomu celu swojej podróży.

– Mogłabyś dzięki mnie zaoszczędzić co najmniej pięć dni drogi – kusił.

To mnie zainteresowało. Tym sposobem odzyskałabym stracony czas i może dotrzymałabym nawet złożonej kotu obietnicy.

– Jakim cudem?

– Znam skrót. Masz jakąś mapę?

Wyjęłam jedną z tych, które podarował mi Tom i rozłożyłam na ziemi.

– Jesteśmy tutaj. – Wskazał na punkt znajdujący się mniej więcej w połowie drogi między Dziwnym Lasem a Warownią O'ren. Jeśli zboczyłabyś z traktu i przeszła tędy – wskazał na duży napis „KOPALNIA” – zaoszczędziłabyś przynajmniej pięć dni drogi, bo tu masz jezioro. – Pokazał na wielką, niebieską plamę. – Będiesz musiała je obejść. Oczywiście to wszystko zakładając, że jedziesz dalej niż do jeziora.

– Założmy, że jadę. Ile czasu zajmie przejście przez tę kopalnię?

– I czy to w ogóle jest bezpieczne? – wtrącił Jared.

– Jak najbardziej, nie musicie się martwić, że jakiś tunel runie wam na głowę. Właśnie tam mieszkają krasnoludy, które porwały moją żonę.

Parsknęłam śmiechem.

– Cwany jesteś, co? Ale ja nie mam czasu na walki z krasnalami. Wolę objechać to jezioro, przynajmniej będę miała pewność, że żadne krasnale nie dobiorą mi się do tyłka.

– Nie proszę was o pomoc. – Gordomir uniósł się dumą. – W zamian, że mnie tam zawieziecie, przeprowadzę was tunelami na drugą stronę w ciągu jednego dnia, potem sam wrócę, by uratować moją żonę.

– Obiecujesz, że po drodze nie natkniemy się na żadnego żadnego krwi krasnała? – musiałam się upewnić.

– Obiecuje. – Uderzył się pięścią w pierś tak mocno, aż mu się odbiło.

– Umowa stoi.

– Świetnie. – Nachylił się nad mapą i postukał grubym palcem jakiś punkt. – W tej wiosce będziemy musieli odbić z traktu na zachód. Dobra wiadomość jest taka, że powinniśmy dotrzeć do niej już dziś.

– A jaka jest zła?

– Nie ma złej. – Krasnal przewrócił oczami.

– Tylko się upewniam.

Tak jak zapowiedział Gordomir, dotarliśmy do wioski przed zmierzchem. Oczywiście znalezienie gospody nie nastręczyło nam większych trudności. Zeskoczyłam z Night i zaczęłam rozglądać się za kimś, kto zająłby się końmi.

– Ej ty! – krzyknęłam, widząc pałętającego się w pobliżu chłopaczka. – Chodź tu!

– Proszę pani? – Nie wiedzieć czemu, był przerażony.
– Zabierz konie do stajni – rozkazałam.
– Tttak – zająknął się. – Oczywiście. Wszystko już gotowe, czekaliśmy na panią.

– Czekaliście na mnie? – powtórzyłam zdumiona.
– Tttak. Doszły nas słuchy o pani wyczynach i o tym, że podróżuje pani traktem.

Przez chwilę gapiłam się na niego bez zrozumienia, po czym wybuchłam głośnym śmiechem.

– Jared, zła sława nas wyprzedza.

Zaraz jednak na powrót przybrałam poważny, surowy wyraz twarzy.

– A ty na co czekasz? – krzyknęłam na chłopaczka. – Te konie już dawno powinny być rozsiadłane i nakarmione. I liczę na to, że gorący posiłek już na nas czeka! – Obrzuciłam go swoim najgroźniejszym spojrzeniem i uśmiechnęłam się, widząc, jak z wrażenia mało się nie przewrócił, odbierając ode mnie uzdę Night.

Kiedy w końcu odszedł, jękając przeprosiny i potykając się o własne nogi, spojrzałam na moich towarzyszy.

– No chłopaki, nie gapcie się tak. Idziemy jeść.

ROZDZIAŁ 10

Następnego dnia wszyscy zerwaliśmy się skoro świt. Bolała mnie głowa, bo wczoraj wraz z Gordomirem pofolgowaliśmy sobie z winem. Krasnale mają cholernie mocną głowę (gdyby przypadkiem naszła was ochota na zawody w picciu z którymś z nich, lepiej dajcie sobie na wstrzymanie, bo to zły pomysł). Jared robił jedynie za widownię, widać nie miał ochoty na kolejne czyszczenie żołądka. Oprócz popijawy, którą urządziliśmy, nie wdaliśmy się jednak w żadną bójkę. Dla zachowania pozorów nakrzyczałam na kilka osób, przeważnie służących, którzy zbyt wolno donosili nam wino. Bawiłam się całkiem nieźle, obserwując wszystkie przerażone spojrzenia, którymi obrzucali mnie służący. Nie widziałam w nich już nawet zwyczajnej niechęci, jedynie czysty strach. Wszystko to mile połechtało moje ego. Lubiłam, gdy ludzie czuli przede mną respekt.

Zanim wyjechaliśmy, uzupełniliśmy poważnie już nadwątlone zapasy – oczywiście zapłacił Jared – i zapytaliśmy o kilka wskazówek odnośnie drogi do kopalni. Właściciel gospody, który ich nam udzielił, wyraźnie próbował nam wyperswadować ten pomysł, strasząc, że choć kopalnia od lat nie jest używana przez ludzi, dochodzą stamtąd różne odgłosy świadczące o tym, że ktoś może ją zamieszkiwać.

– I bynajmniej nie mam na myśli ludzi – rzekł, nachylając się nad nami z porozumiewawczą miną.

Uprzejmie podziękowaliśmy za wszystkie cenne rady i nie zważając na jego ostrzeżenia, skierowaliśmy się prosto we wskazaną stronę.

– Nie uda nam się dotrzeć tam jeszcze dziś – oznajmił Gordomir. – Jeśli będziemy jechali cały dzień, w najlepszym wypadku jutro rano znajdziemy się przed wejściem.

– To nawet lepiej – odezwał się Jared. – Jakoś nie mam ochoty na zwiedzanie nocą kopalni, w której mieszkają nieprzyjazne krasnoludy.

– Widać brak snu odbija się na twojej inteligencji – powiedziałam złośliwie.
– Nieważne, czy wejdziemy tam za dnia, czy nocą. I tak będzie ciemno.

– To mnie pocieszyłaś.

Jeśli spodziewałabym się, że krajobraz Elegestii poza traktem zmieni się jakoś i stanie się bardziej interesujący, spotkałoby mnie srogie rozczarowanie. Mijaliśmy kolejne połączenie pól i łąk, z tą tylko różnicą, że nie było ubitej drogi, którą moglibyśmy jechać, a co za tym idzie poruszaliśmy się wolniej, niż bym chciała. Nie wiedziałam już nawet, co było bardziej monotonne – drzewa otaczające człowieka ze wszystkich stron, czy ciągnące się w nieskończoność pola

uprawne z równymi rządkiem tych samych, karłowatych krzaków.

W okolicy kopalni dotarliśmy dopiero późnym rankiem następnego dnia. Byliśmy jakiś kilometr od celu, gdy Gordomir zarządził postój.

– Musimy ułożyć plan – oznajmił.

– Po co nam plan? Idziemy tam, przeprowadzasz nas niezauważalnie i mówimy sobie „do widzenia”.

– To nie takie proste. Przed wejściem mają strażę.

– I dopiero teraz przypomniało ci się, że powinieneś nam o tym powiedzieć?

– Zmrużyłam oczy, patrząc na niego groźnie. Guz, którego zarobił kilka dni temu, powoli schodził, ale najwyraźniej miał ochotę na następnego.

– Nie chciałem cię zniechęcać takimi szczegółami. – Wzruszył ramionami, jakby nic się nie stało.

– Świetnie. Nadal nie rozumiem, po co nam plan. Unieszkodliwimy strażników i po kłopotcie.

– Do tego zmierzam. Mówiłem, że ta rasa krasnoludów jest wyjątkowo głupia. Ich słabością jest również to, że są strasznie ciekawskie.

– Brzmisz tak, jakbyś już miał ułożony plan i tylko chciał przekazać nam szczegóły.

– Masz mnie. Dobra, to słuchajcie: będziecie musieli udawać zakochanych. Parsknęłam śmiechem.

– To uderzenie w głowę spowodowało jakieś trwałe urazy w twoim mózgu czy co? W życiu nie słyszałam gorszego planu.

– Daj mi skończyć – zdenerwował się. – Nie możemy podejść do wejścia niepostrzeżenie, ale jeśli pójdziecie tam spacerkiem, obściskując się przy tym, pomyślą, że jesteście nieszkodliwi. Zwyczajna para wieśniaków, która urwała się na schadzkę. – Nie musiałam nic mówić, moja mina doskonale wyrażała, co sądzę o jego pomysły.

– Super, w takim razie wy z Jaredem udawajcie zakochanych, a ja załatwię strażników.

Obaj rzucili mi ciężkie spojrzenia.

Przecież to nie była zła myśl.

– Jestem krasnoludem, myślisz, że tego nie zauważą?

– Właśnie, jesteś niski, możesz udawać kobietę! – Coraz bardziej zapalałam się do tego pomysłu. – Pożyczę ci jakieś ciuszki i będzie z ciebie matrona jak znalazł.

Gordomir postanowił mnie zignorować.

– Kiedy już was zobaczą, nie będą mogli się powstrzymać i będą chcieli was podglądać – kontynuował swój wywód. – Wywabicie ich z posterunków, a wtedy ja się nimi zajmę.

– Ty? Niby jak chcesz tego dokonać?

Wskazał na kamienistą drogę.

– Większy okaz powinien załatwić sprawę.

– To ich nie zabije? – zapytał niepewnie Jared.

– Spokojnie, chłopcze. – Krasnolud z rozmachem poklepał go po ramieniu, aż zachwiał się w siodle. – Oprócz tego, że są głupie i brzydkie, mają też twarde czaszki. Nic im nie będzie, obudzą się po prostu z wielkimi guzami.

– Nadal nie rozumiem, po co to wszystko? Nie możemy po prostu iść tam, rozwalić im głowy i wejść do środka?

– To właśnie usiłuję ci wytłumaczyć. Może i są głupie, ale jak tylko zorientują się, że coś jest nie tak, podniosą taki raban, że w kilka minut zleci się cała gromada. Jeśli zrobimy to po mojemu, znokautujemy ich w krzakach, zwiążemy i tam zostawimy.

Kiedy tak to przedstawiał, jego plan wydawał się mieć ręce i nogi.

– Niech ci będzie. Ale masz u mnie ogromny dług.

– Już wcześniej miałem – powiedział wesoło. – Poza tym, możliwe, że zginę, ratując żonę. Nie mam nic do stracenia.

– Skoro już to ustaliliśmy, do dzieła.

Przejechaliśmy jeszcze kawałek, po czym zsiadliśmy z koni. Podałam krasnalowi uzdę Night.

– Lepiej niech nic jej się nie stanie.

Gordomir z trudem sięgał ręką do rzemienia, ale i tak czułam się zobowiązana ostrzec.

– No dobra, miejmy to już za sobą – powiedziałam i złapałam Jareda za rękę.

Ruszyliśmy razem, nie starając się wcale zachowywać dyskretnie – przeciwnie, robiliśmy wszystko, żeby krasnoludy zauważyły nas jak najprędzej.

– Tam się chyba coś rusza. – Jared nachylił się nade mną i wyszeptał mi to do ucha. Z daleka musiało to wyglądać tak, jakby szeptał mi czule słówka. Potem objął mnie ramieniem.

– No daj spokój, trzymanie się za rękę nie wystarczy?

– Musimy być wiarygodni.

Sięgałam mu zaledwie do ramienia, szłam więc przytulona do jego piersi.

– Wiesz, nie jesteś znowu taki kościsty – powiedziałam, nim zdołam się powstrzymać.

Poczułam, jak jego brzuch wibruje od śmiechu. W tym samym momencie usłyszałam wyraźny szelest, napięte ruchy jego ciała mówiły mi, że nie tylko ja go słyszałam.

Jared przystanął, pochylił się nade mną, wziął w dłonie moją twarz i złożył długi pocałunek na moich wargach. Nie był delikatny, przeciwnie – zawładnął moimi ustami jakby do niego należały. Nie wiem, czy miałam omamy słuchowe, ale zdawało mi się, że słyszałam przeciągły gwizd, gdy się całowaliśmy. Znaczy,

że widowni się podobało.

– A teraz w krzaki – syknęłam i pociągnęłam go za rękę.

Padliśmy na ziemię i pomyślałam, że jeżeli Gordomir zaraz nie załatwi tych krasnali, własnoręcznie je zamorduję, nim zajmując się na samym początku. Jakby wyczuwając moje myśli, zabrał się wreszcie do roboty. Usłyszeliśmy głucho stęknienia i kilka krótkich jęków. Jared wstał pierwszy, potem wyciągnął do mnie rękę. Miałam ochotę przewrócić oczami, ale przyjąłem ją. Otrzeptałam ubranie i poszłam sprawdzić, jak spisał się Gordomir.

Cztery krasnale leżały znokautowane na ziemi, z wielkimi, krwawymi śladami na głowach.

– Nie przesadziłeś? – zapytał Jared.

– Ani trochę. Obudzą się prędzej, niż myślisz – mówiąc to obwiązywał im ręce i nogi grubym sznurem. – Za to wy byliście bardzo przekonujący. – Wyszczерzył się. Miał nawet czelność mrugnąć do nas porozumiewawczo.

– Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę – ostrzegłam. – Gdzie konie?

Machnął ręką w kierunku pobliskich drzew. Night nie wyglądała na zadowoloną, gdy do niej podeszłam. Chyba nie przepadała za krasnałem. Na szczęście była grzeczną dziewczynką i jak do tej pory nie poczęstowała go jeszcze kopniakiem, ale wszystko było przed nami.

– Droga wolna – oznajmił Gordomir, wychodząc z krzaków.

Wejście do kopalni nie wyglądało zachęcająco. Była to ni mniej ni więcej wielka, ziejąca pustką czarna dziura w skale. Ani ja, ani nawet moja klacz nie wyglądałyśmy na zachwycone perspektywą wejścia do środka.

– Ty pierwszy. – Wskazałam na krasnała. – Musimy mieć pewność, że konie nie połamią sobie nóg.

– Jasne – burknął. Nie w smak mu było iść przodem, ale najwyraźniej przypomniał sobie, po co w ogóle się tam znaleźliśmy i, biorąc głęboki wdech, wkroczył w ciemność. Po kilku chwilach usłyszeliśmy jego stłumiony głos.

– W porządku, możecie iść.

Night parsknęła gniewnie, ale nie musiałam jej długo przekonywać, weszła razem ze mną. Z kasztankiem Jareda było więcej problemu. Za nic w świecie nie chciał przekroczyć progu i w sumie wcale mu się nie dziwiłam. W końcu Jared wepchnął go siłą.

– Pochodnie. – Krasnał wyjął z uchwytów umieszczonych na ścianie dwie wysokie pochodnie i podał nam. Mrok trochę się rozproszył, ale atmosfera nadal była daleka od swobodnej.

Przez jakiś czas szliśmy głównym korytarzem, na ziemi leżały jeszcze resztki torów, którymi kiedyś przewożono... no właśnie, co?

– Co wydobywano w tej kopalni? – zapytałam krasnała.

– Swego czasu węgiel, ale po kilku poważnych wybuchach ludzie uznali, że

kopalnia jest przeklęta i przestali.

– A jak było naprawdę? – spytałam, dopatrując się w jego słowach drugiego dna.

– Naprawdę krasnoludy odkryły, że są tu złoża złota i wywoływały te wybuchy, żeby odstraszyć ludzi.

– Cwaniaczki – skwitowałam.

– Zbudowały własną sieć tuneli, bo złoto było położone w innej części. Dlatego jeśli będziemy szli tunelami zbudowanymi przez ludzi, raczej nie grozi nam, że się na kogoś natkniemy.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem. To była całkiem logiczna myśl.

– Czyli mówisz, że zbudowały tu sobie coś w rodzaju podziemnej osady?

– Osada to za duże słowo. Są na to zbyt tępe. Śpią zazwyczaj w jamach, a całe dnie poświęcają na wydobywanie złota albo szlachetnych kamieni.

– I co z nimi robią?

– Jedzą.

– Jasne – nie chciałam uwierzyć.

– Malice, wyglądam jakbym żartował? – zapytał z całą powagą, na jaką było go stać.

– Dobra. Czyli podsumowując, twoja żonka nie ma tu zbyt wielkich luksusów?

– Jako królowa ma.

Westchnęłam.

– W takim razie może wcale nie chce zostać uratowana? W końcu bycie królową to nie najgorsze zajęcie.

– Moja żona mnie kocha – wybuchnął. – I na pewno czeka na ratunek od dnia, w którym ją porwano! – mówił to z taką pewnością, że nie chciało mi się dalej go przekonywać. W końcu to była jego prywatna sprawa.

Tunel, którym szliśmy, robił się coraz węższy, aż musieliśmy iść gęsiego. Na początku, mamrocząc pod nosem, szedł Gordomir, za nim ciągnąc kasztanka Jared, pochód zamykałam ja wraz z Night. Potem tunel znowu się rozszerzył, ale strop obniżył się gwałtownie. Krasnalowi to nie przeszkadzało, jednak konie prawie szorowały głowami o sufit, ja musiałam porządnie się schylić, a Jared szedł niemalże zgięty wpół. Sądząc po tym, że zaczynałam się robić głodna, musiało minąć kilka godzin. Nie chciałam być zrzęдлиwa, ale musiałam zapytać.

– Daleko jeszcze?

– Skąd mam wiedzieć? – burknął krasnal.

Poważnie, zaczynałam się cieszyć, że zostawimy go w tej kopalni. Przy odrobinie szczęścia ziemne krasnale rozwałą mu głowę i nie będzie więcej zatruwał życia ludziom.

– Słyszycie to? – zapytał nagle Jared.

Przechyliłam głowę, nasłuchując i usłyszałam niewyraźny hałas.

– To coś jakby... o cholera, kroki! Ktoś tu idzie, kryć się!

Uskoczyliśmy w boczny korytarz i zgasiliśmy pochodnie. Moja klacz najwyraźniej zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji, bo stała cicho, ale kasztanek Jareda nie był już taki mądry. Chłopak gorączkowo szeptał mu coś do ucha, by go uspokoić. Dotknęłam końskiego pyska, wysyłając w jego kierunku wiązkę magii. Łatwo było nawiązać więź ze zwierzętami. Posłałam mu mentalny komunikat, że wszystko w porządku, ale musi przez chwilę stać cicho. Odprężył się i nie próbował więcej rzeć. Jared spojrział na mnie wilkiem, ale w jego spojrzeniu było więcej urazy niż podejrzliwości.

Kroki były coraz bliższe, sądząc po natężeniu hałasu, zbliżała się cała grupa krasnali. Wstrzymaliśmy oddechy, gdy przechodzili obok nas. Gordomir miał rację, były wyjątkowo szpetne. Niskie – żaden z nich nie miał więcej niż metr wzrostu, owłosione, ze skórą w kolorze ziemi. Przez chwilę zastanawiałam się, czy to ich naturalny kolor, czy po prostu miały na sobie tyle warstw brudu. Wystarczyło spojrzeć na ich fizjonomie, by wiedzieć, że nie grzeszyły inteligencją. Wyrazy ich twarzy oscylowały między bezmyślnymi, poprzez tępe do pełnych poddańczego uwielbienia. Na te ostatnie zwróciłam szczególną uwagę, bo niosły na czymś w rodzaju przenośnego, rzeźbionego tronu krasnala płci żeńskiej, który znacznie wyróżniał się na ich tle. Krasnalica miała na sobie sukienkę, która odsłaniała jej solidne, owłosione łydki i opinała wydatny biust. Długie, jasne włosy były nieco skołtunione. Pojedyncze kosmyki opadały na jej zbyt szeroką twarz, o szczerych, brązowych oczach i dużych ustach. Nie była piękna, ale miała w sobie coś władczego. Niemile przecucie ścisnęło mój żołądek. To musiała być...

– Moja żona! – Gordomir próbował uciec z naszej kryjówki, by rzucić się jej na ratunek, ale złapałam go za ramię i siłą zatrzymałam w miejscu.

– Cicho, chcesz, żeby nas zauważyli? – syknęłam. – Teraz jej nie uratujesz, jest otoczona przez grupę gruboskórych krasnali, ty jesteś sam.

Gordomir nie chciał słuchać, musiałam zdzielić go w wielką, pustą głowę. Ogluszony spojrział na mnie potulnie i nie próbował się już wyrwać. Wypuściłam go, gdy krasnale oddaliły się na bezpieczną odległość.

– Zgaduję, że teraz nie będziesz chciał nas stąd wyprowadzić – powiedziałam z przekąsem.

– Tam była moja żona – wydarł się, jakbym była ślepa, machając przy tym rękami niczym wariat. – Muszę ją ratować.

– Nie ma szans, że najpierw nas stąd wyciągniesz? – wolałam się upewnić.

– Taka okazja może się już nie powtórzyć! – Machnął ręką w kierunku, w którym odeszła grupa krasnali.

– Rozumiem, że to odpowiedź przecząca. – Westchnęłam. – No dobra, w takim razie chodźmy uratować twoją żonę.

– Naprawdę mi pomożesz? – Gordomir wydawał się zdziwiony.

– Jakbym miała inne wyjście – burknęłam.

Jared podał nam zapalone pochodnie.

– Jak to zrobiłeś? – spytałam, gapiąc się na jasny płomień.

– Ogień nie wygasł do końca. – Wzruszył ramionami.

– Plan jest taki: ty zostajesz i pilnujesz koni, my z Gordomirem idziemy odbić jego żonę.

– Twój plan jest nawet gorszy od tego, który Gordomir wymyślił z rana – zarzucił mi.

– Ktoś musi zostać. – Nie przejęłam się jego oskarżeniem. – Tylko nie zasypiaj – rzuciłam jeszcze na odchodne i razem z krasnałem ruszyliśmy w ślad za jego żoną.

Odnaleźliśmy ich dość szybko, bo nie było zbyt trudno wyśledzić hałaśliwą grupę krasnali. Dyskretnie wyjrzałam zza węgła. W szerokim tunelu kręciło się ich całe mnóstwo. Niektóre zawzięcie tłukły kilofami w ściany, inne ładowały na wózki błyszczące kamienie. Pośrodku całego tego zamieszania, na drewnianym tronie siedziała żona Gordomira. Nie było szans, żebyśmy porwali ją niezauważenie, była otoczona przez grupę krasnali, coś w rodzaju straży przybocznej.

Gordomir wychylił się tak bardzo, że stracił równowagę i runął na ziemię. Głowa królowej odwróciła się i jej spojrzenie spoczęło na chwilę na nas. Zaraz potem pociągnęłam krasnała za nogi i zniknęliśmy z jej pola widzenia.

– Co tam się dzieje? – Usłyszeliśmy czyjś gruby głos.

– Wszystko w porządku. – Czysty, kobiecy głos musiał należeć do żony Gordomira. – Właściwie, muszę na chwilę udać się za potrzebą. To będzie dłuższa potrzeba – dodała po chwili. – Zostańcie tu.

Usłyszeliśmy kroki i po kilku chwilach krasnalica stanęła przed nami w całej okazałości. Poświęciła mi zaledwie jedno krótkie spojrzenie. O wiele bardziej interesował ją jej mąż. Rzuciła mu się w ramiona i pocałowała z taką pasją, że jeśli mogłam mieć wątpliwości co do tego, czy rzeczywiście kochała Gordomira, w tamtej chwili wyparowały bezpowrotnie. Gdy w końcu oderwali się od siebie, na jej twarzy błyszczały łzy.

– Odnalazłeś mnie – wyszeptwała.

– Oczywiście – powiedział krasnal, jakby była to najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

Gdybym była innym człowiekiem, gdybym miała choć szcątkowe ślady wrażliwości, pewnie bym się wzruszyła. Tymczasem jednak odezwałam się ponagląjącym tonem:

– Nie mamy czasu. Musimy uciekać.

– Och, to niemożliwe. Nie ucieklibyśmy daleko – rzekła ze smutkiem.

– Jeśli myślisz, że teraz wypuszczę cię z rąk, to się mylisz – gorąco zapewnił Gordomir, a ja przewróciłam oczami. – Nie pozwolę ci wrócić do tej bandy brudasów. – To brzmiało rozsądniej i było bardziej w jego stylu.

– Musicie uciekać. Zaraz po mnie przyjdą. – Krasnalica mimo smutku, usiłowała nas odprawić.

– Nie ma mowy. – Jej mąż był nieugięty.

– Królowo? – Głos zza węgła zwiastował kłopoty.

– Zmiatajcie stąd – rozkazałam. – Ja się nimi zajmę.

– Ale...

– Uciekajcie. Już!

Spojrzeli na mnie po raz ostatni, odwrócili się i trzymając się za ręce, zaczęli biec ile sił w nogach, robiąc przy tym sporo hałasu.

– Królowo? – Głosów było teraz więcej. Wyrażały zaniepokojenie.

Kiedy krasnale wpadły do tunelu, w którym się ukrywałam, wolnym krokiem wyszłam im naprzeciw.

– Coś nie tak?

– Nie jesteś naszą królową. – Krasnal, który to powiedział, był największy ze wszystkich, miał nieco ponad metr wzrostu i komicznie podejrzliwy wyraz twarzy.

– Mogę być, jeśli chcecie – zaproponowałam lekkim tonem, opierając dłoń o biodro.

– Co zrobiłaś z naszą królową? – Krasnal zignorował moją propozycję i twardo zażądał odpowiedzi.

Wtedy uznałam, że czas zakończyć uprzejmą pogawędkę i sięgnęłam po magię. Zmrużyłam oczy, skupiając się na mocy, i posłałam w ich stronę potężny podmuch powietrza. Polecieli do tyłu i zwalili się na ziemię, a ja zaczęłam uciekać. Wkrótce się pozbierali i rozpoczęli pogoń, dlatego zrobiłam coś, czego wołałam uniknąć. Posłałam potężną wiązkę magii za siebie. Ogłuszający huk i mnóstwo pyłu, który posypał się ze stropu, powiedziały mi, że tunel się zawalił. Biegłam najszybciej jak mogłam, zważając na to, jak nisko był sufit. Ziemia trzęsła się niebezpiecznie pod nogami, niewielkie odłamki skał spadały mi na głowę.

Jared i para krasnali już na mnie czekali. Zdziwiłam się, widząc ich nieszczęśliwe miny.

– Co jest? Mieliście nadzieję, że nie wrócę?

– Właściwie to tak... – powiedział Gordomir, zerkając w stronę Night, ale Jared nie pozwolił mu skończyć.

– Będziemy mieli mały problem.

– Mały problem? – powtórzyłam pytająco, z niemiłym przecuciem, że będzie trochę większy, niż zapowiadają.

– Wyjścia z kopalni strzegą trolle – oznajmiła żona Gordomira. – Mówiłam, że nie uciekniemy daleko.

Spojrzałam na krasnalą z mordem w oczach.

– Wiedziałaś o tym? – spytałam z groźbą w głosie.

– Nie miałem pojęcia!

– Świetnie. Nie mamy czasu, idziemy dalej. Ty – zwróciłam się do krasnalicy – powiedz coś więcej o tych trollach.

– Nigdy ich nie widziałam, ale słyszałam opowieści. Krasnale zawarły z nimi układ. Dają im złoto, a one w zamian strzegą wyjścia.

– Wiesz, jak je pokonać?

– Nie mam pojęcia. Krasnale wyrażały się o nich z pogardą, twierdząc, że są głupie. Biorąc pod uwagę, że same nie grzeszą inteligencją, trolle muszą być chyba zidiociałe.

– W takim razie przechytrzymy je bez problemu – podsumowałam, pozwalając sobie odetchnąć wreszcie z ulgą.

Krasnalica pokręciła głową.

– Nie byłabym tego tak pewna. Z tego co słyszałam, należą do odmiany trolli kamiennych. Żywią się ogromnymi ilościami skał, w zasadzie połykają je w całości, przez co są prawie nie do pokonania. Ich skóra przypomina kamień, są niezwykle silne. No i dzięki temu, że jedzą skały, są też odporne na magię.

Cholera.

– Czyli mamy przesrane – skwitowałam.

Przez chwilę szliśmy w ciszy, każdy pogrążony we własnych, ponurych myślach. W końcu milczenie przerwał Jared.

– Może je przekupimy? Słyszałem, że trolle są strasznie chytre.

Poklepałam swoją chudą sakiewkę.

– Na to się raczej nie pokuszaj.

Sakiewka Jareda była teraz równie uboga, co moja. Zrobił zawiedzioną minę.

– A co z biżuterią? – Krasnalica zaczęła zdejmować z palców grube, złote pierścienie, potem ściągnęła z szyi ciężki wisior, a na końcu wysadzone szlachetnymi kamieniami bransolety.

Zagwizdałam przeciągle.

– Królewska biżuteria pewnie zrobi na nich większe wrażenie niż nasze drobniaki. Gorzej, jeśli okażą się nieprzekupni.

Krasnalica roześmiała się głośno. Podobnie jak jej mąż, śmiała się radośnie i bez skrępowania.

– Uwierz mi, kochana, w całej Elegestii nie znajdziesz bardziej przekupnych i łasych na błyskotki stworzeń.

To się dobrze składało, bo tak czy inaczej nie miałam zamiaru poświęcać własnych pieniędzy.

Tunel stawał się coraz szerszy i wyższy. Już nie musiałam się schylać, teraz jedynie Jared szedł odrobinę przygarbiony.

– Zbliżamy się do wyjścia – oznajmił Gordomir.

Zwolniliśmy kroku, szliśmy teraz ostrożniej, uważnie rozglądając się na boki. Wreszcie dostrzeżliśmy wyjście, ukazał nam się odległy prostokąt pomarańczowego nieba. Widok zachodzącego słońca jeszcze nigdy mnie tak nie pociągał. Wiele bym dała, by móc obserwować go teraz na powierzchni ziemi.

– Nie widzę tam nic oprócz kamieni – wyszeptał Jared. – Może zrobiły sobie przerwę?

Krasnalica pokręciła głową, powstrzymując nas.

– Patrzcie uważnie.

Wyteżyłam wzrok i ze zdumieniem odkryłam, że jeden z kamieni się porusza. Wtedy dostrzegłam też niewyraźnie zarysowaną głowę. To, co początkowo brałam za krzaczasty mech, musiało być brodą. Troll miał skórę w kolorze szarego kamienia i bez trudu potrafiłam sobie wyobrazić, że była równie twarda, na jaką wyglądała.

– Ja pójdę – oznajmiła nam. – Są przyzwyczajone do widoku krasnali, nie wiem, jak zareagowałyby na człowieka.

Dlaczego mówiła w liczbie mnogiej?

A niech mnie, inne kamienie też się poruszały.

– Idę z tobą – powiedział Gordomir, tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Jego żona wyglądała, jakby miała się klócić, ale po chwili westchnęła i ruszyła przed siebie. Trzy olbrzymie kamienie nagle ożyły na jej widok.

– Stać. – Głos, który wydobył się z wnętrza jednego z nich, był potężny, ale pozbawiony intonacji.

Krasnale zatrzymały się i żona Gordomira wyciągnęła przed siebie ręce pełne błyszczącej biżuterii. Dosłownie zobaczyłam, jak w oczach trolli zapalają się pożądliwe błyski.

– Chcielibyśmy przejść. My i przyjaciele. To nasza zapłata.

Trolle chwyciły złoto szponiastymi dłońmi i zaczęły nadgryzać je wielkimi zębami, by sprawdzić, czy jest prawdziwe.

– Iść – powiedział w końcu ten, który odezwał się na początku i odsunął się, robiąc im przejście.

Wtedy wyszliśmy z ukrycia. Na widok mój i Jareda trolle zaryczały. Krasnalica próbowała przekrzyczeć ich gniewne pomruki.

– To przyjaciele, o których mówiłam.

Trolle wyglądały na mocno wkurzone.

– Wy iść. – Pokazał wielkim paluchem na krasnale. – Oni nie.

O ile żona Gordomira wyglądała na rozdartą, o tyle on nie wahał się nawet chwili. Chwycił ją za rękę i zaczął ciągnąć w stronę wyjścia. Paskudny zdrajca.

– My też mamy zapłatę. – Jared wyciągnął swoją sakiewkę, próbując ratować sytuację.

Troll obrzucił pogardliwym spojrzeniem garść monet w jego dłoni.

– Nie – zaryczał.

Tego było zbyt wiele jak dla mnie. Wyciągnęłam jeden ze srebrnych sztyletów, podarowanych mi przez babcię.

– Bądź w gotowości – ostrzegłam Jareda.

– A to? – Podeszłam do trolla na niewielką odległość i wyciągnęłam przed siebie sztylet. – Jest srebrny.

Błyszczał się ładnie i myślę, że właśnie to przyciągnęło ich wzrok. Kiedy troll przechylił głowę, by lepiej się mu przyjrzeć, błyskawicznie zatopiłam go w jego olbrzymim brzuchu.

– Wiejemy! – zawołałam do Jareda.

Troll zdziwiony padł na kolana, przewracając się tak, że nie byłam w stanie wyciągnąć sztyletu. Klnąc w myślach na czym świat stoi, pognałam do wyjścia. Dopadliśmy go w ostatniej chwili. Olbrzymie ręce sięgały w naszym kierunku, ale cofnęły się natychmiast, gdy padły na nie ostatnie promienie zachodzącego słońca. Jasne, trolle nie przepadały za światłem słonecznym.

– Udało wam się! – wykrzyknęła krasnalica na nasz widok. Wyglądała na autentycznie ucieszoną, czego nie dało się powiedzieć o jej mężu. Nie patrzył nam w oczy, sprawiał wrażenie... zawstydzonego. I całkiem słusznie.

– Tak, udało się – powiedziałam i wyczerpana padłam na trawę.

Udało się, ale jakim kosztem? Na zawsze straciłam sztylet babci. To była jedna z niewielu pamiątek, jakie po niej miałam, nie licząc miecza, który czekał w wychodku na mój powrót i bliźniaczego sztyletu, który miałam przy sobie. Zostało mi po niej tak niewiele... a teraz miałam jeszcze mniej. Chciało mi się wyć z poczucia bezsilności. Jakkolwiek była to dla mnie najcenniejsza z rodzinnych pamiątek, nie byłam na tyle głupia, by po nią wrócić. To równałoby się z samobójstwem, a ja nie zarobiłam jeszcze nawet swoich stu tysięcy, więc na tamten świat mi się nie spieszyło.

Night jakby wyczuwając moje uczucia, podeszła i trąciła mnie w ramię długim, czarnym pyskiem. Zaczęłam bezmyślnie wodzić po nim palcami.

– Malice? – Stał przede mną Gordomir.

Zdjął z głowy swoją śmieszoną czapkę, ukazując szopę kręconych, lekko rudawych włosów. Podniosłam na niego wzrok.

– To, co zrobiłaś... – zaczął niepewnie. – Ja... będę ci wdzięczy do końca życia.

– Oboje będziemy – wtrąciła jego żona, chwytając go za rękę.

– Wiem, że mój dług jest ogromny. I naprawdę mam szczerą nadzieję, że któregoś dnia będę mógł go spłacić.

– Żegnasz się?

– Właściwie to tak. Jeśli chcesz dalej podróżować w tym samym kierunku,

musisz odbić jakieś trzy kilometry na zachód, wtedy wrócisz na trakt. My udajemy się w przeciwnym kierunku. Wracamy do naszej osady.

– Teraz? Za pół godziny zrobi się ciemno.

– Wiem, ale nie będziemy dłużej nadużywać twojej dobroci. Poza tym chcemy jak najszybciej wrócić do domu.

Wzruszyłam ramionami. Tak naprawdę nie miałam teraz ochoty na towarzystwo krasnali, zbyt wiele straciłam, pomagając im.

– Jasne. – Machnęłam ręką. – Szerokiej drogi.

– Chciałam ci coś dać – powiedziała nagle krasnalica. – Ocaliłam to przed trollami. – Wyciągnęła w moim kierunku niewielki, złoty pierścionek. – Nie dostałam go od ziemnych krasnali, był mój jeszcze zanim mnie porwali. Podarował mi go Gordomir z okazji naszych zaręczyn.

Wzięłam go do ręki i przez chwilę obracałam w palcach. Był szeroki, zmieściłby mi się na kciuk i widać było, że został wykonany przez kogoś, kto znał się na swoim fachu. Misternie wykonany, kształtem przypominał gałązkę wijącego się bluszczu.

– Chciałbym, żebyś go zachowała na pamiątkę. Żebyś za każdym razem, gdy na niego spojrzysz, wiedziała, że jesteśmy razem gdzieś tam w Elegestii, ciągle wdzięczni za to, że udało ci się z powrotem nas połączyć.

Wsunęłam pierścionek na prawy kciuk.

– Dziękuję.

– To my dziękujemy. Żegnaj, Malice.

Odeszli, trzymając się za ręce. Z daleka wyglądali trochę jak para dzieciaków bawiących się w małżeństwo. Kiedy w końcu zniknęli nam z oczu, podniosłam się z trawy.

– Myślisz, że damy radę pokonać jeszcze te trzy kilometry, zanim się ściemni? – spytałam Jareda.

– Jasne, że tak.

Wsiadliśmy na konie i skierowaliśmy się na zachód.

Mimo że prawie przez cały dzień nie miałam nic w ustach, apetyt mi nie dopisywał. Właściwie to grzebałam łyżką w misce, bawiąc się jej zawartością.

– Będiesz to jadła? – Jared oczywiście nie mógł sobie darować, ale wyjątkowo nie chciało mi się nawet go upominać. Bez słowa oddałam mu miskę.

– O co chodzi? – zapytał, kiedy skończył. – Nie widziałem cię jeszcze tak przybitej.

Usiadł obok mnie i przypatrywał mi się uważnie, jakby z mojej twarzy chciał wyczytać odpowiedź. Westchnęłam.

– Ten srebrny sztylet, który wbiłam trollowi w brzuch, nie był zwyczajną

bronią. To znaczy był, ale miał dla mnie dużą wartość.

– Sentymentalną? – zapytał domyślnie.

– Właśnie, sentymentalną – potwierdziłam. – Dostałam go od babci.

– Tej, która nie żyje?

– Masz dobrą pamięć – zauważyłam. – Tak, od niej. To była jedna z niewielu pamiątek, jakie mi po niej zostały. A teraz mają go jakieś paskudne trolle.

– Opowiesz mi o niej?

Zazwyczaj nie byłam skłonna do zwierzeń, ale minęło tyle czasu, a ja tak naprawdę nigdy z nikim nie rozmawiałam na ten temat.

– Babcia była świetną kobietą. Jako jedyna z całej rodziny zawsze mnie w pełni rozumiała i akceptowała.

Ona też jako pierwsza pochwaliła moje bokserskie zapędy. Wydawała się rozumieć moją niechęć do gatunku ludzkiego, nigdy nie wykazywała zdziwienia, gdy opowiadałam jej o moich nieprawdopodobnych wyczynach i wreszcie to ona zapisała mnie do Akademii Magii. Zrobiła to na długo przed tym, jak w końcu do niej trafiłam. Z perspektywy czasu mogłam stwierdzić, że zapewne wiedziała o magii i czarach, nie zdziwiłabym się, gdyby sama była wyrzuconą z Akademii wiedźmą. Nigdy jednak o tym nie wspominała i nie dała mi najmniejszego powodu, bym miała ją o to podejrzewać. Ale tego wszystkiego nie powiedziałam na głos.

– Nie byłam nawet na jej pogrzebie, wiesz? – Przez ton mojego głosu przebijała gorycz. – Mój ojciec, a jej syn, nie wziął mnie ze sobą. Miałam wtedy dwanaście lat, ale on nie uznał za stosowne, żeby mnie zabrać.

– Pewnie czujesz do niego żal z tego powodu. – O dziwo, Jared wydawał się w pełni mnie rozumieć.

Wzruszyłam ramionami.

– Teraz to i tak już nieważne. Nie żyje, podobnie jak babcia.

– A twoja mama? – W jego głosie czaiło się współczucie, którego nie chciałam.

– Też nie żyje, razem z ojcem zginęli w wypadku.

– Przykro mi, choć nie mogę powiedzieć, że wiem, co czujesz. Co prawda nie mam już dziadków, ale moi rodzice żyją i mają się dobrze. I pewnie będą cholernie wkurzeni, kiedy wreszcie wrócę do domu – dodał z krzywym uśmiechem.

– Czyli przyznajesz, że mogą cię szukać?

– Nie sądzę. – Próbował patrzeć mi w oczy, ale wzrok uciekał mu w lewo.

Tego dnia nie miałam jednak nastroju na wypytywanie. Podniosłam się sprzed ogniska i poczłapałam po koce.

– Jutro długi dzień przed nami. Idziemy spać. – Definitywnie zakończyłam naszą noc zwierzeń.

ROZDZIAŁ 11

Następny dzień wyglądał dokładnie tak, jak to sobie planowałam, będąc jeszcze w domu. Jechaliśmy od rana do wieczora, napotykając po drodze jedynie kilku pojedynczych jeźdźców. Pokonaliśmy przyzwoitą odległość i spoglądając na mapę, obliczyłam w myślach, że jeżeli dalej będziemy poruszać się takim tempem, dotrzemy do Warowni O'ren w ciągu trzech dni. To z kolei motywowało mnie do odbycia pożegnalnej rozmowy z Jaredem. Przyzwyczyłam się jednak do jego obecności do tego stopnia, że zwlekałam z nią do ostatniej chwili. Po ostatnim wieczorze wytworzyło się między nami jakieś milczące porozumienie, atmosfera była wręcz przyjazna. Poza tym coś odciągnęło moją uwagę od tej rozmowy.

Jechaliśmy. Przed nami jak zwykle rozciągał się monotony krajobraz, teren był płaski jak naleśnik. Patrzyłam gdzieś na horyzont, ale tylko dlatego, że nie miałam lepszej alternatywy. W pewnym momencie zauważyłam jednak jakąś zmianę: albo gdzieś w oddali zbierały się czarne chmury, albo ziemia była spalona. Z tej odległości nie potrafiłam jeszcze tego określić.

– Co to? – spytałam Jareda.

Zmrużył oczy, patrząc w dal. Nie wyglądał w tamtym momencie na tak młodego, za jakiego go miałam.

– Zobaczysz.

Uniosłam brwi. Nie spodobała mi się taka odpowiedź.

– To żadne zagrożenie.

Skoro tak, jechałam dalej. Im bliżej się znajdowaliśmy, tym wyraźniej widziałam, że to nie chmury, tylko czarna ziemia. I bynajmniej nie chodziło o czarnoziemy.

W końcu dojechaliśmy do krawędzi. Night zatrzymała się dokładnie w miejscu, gdzie trawa przestawała rosnąć, a trakt gwałtownie się urywał. Dalej nie było nic, oprócz spieczonej gleby. Zarżała, dając mi do zrozumienia, że nie ma ochoty tamtędy iść. Ja też nie miałam. To miejsce było martwe i jakaś część mnie miała wrażenie, że żywi nie powinni przekraczać tej naturalnej granicy.

– Co to za miejsce? – zapytałam, choć domyślałam się odpowiedzi.

– Jakież sto lat temu odbyła się tu wielka bitwa.

– Jaka bitwa?

Jared wzruszył ramionami.

– Jedna z wielu.

– Chcesz powiedzieć, że w Elegestii jest więcej takich miejsc?

Spojrzał na mnie nieco zdziwiony.

– Chcesz powiedzieć, że to pierwsze pole bitwy, które oglądasz?

Uniosłam brwi. To ja tu byłam od zadawania pytań.

– Tak, jest ich więcej. O wiele więcej, niektóre większe od tego.

– Nie ma innej drogi?

– To zależy. Jeśli chcesz stracić dwa dni, możemy je ominąć.

Zacisnęłam w pięści grzywę Night. Nikt z nas nie miał ochoty na wycieczkę po wymarłym polu bitwy, ale dwa dni... Nie miałam zamiaru niepotrzebnie przedłużać swojego pobytu w Elegestii. Ścisnęłam końskie boki piętami.

– Jedziemy.

Night spieszyła się tak bardzo, że w miarę szybko zostawiliśmy wymarłe pole bitwy za sobą. Potem jechaliśmy już bez żadnych przeszkód. Miałam szczerą nadzieję, że tak będzie wyglądała reszta mojej podróży, ale jak wiadomo, nadzieja matką głupich, o ojcu nawet nie wspominając. Wędrując z Warenem budziliśmy postrach, z krasnałem – zainteresowanie, a jadąc w dwójkę stanowiliśmy wyzwanie. Z jednej strony dwoje ludzi trudniej było napaść niż pojedynczego jeźdźca, ale z drugiej, w przypadku ataku ze strony większej liczby osób, nie stanowiliśmy poważnego zagrożenia. Tak zapewne pomyślała banda rozbójników, która zablokowała nam drogę. Na trakcie przed nami stanęło trzech uzbrojonych w miecze mężczyzn, kolejni wynurzali się z krzaków. Zatrzymałam konia i rzuciłam ciężkie spojrzenie Jaredowi. Zanosiło się na rzeź.

– Z drogi! – krzyknęłam.

– Raczej nie, paniusiu. Lepiej zsiądź z konia – przemówił jeden z rozbójników, obnażając przede mną olbrzymi miecz. Jeśli miał nadzieję mnie zastraszyć, nie udało mu się.

– Raczej nie, brudasie – odpowiedziałam w tym samym tonie i uśmiechając się słodko, ścisnęłam boki Night piętami, kierując ją prosto na stojących na naszej drodze mężczyzn. W lot pojechała, o co mi chodziło i wystartowała z dużą prędkością.

Powietrze przeciął ostry świst i długa strzała wbiła się w pierś Night tak głęboko, że wystawał z niej jedynie pierzasty bełt. Mimo tego nie zwolniła kroku i wpadła na mężczyzn, taranując ich i rozbijając czaszki bezlitosnymi kopytami. Dopiero gdy niemalże wbiła ich w glebę, zachwiała się i z czerwoną pianą na pysku padła na ziemię. Widząc jej agonię, poczułam, że ogarnia mnie żądza mordy. Pognałam w stronę krzaków, z których padł strzał i odkryłam skulonego łucznika. Nie dałam mu żadnych szans na obronę, zero czasu na reakcję. Cięłam sztyletem, ciemna krew buchnęła z jego gardła, a on osunął się w piach.

– Kto następny? – wykrzyknęłam z szaleństwem w oczach.

Chętnych było wielu. Nie dbałam już dłużej o to, czy ktoś zauważy, że posługuję się magią. Zabijałam każdego, kto znalazł się w zasięgu moich pięści, magii, czy sztyletu.

Gdy dostrzegłam, że jeden z rozbójników pochyla się nad bezbronnym

Jaredem, leżącym na ziemi, bez wahania wypuściłam z dłoni jedno z ostrzy. Poszybowało w powietrzu, by zatopić się w ciele mężczyzny.

Wszyscy ci rośli faceci najwyraźniej nie mogli znieść myśli, że jedna kobieta kładzie ich pokotem, jednego po drugim, dlatego zamiast rozsądnie wziąć nogi za pas, stawali ze mną do walki i przegrywali.

Fakt, że zabili mojego konia, rozsierdził mnie do tego stopnia, że bez wahania odpierałam każdy atak i nie dawałam się zaskoczyć, choć nacierali ze wszystkich stron. Moja percepcja jakby się poszerzyła, dostrzegałam każdy najmniejszy ruch przeciwników i blokowałam wszystkie ich ataki. Wściekłość dodawała mi sił, nie odczuwałam zmęczenia, przeciwnie – czułam, że byłam w stanie walczyć z nimi bez końca, a przynajmniej do momentu, gdy zabiję wszystkich.

Mój bitewny amok zakończył się, gdy dostrzegłam, że brakło mi przeciwników. Zaczęłam szukać wzrokiem Jareda i spotkała mnie niemiła niespodzianka, gdy ujrzałam go w żelaznym uścisku jednego z rozbójników. Trzymał nóż na jego gardle i bynajmniej nie starał się być delikatny. Zauważyłam stróżkę krwi ciekącą po jego szyi.

– Poddaj się albo chłopak zginie.

Długą chwilę mierzyłam go chłodnym spojrzeniem, w końcu wzruszyłam nonszalancko ramionami.

– Świetnie, zabij go – powiedziałam obojętnie, nie zwracając uwagi na Jareda, który patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

Blefowałam. Jeśli tylko zwiększyłby nacisk noża, za pomocą magii rozerwałabym go na strzępy. Wiedziałam, że byłam do tego zdolna. W tej krainie miałam olbrzymie możliwości. Wyglądałam jednak jak oaza spokoju, rozbójnik uwierzył, że nie zależy mi na życiu chłopaka.

– Nie zrobię tego. – Pchnął go w moją stronę i zagwizdał przeciągle na palcach.

Wokół nas zaroilo się od kolejnych zbójów, wypełzli z krzaków niczym robaki z ziemi. Było ich zbyt wielu. Otoczyli nas ze wszystkich stron.

Poczułam potężne uderzenie w głowę i ujrzałam gwiazdy przed oczami, identyczne jak te, które widywały postacie z kreskówek, a potem osunęłam się w ciemność.

Obudziłam się w czymś, co musiało być starą piwnicą. W powietrzu dominował zatęchły zapach pleśni i niewywietrzonych pomieszczeń. Moja dłoń automatycznie powędrowała w stronę obolałej głowy, wtedy odkryłam, że miałam związane ręce. Mało tego, byłam przykuta do ściany. Włosy opadły mi na twarz, gdy szarpałam łańcuchami, bezskutecznie próbując się uwolnić.

– Szkoda zachodu, nie rozerwiesz ich siłą ani magią – odezwał się delikatny głos z ciemności.

Wyteżyłam wzrok, ale niczego nie dostrzegłam.

– A ty kto? – burknęłam.

– Współwięzień.

– Wybacz, ale ja tu długo nie zabawię – rzuciłam i podjęłam kolejną próbę uwolnienia się. Głos miał rację, nie byłam w stanie rozerwać kajdan siłą, ale od czego były czary? Zamknęłam oczy i rozluźniłam się, próbując wyczuć unoszącą się w powietrzu magię. Moje zdumienie, gdy jej nie wyczułam, było ogromne.

– Co do...?

– Mówiłem. – W bezcielesnym głosie pobrzmiwał triumf. – Magia też nie zadziała. To żelastwo ją uziemia.

– Słuchaj no, panie wszystkowiedzący, nie wrzucili tu razem ze mną chłopaka? – Po raz pierwszy pomyślałam o Jaredzie.

– Nie. Tylko ciebie.

Cholera. Zabili go? Ze zdumieniem odkryłam, że ta myśl była mi wysoce nieprzyjemna. Czułam przejmujący smutek na wspomnienie agonii mojej klaczy, jeśli miałabym do tego dodać śmierć Jareda... wiedziałam, że zrównam tę budę z ziemią w tej samej chwili, w której zyskam ku temu okazję.

– Co to za miejsce?

– Kryjówka tych rabusiów, ma się rozumieć. Jeśli pytasz *stricte* o miejsce, w którym się znajdujemy, są to lochy, choć, jak na mój gust, urządzone nieco prowizorycznie.

Moje brwi mimowolnie powędrowały w górę. Wszystko wskazywało na to, że trafiłam wreszcie na kogoś bardziej elokwentnego niż trolle.

– Jak się tu znalazłeś? – zapytałam po krótkiej chwili.

– Tak samo jak ty. Podróżowałem traktem, kiedy na mnie napadli. Ograbili mnie ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość, a potem wrzucili do tej celi w samej bieliźnie – powiedział gorzko.

– W takim razie chyba powinnam się cieszyć, że mnie nie rozebrali.

– Wybacz nieuprzejmość, ale twoje ubranie nie jest warte nawet funta kłaków.

Sapnęłam z oburzenia, słysząc jego pogardliwy ton. Co on miał do moich ciuchów? Spodnie może i były wytarte, ale wygodne, podobnie jak luźny podkoszulek. Nie miałam pojęcia, co takiego musiał mieć na sobie, że go rozebrali. Przecież w tej krainie wszyscy chodzą w najgorszych łachmanach.

– Ubierasz się w jedwabie? – zagadnęłam, pozorując ciekawość, choć w rzeczywistości chciałam dowiedzieć się czegoś, dzięki czemu mogłabym mu dopiec.

– Oczywiście – odpowiedział tonem pełnym wyższości. – Nie jestem

wieśniakiem.

– Domyśliłam się po sposobie, w jaki się wypowiadasz. Ale jednego nie jestem pewna: twój głos jest taki delikatny, że wręcz niewieści. Mimo tego wypowiadasz się w rodzaju męskim... – zrobiłam pauzę i tak, jak się spodziewałam, usłyszałam pełne oburzenia parsknięcie.

– Jestem mężczyzną, a jeśli śmiesz w to wątpić, nie będę dłużej zaszczycił cię rozmową! Nie wiem nawet, po co się do ciebie odezwałem. Jesteś zwykłą prostytutką.

Po tym oświadczeniu zamilkł na dobre. Nie cieszyłam się długo swoim małym zwycięstwem. Chciałam zadać mu jeszcze kilka pytań, ale uparcie mnie ignorował. Po kilku równie uprzejmych, jak i nieudanych próbach nawiązania rozmowy, nie wytrzymałam.

– Świetnie, obrażaj się, ale nie miej potem pretensji, że ktoś uważa cię za babę.

– Nie jestem babą! – Irytacja zupełnie nie pasowała do jego subtelnego głosu.

– Wierzę ci na słowo – powiedziałam ugodowo. – A teraz powiedz mi, czy ktoś po nas przyjdzie, czy będą nas tu trzymać, aż umrzemy z głodu?

– Przynoszą jedzenie raz dziennie, choć moim zdaniem te posiłki nie są godne nawet zwierząt.

– Długo cię już tu trzymają?

– Nie jestem w stanie dokładnie określić, ale sądząc po tym, ile razy przynosili mi jedzenie, myślę, że moja niewola może trwać już drugi tydzień.

Przewróciłam oczami na jego przydługi wywód. Jakby nie mógł powiedzieć tego od razu.

– I przez cały ten czas nie wymyśliłeś, jak się stąd wydostać?

– To niemożliwe – odpowiedział wyniośle.

Nim zdążył powiedzieć coś jeszcze, drzwi otwały się z przeraźliwym skrzypieniem. Do środka wszedł ktoś z zapaloną pochodnią w dłoni i wreszcie ujrzałam jakieś szczegóły pomieszczenia, w którym wylądowałam. Jak przypuszczałam, musiała to być piwnica. Dojrzałam potężne, zardzewiałe łańcuchy, którymi byłam przykuta do kamiennej ściany. Tak jak powiedział mój rozmówca, te lochy były bardzo prowizoryczne. Na przeciwległym końcu pomieszczenia dostrzegłam blady kształt, również skuty kajdanami. Dopiero wtedy podniosłam głowę, by spojrzeć na osobę, która weszła do środka – i mało nie padłam ze zdumienia, gdy ujrzałam wysoką, szczupłą sylwetkę Jareda.

– Co ty tu robisz?! – Nie byłam w stanie zapanować nad głosem i mimowolnie na niego krzyknęłam.

– On jest teraz z nami – odezwał się złośliwy głos i zza ramienia chłopaka wychynął ten sam rozbójnik, który wcześniej trzymał mu nóż na gardle. – Po tym

jak tak beztrąsko podeszłaś do tego, że mogłem go zabić, przyjął naszą propozycję, gdy zaproponowaliśmy mu, by do nas dołączył.

Spojrzałam na Jareda, ale jego twarz wyrażała doskonałą obojętność. Nachylił się nade mną, bez słowa podając mi kawałek suchego chleba oraz metalowy kubek ze stęchlą wodą w środku. Czekałam, aż coś powie, wyrazi rozczarowanie moim postępkami, ale odwrócił się i odszedł bez słowa, by tą samą porcją jedzenia podać mojemu towarzyszkowi niedoli.

– Co zamierzacie ze mną zrobić? – spytałam wyzywającym tonem.

– O to się nie musisz martwić, paniusiu. Nasz dowódca ma wobec ciebie plany. – Roześmiał się chrapliwie, jakby jego słowa były kwintesencją dowcipu.

– Cudownie. Oby tylko zaczął je szybko realizować, bo zdrętwiał mi tyłek od siedzenia na zimnej podłodze – sarknęłam.

– Przekażę, że się niecierpliwisz – obiecał ze złowieszczym błyskiem w oku, aż zrobiło mi się nieswojo, choć bynajmniej tego nie okazałam, obojętnie obserwując, jak zabiera ze sobą Jareda i zatrzaskuje drzwi, które były naszą jedyną przepustką do wolności. Przeklełam na brak okien w tym niewielkim pomieszczeniu. Gdy wyszli, zabierając ze sobą pochodnie, znowu zrobiło się ciemno jak w grobie. Spod ściany doszły mnie odgłosy niezbyt subtelnego mlaskania i głośnego przełykania. Głód okazał się najwyraźniej silniejszy niż duma własna mojego towarzysza.

– Nie chciałbym być na twoim miejscu – odezwał się wreszcie, gdy szybko pochłonął swój kawałek chleba.

– A to czemu? Ja przynajmniej mam jakieś widoki na opuszczenie tej śmierdzącej dziury. Jak tylko mnie uwolnią, zgotuję im rzeź.

Perlisy śmiech rozbrzmiał w ciemności, przypominał mi dźwięk srebrzystych dzwoneczków.

– Nie pozwolą ci użyć magii.

Zasępiłam się, bo brzmiał pewnie, zupełnie jakby...

– Próbowaleś?

– Owszem, bez skutku. Wśród nich musi być przynajmniej jeden mag, który skutecznie blokuje jakiegokolwiek użycie czarów na terenie ich kryjówek.

Uśmiechnęłam się szeroko, choć nie był w stanie tego dostrzec.

– Na szczęście mam jeszcze pięści.

Z ciemności dobiegło mnie wyniosłe prychnięcie.

– To niedopuszczalne, żeby kobieta używała pięści – oznajmił zniesmaczony. – Kobieta powinna zachwycać urodą, kusić powabem, cieszyć męskie oko, a nie walczyć, w dodatku za pomocą pięści. – Choć go nie widziałam, instynktownie czułam, że na jego obliczu gości właśnie głębokie zgorzelenie.

– Skąd ty się urwałeś? – zapytałam bardziej rozbawiona niż obrażona.

– To cię śmieszy?

– Ani trochę – odpowiedziałam poważnie. – Tak w ogóle, jestem Malice – przedstawiłam się bardziej dlatego, że pragnęłam poznać imię mojego tajemniczego współwzięnia, niż uczynić zadość wymogom dobrego wychowania.

– Norfavell Złotousty – powiedział z tą samą dumą i godnością, z jaką przedstawił mi się Gordomir.

Cholera, jakby nie mógł poczekać, aż skończę pić. Zakrztusiłam się i cała woda wyleciała mi przez nos. Zaczęłam kasłać niczym umierający gruźlik, mało brakło, a wyplułabym własne płuca.

– Przepraszam, możesz powtórzyć? – poprosiłam, gdy już się uspokoiłam i grzbietem dłoni otarłam łzy z twarzy.

– Nazywam się Norfavell Złotousty – powtórzył, wyraźnie obrażony. – Ale ty nie jesteś godna, by znać moje imię.

– Jesteś krasnalem? – wypaliłam, nie zwracając uwagi na jego fochy.

– Krasnalem?! – Po raz pierwszy jego głos stał się głośniejszy, był tak oburzony, że prawie wykrzyczał to słowo. – Jak śmiesz nazywać mnie krasnalem?! Żyje już na tym świecie bardzo długo, ale nigdy nie spotkała mnie podobna zniewaga! Nikt nigdy nie porównał mnie do krasnala! To takie poniżające. Gdybyśmy nie byli uwięzieni, wyzwałbym cię na pojedynek za tę zniewagę i odciąłbym ci głowę, nie zważając, że jesteś kobietą.

Słuchałam jego monologu jednym uchem.

– Skończyłeś?

– Czy skończyłem? Jak śmiesz tak się do mnie zwracać, marny człowieku?!

– Oho, czyli nie jesteś człowiekiem – podchwyciłam.

– Oczywiście, że nie jestem człowiekiem – zawołał, równie oburzony jak wtedy, gdy zapytałam, czy jest krasnalem.

– Nie jesteś człowiekiem, nie jesteś krasnalem – wyliczałam na palcach. – Trolliem też raczej nie, bo byś się tu nie zmieścił...

Na wzmiankę o trollu Norfavell o mało nie dostał apopleksji.

– Troll! – Niemal wypluł to słowo. – Jak mogłaś choć przez chwilę przypuszczać, że jestem tym przebrzydłym stworzeniem?!

Ta dyskusja zaczynała mnie powoli męczyć. Egzaltacja Norfavella działała mi na nerwy i czułam, że jeszcze kilka takich okrzyków, a nie wytrzymam i nie zważając na łańcuchy, zrobię mu krzywdę.

– Więc oszczędź mi fatygi i oświeć mnie. Czym u diabła jesteś?

– Jestem elfem. – Znowu ten dumny ton, prawie jakby oznajmiał, że jest bogiem. Jego zadowolenie z siebie było niemal namacalne.

– Nigdy nie spotkałam żadnego elfa.

– Bo nie byłaś tego godna!

– Ty jesteś pierwszym, jak to o tobie świadczy?

– Nie będę kontynuował tej rozmowy – zaperzył się i zamilkł zupełnie.

I dobrze, nie miałam zamiaru słuchać dłużej jego irytującego, słodkiego głosu. Wyciągnęłam się na podłodze i oddałam rozmyślaniom. Nie mogłam uwierzyć, że Jared faktycznie przyłączył się do tej zgrai. Nie wiedział, że blefowałam? Musiałam być lepszą aktorką, niż przypuszczałam. Nabrałam zbója, ale nie sądziłam, że Jared również w to uwierzy. Jeśli rzeczywiście był teraz po ich stronie i pragnął mojej śmierci, miałam przesrane.

Mijały kolejne godziny, robiło się coraz zimniej, a ja z każdą chwilą byłam bardziej zirytowana. Fakt, że musiałam siedzieć w tej przeklętej piwnicy, przykuta do ściany żelaznymi łańcuchami, był dla mnie równie uwłaczający, jak dla elfa to, że nazwałam go krasnałem. Nie mogłam znieść bezczynności, nie mogłam znieść, że ktoś więzi mnie wbrew mojej woli. Tym bardziej, że ten ktoś zamordował moją piękną klacz. Przez okres naszej wspólnej wędrówki zdążyłam się do niej przywiązać może nie bardziej, ale w równym stopniu co do mojego Kawasaki. Tak jak nie mogłabym ręczyć za siebie, gdyby ktoś choć zarysował mój motor, tak śmierć Night podziałała na mnie jak uderzenie tępym narzędziem w głowę. Ciągle nie mogłam uwierzyć, że już nigdy jej nie dosiędę, że nigdy nie poklepię jej po pełnym gracji pysku, że nigdy nie zobaczę już, jak wybija komuś zęby jednym, celnym uderzeniem twardego jak stal kopyta. Fakt, że jej morderca skończył marnie, pocieszał mnie tylko odrobinę.

Nie wiedziałam, ile czasu minęło, ale podejrzewałam, że cała doba, bo drzwi otworzyły się po raz kolejny i do lochu wszedł Jared z tym samym mężczyzną co poprzednio. Zmrużyłam oczy, bo zdążyłam już przyzwycząć się do całkowitej ciemności.

– Obiadek – zawołał wesóło mężczyzna, jak zakładałam, głównie po to, żeby zdenerwować i jeszcze bardziej upokorzyć elfa.

Próbowałam złapać spojrzenie Jareda, ale uparcie patrzył w inną stronę. Do tego stopnia starał się unikać mojego widoku, że potknął się i mój kawałek chleba wylądował o stopę dalej, niż byłam w stanie sięgnąć zakutą ręką.

– Mógłbyś? – Wymownie potrząsnęłam kajdanami.

Schylił się i przez chwilę jego usta znalazły się tuż obok mojego ucha.

– Uratuję cię – wyszeptał tak cicho, że nie byłam pewna, czy sobie tego nie wyobraziłam.

Chwilę później stał już nade mną i nie patrząc mi w oczy, wyciągał w moim kierunku rękę z zabrudzonym kawałkiem chleba. Usilnie starałam się pochwycić jego spojrzenie, żeby upewnić się, że to, co usłyszałam, nie było jedynie moim pobożnym życzeniem, niestety nie zwracał na mnie uwagi. Stał obok swojego nowego szefa i zaczął wpatrywać się uważnie w podłogę, jakby szary beton był dziełem sztuki.

– Nasz dowódca niedługo będzie chciał cię widzieć, lepiej się przygotuj – oznajmił mi zbir i zarechotał złośliwie.

– Powinam przywdziać jakieś powabne ciuszki? A może wziąć przedtem kąpiel, żebym była czysta i pachnąca?

– Przygotuj się mentalnie – rzucił to ostrzeżenie i wyszedł, zabierając ze sobą Jareda. Co to miało znaczyć? Nie miałam pojęcia, ale brzmiało złowieszczo i nie podobało mi się ani trochę.

Jakiś czas później drzwi otworzyły się po raz kolejny, ale tym razem stanęło w nich jedynie dwóch rozbójników, nigdzie nie widziałam Jareda. Chwycili mnie za ramiona i postawili na równe nogi. Myślałam, że zdejną mi wreszcie to cholerne żelastwo i będę mogła poczęstować ich moim prawym sierpowym, ale nic z tego. Odczepili łańcuchy od ściany i popchnęli mnie w stronę wyjścia.

– No dajcie spokój, mam się z tym włączyć? – Kajdany ważyły chyba z tonę. Odpowiedzieli niewzruszonymi spojrzeniami i, nie siląc się na delikatność, pchali mnie dalej. Widocznie nie miałam w ich małym półświatku statusu gwiazdy po tym, jak zabiłam połowę ich kumpli.

Żeby dostać się na parter, musieliśmy precyzyjnie przycisnąć się przez wąski korytarzyk. Schody były strome, łańcuchy ciągnęły mnie w dół i kilka razy byłam o włos od upadku. Nie miałam szans na ucieczkę. Czułam na karku gorące oddechy obu mężczyzn, podążali zaledwie pół kroku za mną. Nie wiedziałam, co znajduje się u góry.

Przy drzwiach czekało jeszcze więcej rozbójników.

– Aż tak się boicie? – spytałam, mimo woli rozbawiona.

Moje beztrioskie podejście chyba im się nie spodobało, bo zaliczyłam bolesne uderzenie w bok.

– Damski bokser – mruknęłam pod nosem i ruszyłam dalej, nie siląc się więcej na pogawędkę. Przeprowadzili mnie przez kilka obskurnych pomieszczeń, w których zauważyłam kolejnych rozbójników. Przeważnie siedzieli przy niewielkich stolikach, namiętnie grając w karty, dostrzegłam też kilku, którzy leżeli na śmierdzących moczem siennikach. Całe to miejsce zarastało brudem. Dosłownie. Podeszwy kleiły mi się do podłogi, nie chciałam nawet myśleć, co na niej zalegało.

Po drodze dostrzegłam wiele twarzy, na wszystkich malowało się jedno uczucie – nienawiść. Naprawdę, nie byłam ulubienicą tłumów.

Wreszcie otworzyli przede mną duże, drewniane drzwi i wepchnęli mnie środka. Usłyszałam, jak je zatraskują i nagle zostałam sama. W pierwszej chwili pomyślałam, że zmienili mi celę, ale jak tylko rozejrzałam się po ogromnym pomieszczeniu, wiedziałam, że się myliłam. Patrząc na niesamowicie długi stół i ławy, wysnułam wniosek, że najprawdopodobniej znajdowałam się w sali, w której jadalni. U szczytu stołu, na rzeźbionym krześle siedział mężczyzna.

– Witaj – odezwał się głębokim, nieco zachrypniętym głosem.

Podeszłam bliżej i dostrzegłam, że ma na sobie brązowy kaftan, a jego szacowne cztery litery spoczywają na licznych futrach. Ciekawe, ile biednych rysiów zginęło, żeby jemu nie drętwiał tyłek.

– Czyli ty tu rządzisz – wypowiedziałam na głos oczywisty wniosek.

– Tak jest. Wszyscy ci mężczyźni, których widziałas, podlegają mojej władzy.

– Imponujące.

Mężczyzna zmrużył oczy, patrząc się na mnie groźnie. Zachciało mi się śmiać. W ten sposób próbował mnie zastraszyć? Już miałam roześmiać mu się w twarz, gdy wstał. Górował nade mną, był wielki niczym troll. W zasadzie nie powinnam się dziwić, jak inaczej utrzymałby w ryzach taką bandę? Jego twarz, choć oszpecona kilkoma bliznami, mogła nawet wydawać się przystojna. W tamtym momencie, gdy wykrzywił się groźnie, patrząc na mnie spod gniewnie zmarszczonych brwi, daleka byłam od doceniania jego urody.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie, bo drugi raz nie będę powtarzał – powiedział cicho, co było nawet bardziej przerażające, niż gdyby wykrzyczał mi to prosto do ucha. – Widziałem, jak walczyłaś. Zdobyłaś moje uznanie. – Skinął łaskawie dłonią, siadając z powrotem. – W pojedynkę wykończyłaś dziesiątki moich ludzi. Dlatego mam dla ciebie propozycję.

– Słucham uważnie. – Znudziło mi się stanie, dlatego usiadłam na stole, kładąc nogi na ławie. Obrzucił mnie spojrzeniem, ale nie skomentował.

– Zostań moją małżonką.

Mało brakło, a spadłabym ze stołu. Wszystkiego się spodziewałam, ale czegoś takiego?

– Że co? – spytałam mało elokwentnie.

– Zostań moją małżonką – powtórzył spokojnie. – Razem moglibyśmy sprawić, że ta banda zwykłych rabusiów przekształciłaby się w coś znacznie groźniejszego. Jeśli weźmiesz ze mną rytualny ślub, będziemy mieli równe prawa. Staniesz się ich królową.

– A ty będziesz moim królem?

Nie potrafiłam ogarnąć jego słów umysłem, to co mówił, było zbyt irracjonalne, wprost nie mieściło mi się w głowie. Koleś, którego widziałam na oczy po raz pierwszy, proponował mi małżeństwo i to nie byle jakie, bo rytualne, obiecując, że zyskam po nim status królowej. Nic dziwnego, że było mnie stać tylko na głupie komentarze.

– Owszem, a ty moją królową.

Gapiałam się na niego dłuższą chwilę, choć doskonale wiedziałam, że mogłam dać mu tylko jedną odpowiedź – odmowną.

– Jakkolwiek twoja propozycja jest kusząca – odezwałam się w końcu – nie

mogę jej przyjąć. Zamordowaliście mojego konia – wytoczyłam od razu najcięższy argument – a to rzecz niewybaczalna.

Mężczyzna wzruszył ramionami, w ogóle nieprzejęty.

– Kupię ci nowego, piękniejszego.

– W całej Elegestii nie znajdziesz piękniejszego konia – odpowiedziałam opryskliwie. – Moja odpowiedź brzmi „nie”!

– Przemyśl to jeszcze. Daję ci dwa dni – oznajmił i głośno zaklaskał w dłonie. Drzwi się otworzyły, do sali wszedł jeden z rozbójników, który mnie tu prowadził.

– Zawołaj chłopka.

Wszedł i chwilę później wrócił z Jaredem.

– Chłopcze, odprowadź naszą uroczą damę do lochu – rozkazał mu mężczyzna.

To mogła być moja szansa. Prawie w podskokach ruszyłam w stronę Jareda, który po raz pierwszy patrzył mi prosto w twarz. Jego piękne, zielone oczy były zimne, spojrzał na mnie z takim chłodem, że obietnica ratunku wydała mi się teraz zwyczajnym figlem mojego umysłu. Cudownie.

Prowadził mnie bez słowa przez brudne korytarze. Czułam na sobie dziesiątki nienawistnych spojrzeń, zdaje się, że cała zgraja odprowadzała nas wzrokiem. Rozglądałam się uważnie, zapamiętując rozkład pomieszczeń. Jeśli mimo wszystko udałoby mi się pozbyć tych łańcuchów, musiałam mieć jakieś rozeznanie w planie budynku.

W końcu stanęliśmy przed drzwiami, które prowadziły do lochów. Jared wepchnął mnie do wąskiego korytarzyku i zatrasnął za nami drzwi.

– Nie mogłem nic mówić, wszyscy nas obserwowali. Musisz dać mi jeszcze kilka dni.

Nie powiem, ulżyło mi, gdy wreszcie się do mnie odezwał.

– Przemyć mi jakoś kawałek druta, a sama się uwolnię.

Nasza krótka wymiana zdań musiała się zakończyć, bo dotarliśmy na miejsce. Jared z cierpiętniczym wyrazem twarzy przykuł mnie do ściany, a ja mimo wszystko nie mogłam sobie darować komentarza.

– Wiesz, że twój pan i władca właśnie mi się oświadczył? Jeśli myślisz, że się na mnie zemścisz, spotka cię rozczarowanie, bo z chwilą, gdy przyjmę jego oświadczenia, zyskam tu status królowej.

Powiedziałam to tylko na użytek elfa, który zapewne pilnie nadstawił uszu, ale i tak twarz Jareda przybrała posępny wyraz. Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Niedługo później przyszedł jeden z rozbójników, by sprawdzić, czy przykuł mnie porządnie.

– Nie ufacie mu? – spytałam rozbawiona. – Nie ma potrzeby, doskonale wywiązał się ze swojego zadania. – Ostentacyjnie szarpnęłam łańcuchami.

– Ostrożności nigdy za wiele – burknął i tyle go widziałam.

Słyszałam, jak pod przeciwległą ścianą elf co chwilę zmienia pozycję. Jeśli miał nadzieję, że pierwsza się do niego odezwę, to się mylił.

– Więc masz szansę zostać królową? – zapytał w końcu.

– Owszem, a wtedy będę mogła zrobić z tobą, co mi się będzie podobało – oznajmiłam ze złośliwą satysfakcją w głosie.

Norfavell miał jeszcze w sobie na tyle godności, że nie usiłował mi się przypodobać, co, zważając na okoliczności uznałam za godne podziwu.

– Ale nie zostanę królową – powiedziałam, by go dłużej nie dręczyć.

– Dlaczego?

– Pytasz dlaczego? Nie powinienesz mnie czasem pochwalić? W tym momencie spodziewałabym się z twojej strony raczej monologu na temat tego, jak uwłaczająca byłaby rola królowej tej bandy brudasów.

– Określenie „uwłaczająca” nie jest zbyt dobitne, by oddać rozmiar upokorzenia, które wiązałoby się z przyjęciem tej roli. To byłoby absolutne upodlenie dla każdego szanującego się stworzenia, które ma w sobie choćby okruchy godności – rzekł swoim zwyczajnym, napuszonym tonem. – Ale co, jeśli to jedyna szansa, żeby się stąd wydostać? – zapytał po chwili.

– To cię martwi? – Roześmiałam się bez troski. – Są inne sposoby – powiedziałam tajemniczo i nie zdradziłam już nic więcej.

Jeśli zawodzi magia i nawet pięści nie są w stanie pomóc, wtedy trzeba wrócić do najbardziej podstawowych i najmniej subtelnych metod. Porządny wytrych – oto czego potrzebowałam. Miałam nadzieję, że Jared nie zawiedzie.

Z niecierpliwością oczekiwałam na naszą dzienną porcję jedzenia, choć wynikało to bardziej z ciekawości niż głodu. W końcu drzwi stanęły otworem. Doznałam głębokiego rozczarowania, gdy w świetle pochodni ujrzałam zarośniętą, brudną twarz zbója, zamiast znajomego oblicza Jareda. Mężczyzna bez zbędnych ceregieli podał nam po kawałku chleba i kubku wody, po czym wyszedł, nawet się nie oglądając. W ponurym nastroju wbiłam zęby w czerstwe pieczywo i zaczęłam przeżuwać. Straciłam już całą nadzieję, gdy usłyszałam, jak elf krztusi się i charczy.

– To już jest ciężka przesada. Nie dość, że karmią nas podle, wrzucają do jedzenia jakieś żelastwo. Gdyby nie te kajdany, pokazałbym im, co znaczy gniew elfa! Jeszcze przyjdzie taki dzień, w którym zapłacą za wszystkie moje upokorzenia...

– Powiedziałaś „żelastwo”? – przerwałam mu.

– Tak, kawałek jakiegoś drutu.

Od razu się ożywiłam.

- Daj mi go, to miało być dla mnie.
 - Nie rozumiem, po co miałby ci być potrzebny.
 - Nie musisz rozumieć – powiedziałam opryskliwie. – Chcesz się stąd wydostać? To dawaj mi ten przeklęty drut.
 - Nie wiem, w jaki sposób drut miałby pomóc ci w ucieczce – rzekł z pogardą.
 - No widzisz, a ja wiem. Więc bądź tak uprzejmy i daj mi go.
 - Skoro tak bardzo ci na nim zależy...
- Chwilę później coś cięło mnie w policzek.
- Au, o mało nie wybiłeś mi oka!

Nie miałam czasu rozwodzić się dłużej nad swoją ranką. Z zapalem przystąpiłam do gmerania w zamku. Gdy byłam dzieckiem i nie miałam jeszcze pojęcia o swoich magicznych zdolnościach, szczególnie lubowałam się w takich rozrywkach, ale to było dawno temu, a zamek miał już swoje lata i był przeżarty przez rdzę. Udało mi się go otworzyć dopiero po kilku męczących próbach. Nie potrafię określić słowami, jak bardzo ucieszyło mnie to pojedyncze, głośne kliknięcie. Z westchnieniem rozmasowałam obolałe nadgarstki. Uwolniona, postanowiłam po raz kolejny przyzwać magię. To, co wyczułam, nie wystarczyłoby nawet na zagotowanie szklanki wody. Czyli pozostawały mi gołe pięści.

- Zdjęłaś kajdany? – Delikatny głos elfa był przesycony niedowierzaniem.
- Owszem – odparłam i ruszyłam w jego stronę.

Przyzwyczaiłam wzrok do ciemności na tyle, że byłam w stanie dostrzec kontury jego niewielkiego ciała. Jego skóra była delikatna w dotyku i gładka niczym jedwab. Wymacałam łańcuch, by wsadzić swój prowizoryczny wytrych w zardzewiały zamek. Gmerałam w nim tak długo, że niemal czułam niedowierzanie elfa. W końcu rozległ się upragniony dźwięk.

- A teraz pytanie, kiedy najlepiej uciec? Osobiście wolę zrobić to za dnia, może wtedy większość z nich będzie akurat kraść, gwałcić albo zabijać gdzieś poza domem. W nocy będą tu wszyscy, wystarczy jeden fałszywy krok i będziemy mogli zapomnieć o ucieczce.

- W dzień na pewno ktoś tu będzie, nie zostawią swojej kryjówki niestrzeżonej, a nie mamy nawet broni, żeby z nimi walczyć. Choć jestem już w stanie wyczuć magię, nadal nie mogę z niej korzystać.

- Mówiłam, że mam pięści.

Moje oświadczenie spotkało się oczywiście z pogardliwym prychnięciem.

- Zaufaj mi.

Nie miał wyboru, po tym jak go uwolniłam, więc taktownie zamilkł.

Przynosili nam jedzenie raz na dwadzieścia cztery godziny, dlatego musieliśmy odczekać niemal pół dnia, nim odważyliśmy się wyjść. Ostrożnie przeszliśmy wąskimi schodami prowadzącymi na parter. Uchyliłam drzwi

i wyjrzałam przez szparę. Żadnego człowieka w zasięgu wzroku.

– Możemy iść – szepnęłam do elfa.

Przekradaliśmy się przez kolejne korytarze, na szczęście przez nikogo niezauważeni. Tak jak myślałam, większość musiała udać się na rozbój, a ci, którzy zostali, leczyli rany albo zwyczajnie spali.

Byliśmy już w połowie drogi, gdy wpadłam na jednego z nich. Niewiele myśląc, chwyciłam go za gardło i zaczęłam dusić. Wtedy dostrzegłam jasną czuprynę i rozszerzone, zielone oczy.

– Niech cię szlag – szepnęłam, puszczając go.

– Wydostałaś się? – spytał z lekkim niedowierzaniem.

– Jak widać. Teraz muszę tylko zabrać stąd dwie rzeczy i możemy spadać.

– Masz na myśli to? – wyciągnął z kieszeni niewielką szkatułkę.

Otworzyłam usta ze zdziwienia.

– Skąd...?

Jared przewrócił oczami.

– Myślałaś, że nie zauważyłem, jak codziennie się w nią wpatrujesz? Co prawda nie rozumiem, po co tyle zachodu o puste pudełko, ale proszę. – Podał mi je.

– Co masz na myśli, mówiąc, że jest puste?

– Otacza je silny czar, ale w środku nic nie ma.

– Niby skąd możesz to wiedzieć?

– Ty masz swoje zdolności, ja swoje. Wyczuwam takie rzeczy.

– To cudownie – przerwał nam elf. – Możecie przedyskutować to później, a teraz skupmy się może na ucieczce.

Pokręciłam głową.

– Nie ruszę się stąd bez sztyletu – oznajmiłam kategorycznie. – Możecie iść beze mnie.

Jared spojrzał na mnie i zrobił dziwną minę, a potem, jakby niechętnie, wyciągnął sztylet i podał mi go.

Rzuciłam mu pełne wdzięczności spojrzenie i złapałam za rękę.

– Uciekamy.

– Nie tak prędko. – Sześciu mężczyzn zastąpiło nam drogę. – Myślałeś, że nie weźmiemy pod uwagę twojej zdrady? – Zbój posłał Jaredowi szydercze spojrzenie. – Skończysz w lochu razem z nimi.

– Skaczcie przez okna – szepnęłam do nich tak, by rozbójnicy niedosłyszeli.

– Macie ochotę na kontynuację ostatniej walki? – Nie czekając na odpowiedź, rzuciłam się na nich, tnąc sztyletem na prawo i lewo. Wykorzystywałam do walki całe ciało, ale i tak sześciu na jednego w ciasnej przestrzeni to był zbyt wiele, nawet jak dla mnie, tym bardziej, że odgłosy walki zbudziły pozostałych. Już myślałam, że wszystko stracone, kiedy ściany budynku

zaczęły pękać z hukiem. Usłyszałam, jak Jared wykrzykuje moje imię i, nie ociągając się dłużej, wyskoczyłam przez okno – jak się okazało w ostatniej chwili, bo zaraz po tym kryjówka rozbójników jakby zapadła się w sobie i runęła niczym domek z kart, wzniecając tumany pyłu. Ze zdziwieniem odkryłam, że była to sprawka elfa.

Po raz pierwszy ujrzałam go w całej jego niewielkiej okazałości. Mimo brudnej twarzy i poszarpanej bielizny, był piękny. Miał delikatne rysy twarzy i leciutko odstające, spiczaste uszy. Prosta postawa ciała dodawała mu godności, którą zresztą nieustannie słyszałam w jego głosie.

– Teraz, skoro mogę już używać magii... – Pstryknął palcami, a ja ze zdumieniem obserwowałam, jak jego skóra staje się tak czysta, że nieomal lśniąca własnym blaskiem, a brudną bieliznę zastępują pyszne, jedwabne szaty. Wcześniej wyglądał jak kupka nieszczęść, teraz olśniewał urodą, jakby właśnie wyszedł z jakiegoś elfiego katalogu mody.

Kiedy przeszło mi zdumienie, zwróciłam się do Jareda.

– Co z końmi?

– Zabrali wszystkie, gdy wyjeżdżali, został tylko mój kasztanek.

– Idź po niego – rozkazałam.

Kiedy odszedł, jeszcze raz spojrzałam na elfa.

– Wybacz nieuprzejmość, ale nie zdołamy podróżować we troje na jednym koniu – powiedziałam bez ogródek.

– Skąd przypuszczenie, że chciałbym z wami podróżować? – zapytał wyniośle. – Spłaciłem swój dług, magu. Nie ma potrzeby, byśmy dłużej przebywali w swoim towarzystwie. Kontynuuj swoją podróż – urwał, bo wrócił Jared.

– Życzę wam szczęścia. – Te życzenia wydawały się wyrazem najwyższej łaski z jego strony. – Mimo że stanowicie dziwnie dobraną parę. Żegnajcie. – Nim zdążyliśmy odpowiedzieć, pstryknął palcami i po prostu zniknął.

– Świetnie, był nawet bardziej irytujący niż krasnal – skwitowałam. – Ruszajmy, nim wrócą tamci.

Wskoczyłam na kasztanka, Jared usadowił się tuż za mną.

– Chyba nie sądziłeś, że rzeczywiście pozwoliłabym tamtemu rozbójnikowi cię zabić? – chciałam się upewnić, nim wyruszymy.

– Nie.

ROZDZIAŁ 12

Przez jakiś czas po prostu jechaliśmy, chcąc jak najprędzej zostawić za sobą zrujnowaną kryjówkę rozbójników. Miałam cichą nadzieję, że nie będą nas ścigać, a przy odrobinie szczęścia pomyślą, że zginęliśmy pod gruzami wraz z ich kompanami, ale ostrożności nigdy za wiele. Oddalaliśmy się coraz bardziej, a ja zaczynałam sobie uświadamiać, że zostaliśmy bez niczego. Udało nam się uciec w jednym kawałku, ale straciliśmy całe zapasy. Naszym podstawowym i najbardziej nagłym problem był fakt, że nie mieliśmy żadnej żywności, o pieniądzach nie wspominając. Właściwie, oprócz ubrań, które nosiliśmy, mojego sztyletu i szkatułki nie mieliśmy przy sobie niczego. Wiedziałam, że musieliśmy jakoś zdobyć pożywienie, ja mogłabym co prawda wytrzymać dłuższy czas bez porządnego posiłku, ale Jared pewnie padłby z głodu, nim słońce schowałoby się za horyzontem.

– Nic innego nie udało ci się ocalić? – spytałam rozczarowana.

– Spalili wszystko, kopiąc przy tym tak bardzo, że z miejsca okrzyknęli cię czarownicą.

To by się nawet zgadzało, wszystkie te plastikowe opakowania mogły nieźle nadymić.

Nie miałam już mapy, ale patrzyłam na nią niezliczoną ilość razy i doskonale widziałam, że w pobliżu nie było żadnej gospody. Przed nami zaczynał się górzysty, niedostępny dla wieśniaków teren – ten, który zamieszkiwali magowie. Co prawda nikt nie napisał tego na mapie, ale sama to wywnioskowałam, skoro w wioskach można było spotkać tylko pojedynczych magów, zazwyczaj egzekutorów podatków. Podczas podróży traktem minęliśmy ich kilku, czułam ich magiczną aurę, nie zatrzymywali mnie jednak, a ja nie miałam żadnego interesu w zatrzymywaniu ich. Poza tym jakoś nie sądziłam, że będę mogła liczyć na pomoc ze strony magów, jeśli spotkam jakichś przed Warownią. Zdążyłam się przekonać, że w tej krainie nie istniała bezinteresowna pomoc. Ludzie potrafili oddać przysługę, ale z natury byli nieufni i zbliżali się do innych tylko wtedy, jeśli mieli pewność, że sami są silniejsi i że inni nie są w stanie im zagrozić. Czy to skutek trwającej wojny, czy po prostu taka była mentalność mieszkańców Elegestii? Nie wiedziałam, ale co do jednego nie miałam wątpliwości – byliśmy teraz zdani na siebie.

– Masz jakieś pojęcie o polowaniu? – zapytał Jared.

Polowałam na różne stworzenia podczas wykonywania zleceń dla Toma, ale nigdy na jedzenie. Pokręciłam głową.

– A ty?

– Niewielkie.

– Dziś i tak będziemy musieli obyć się bez kolacji. Nie mamy czasu na polowanie, bo tamta zgraja w każdej chwili może ruszyć w pogoń. Jak tylko zorientują się, że to nasza sprawka, ogarnie ich żądza mordy.

– Dla mnie to nie problem, ale czy ty wytrzymasz?

– Co masz na myśli?

– Trzymali cię tam o chlebie i wodzie.

– To słodkie, że się o mnie martwisz. – Roześmiałam się. – Nic mi nie będzie. Nie wiesz, do czego zdolne są odchudzające się kobiety – dodałam jeszcze, nie spodziewając się, że zrozumie.

Jechaliśmy, dopóki nie zaszło słońce, nie zważając na zmęczenie kasztanka. W końcu musieliśmy zboczyć z traktu, bo zrobiło się zbyt ciemno na kontynuowanie wędrówki. Znaleźliśmy ustronne miejsce i Jared rozpałił niewielkie ognisko. Oczywiście nie mieliśmy koców, musieliśmy zadowolić się gołą ziemią.

W nocy było zimno, dlatego poszliśmy spać razem, przytuleni do siebie i przykryci jedynie moim płaszczem.

Wstałam pierwsza. Cicho, żeby nie obudzić Jareda, wyplątałam się z jego objęć i podniosłam się z ziemi, niepewnie stając na nogach. Potrzebowałam odświeżenia. Wysłałam magię w poszukiwaniu wody. Musiałam przejść prawie kilometr, ale opłaciło się. Skryte za krzakami, tak że gdybym nie wiedziała, gdzie szukać, w życiu bym go nie znalazła, znajdowało się urocze jezioro. Było malutkie, jakby stworzone do kąpieli. Niedbale rzuciłam ciuchy na jeden z wielkich kamieni, które broniły do niego wstępu. Potem ostrożnie, żeby nie pokaleczyć sobie stóp, weszłam do wody. Natychmiast pokryła mnie gęsia skórka, ale im dalej wchodziłam, tym woda zdawała mi się cieplejsza. W końcu zanurzyłam się po samą szyję i westchnęłam z przyjemnością. Wreszcie mogłam zmyć z siebie cały brud ostatnich dni, ba, brud z całej podróży.

Siedziałam w wodzie tak długo, że skóra zaczęła mi się marszczyć. Słońce świeciło coraz mocniej, ale nadal nie byłam w stanie zmusić się do wyjścia. Było mi zbyt przyjemnie.

Nadstawiłam uszu, gdy usłyszałam własne imię. Nie miałam wątpliwości, że krzychał Jared. Niewiele myśląc wynurzyłam się z wody.

– Co się stało? – krzyknęłam do niego, gdy zdyszany pojawił się na brzegu jeziora.

– Malice, niech cię szlag! Nie możesz tak po prostu zniknąć. Myślałem, że coś ci się... – urwał, gdy zauważył, że jestem naga.

Stałam zanurzona w wodzie tylko od pasa w dół. Włosy opadały mi na plecy czarną kurtyną, końcówki unosiły się na wodzie, otaczając mnie ciemną aureolą. Jared, jak typowy samiec, zjechał wzrokiem w dół. Podziw w jego spojrzeniu

wcale mnie nie niepokoił, przeciwnie – pochlebiał mi. Zmartwił mnie dopiero fakt, że patrzył na mnie... jak mężczyzna na kobietę. Zupełnie jakby miał ochotę zrzucić swoje ciuchy, wskoczyć do wody i robić ze mną rzeczy, które robią dorośli.

Nigdy nie należałam do wstydlivych, ale zmieszałam się pod jego badawczym spojrzeniem. Cofnęłam się gwałtownie, zanurzając w wodzie po samą szyję.

– Skoro już wiesz, że nic mi nie jest, może daj mi się wykąpać w spokoju?

W zasadzie to nie była prośba, to było polecenie. Pożądanie, doskonale widoczne na jego twarzy, wprawiało mnie w zakłopotanie i, choć nie chciałam przyznać się do tego nawet przed sobą, jego palące spojrzenie mnie podniecało.

Jared wyglądał, jakby miał zamiar się kłócić, ale chyba nie starczyło mu odwagi. Jasno dałam mu do zrozumienia, że ma odejść. Odwrócił się niechętnie i zniknął w pobliskich szuwarach. Dopiero wtedy wypuściłam długo wstrzymywany oddech.

Co to w ogóle było?

Czyżby długa abstynencja seksualna doszła do głosu, sprawiając, że byłam zainteresowana nastolatkiem? Wzdrygnęłam się na samą myśl. Jared był przynajmniej o pięć lat młodszy ode mnie, jakiegokolwiek inne niż koleżeńskie stosunki między nami zakrawałyby na pedofilię. Z mojej strony! Do tego nie mogłam dopuścić.

Jego można było łatwo zrozumieć. Burza hormonów w tym wieku była zjawiskiem na tyle naturalnym, że wyjaśniała nawet zainteresowanie starszą kobietą. Ale ja? Nigdy nie ulegałam porywom namiętności. Zaspokajałam swoje potrzeby, często wykorzystując do tego przypadkowych facetów, ale nie było w tym żadnej pasji, tylko zwyczajna biologia.

Myśli od razu mi się przejaśniły, gdy wsadziłam głowę pod wodę. Wiedziałam z całą pewnością – nadszedł czas pożegnania. Od Warowni O'ren dzielił mnie zaledwie dzień drogi. Jared nie był mi dłużej potrzebny. Nie miałam konia, ale byłam w stanie pokonać ten dystans piechotą.

Ubrałam się pospiesznie i ruszyłam w stronę obozowiska. Jared czekał na mnie kawałek dalej wraz ze swoim kasztankiem. Patrzył się na mnie tak, że słowa odprawy utknęły mi w gardle. Dziś wieczorem – zadecydowałam.

Dosiadłam kasztanka, Jared usadowił się za mną. Jego objęcia wydały mi się teraz niewłaściwe. Nie wiedziałam, czy to złudzenie, czy jego ręce rzeczywiście były gorące. Wolalabym, żeby trzymał je przy sobie, ale wtedy spadłby z konia. Zaciśnęłam usta i bez słowa ścisnęłam końskie boki piętami.

Zatrzymałam go do kolacji tylko dlatego, że o polowaniu miał minimalnie większe pojęcie niż ja. Udało mu się zdobyć dwa zające, które teraz piekliśmy nad

ogniem. Atmosfera między nami była niezręczna. Zjedliśmy w milczeniu. Jared odezwał się dopiero, gdy wstałam i zaczęłam oddalać się w stronę pobliskich krzaków.

– Gdzie idziesz? – zapytał natychmiast dociekliwym głosem.

Przewróciłam oczami. Chyba nie myślał, że odejdę bez pożegnania?

– Tam, gdzie nawet król chodzi piechotą – powiedziałam, po czym zniknęłam za krzakami.

Kiedy już załatwiłam wszystko, co miałam do załatwienia, podciągnęłam spodnie i zaczęłam wracać. W ostatniej chwili zdążyłam ukryć się za drzewem.

– Tu jesteś, nicponiu!

Z niemałym zdziwieniem dostrzegłam, jak potężny mężczyzna, równie wysoki co Jared, ale w przeciwieństwie do niego zbudowany z samych mięśni i ścięgien, złapał go za ubranie i poderwał do góry. Już miałam ruszyć na ratunek, gdy ujrzałam u jego boku drobną kobietę. Była chyba nawet niższa ode mnie i przy ogromnym mężczyźnie wyglądała jak mała dziewczynka. Westchnęłam, gdy dojrzałam jej twarz. Była piękna i tak delikatna, że niemal nierzeczywista. Jej jasne włosy miały ten sam piaskowy odcień, co włosy Jareda.

– Co ty sobie myślałeś? – wrzeszczał mężczyzna, trzymając go w stalowym uścisku. – Jak mogłeś tak po prostu zniknąć? Masz pojęcie, jak bardzo twoja matka się martwiła?

Kobieta położyła drobną dłoń na jego potężnym ramieniu i powiedziała coś cicho, zbyt cicho, bym była w stanie to dosłyszeć, chcąc najwyraźniej uspokoić swojego męża.

Czyżby zjawili się wkurzeni rodzice? Z zainteresowaniem obserwowałam rozwój wypadków, wychylając głowę zza drzewa.

– Co robiłeś przez te miesiące? – Mężczyzna pochylił się nad Jaredem z groźnym wyrazem twarzy.

Chłopak odmruknął coś cicho, usłyszałam jedynie coś o poszukiwaniach i – niech mnie gęś kopnie – księżniczce.

– Oszalałeś? – Swoją odpowiedzią najwyraźniej nie zadowolili ojca. – Masz pojęcie, jak wielkie niebezpieczeństwo ci groziło?

Jared zerknął nerwowo w stronę krzaków, w których się kryłam, ale nie chciałam się jeszcze ujawniać.

Jeśli spodziewałabym się, że pokornie spuści głowę i ulegnie ojcu, bardzo bym się zdziwiła. Hardo spojrział mu w oczy i odpowiedział głośno:

– Jestem już dorosły, mogę podejmować własne decyzje.

To nie była dobra strategia. Twarz mężczyzny przybrała wściekłe czerwony kolor.

– Już ja cię nauczę moresu – zagroził i, nie zważając na nieśmiałe protesty kobiety, przełożył Jareda przez kolano, zdjął mu spodnie, ukazując przy okazji

kształtne pośladki i zaczął bić gołą ręką. Z wrażenia straciłam równowagę i potknęłam się, szeleszcząc głośno gałęziami. Musieliby być głusi, żeby tego nie usłyszeć, dlatego wyszłam z ukrycia.

– Kim jesteś? – Mężczyzna władczy tonem zażądał odpowiedzi, wypuszczając wreszcie biednego Jareda, który był cały czerwony ze wstydu.

Mimo tego wyprostował się i odpowiedział za mnie.

– To moja towarzyszka.

– Podróżowaliśmy razem – dodałam i z bliska przyjrzałam się pięknej parze.

Mężczyzna, choć wielki jak trzydrzwiowa szafa, miał w sobie jakieś dostojeństwo, jego postawa była niemalże władcza, a twarz przystojna. Despota – oceniłam. Kobieta patrzyła na mnie nieśmiało, po twarzy poznałam, że jest wcieleniem dobra. Ich stroje zachwyciły doskonałym wykonaniem, choć nie miały zbędnych zdobień.

– To mag. – Ojciec Jareda niemal wypluł to słowo. Zdziwiłam się na taką nieuprzejmość, ale zanim zdążyłam otworzyć usta, by uraczyć go odpowiednio miłą odpowiedzią, wtrącił się Jared.

– Tak, ma magiczne zdolności kulinarne. – Rzucił mi nerwowe spojrzenie.

Wyjaśnienie Jareda nie przekonało ojca. Nadal patrzył na mnie z niechęcią, a wręcz otwartą wrogością w oczach.

– Uratowała mi życie więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć – wypalił, oczywiście przesadzając.

Dopiero po tym oświadczeniu zmarszczka na czole mężczyzny nieco się wygładziła, a kobieta obdarzyła mnie łagodnym uśmiechem.

– W takim razie chyba powinniśmy być ci wdzięczni – powiedział z przekąsem, bez choćby cienia wdzięczności w głosie.

Wzruszyłam ramionami, ale nim zdołałam odpowiedzieć, chwycił Jareda i zarządził:

– Idziemy.

Syn wyrwał mu się z uścisku i wyprostował. Był równie wysoki jak ojciec.

– Chcę się pożegnać – oznajmił, patrząc mu w oczy.

Pewnie by mu odmówił, gdyby nie cicha prośba jego małżonki.

– Pozwól mu.

Musiał mieć słabość do żony. Patrząc na jej piękną twarz, wcale się temu nie dziwiłam.

– Świetnie, masz dwie minuty.

Razem odeszli, zapewniając nam odrobinę prywatności.

– Przepraszam, Malice, obiecałem, że będę z tobą tak długo, jak będziesz mnie potrzebowała...

Uniosłam dłoń, przerywając jego tłumaczenia.

– Twoi rodzice zjawili się w idealnym momencie. Dziś miałam się z tobą

pożegnać.

Jeśli myślałam, że to go uspokoi, myliłam się. Patrzył na mnie z takim żarem w oczach, jakby chciał powiedzieć mi jeszcze tysiąc rzeczy, ale brakowało mu czasu. W końcu nic nie wyrzekł, tylko chwycił mnie i, nie czekając na pozwolenie, pocałował z pasją, która zdaje się zaskoczyła nas oboje. Nie miałam pojęcia, gdzie nauczył się tak całować, ale sprawił, że zmiękły mi kolana i tylko jego silny uścisk utrzymywał mnie w pozycji poziomej. Jeśli pocałunek Warena oceniałam na dziesięć, jemu musiałam dać jedenaście.

W końcu odsunął się i spojrzał na mnie. Jego oczy wyglądały jak dwa jarzące się szmaragdy.

– To nie jest pożegnanie. Jeszcze się spotkamy – mówił z taką pewnością, że w tamtej chwili wierzyłam mu bez zastrzeżeń.

Słyszając zniecierpliwiony krzyk ojca, szybko pocałował mnie raz jeszcze i w końcu wypuścił z ramion. Nieco ogłupiałym wzrokiem patrzyłam, jak odchodzi, czując nieznaną mi do tej pory, nieprzyjemne uczucie klucia w sercu.

Moja dłoń sama powędrowała w stronę ust, dotykając opuchniętych warg.

Czy on się we mnie zakochał? I co ważniejsze – czy ja odwzajemniałam jego uczucie? Natychmiast odrzuciłam od siebie tę myśl. Ręka opadła mi bezwładnie, a ja potrząsnęłam głową, usiłując odgonić uparte myśli.

Sam pomysł, że miałabym się zakochać, był śmieszny, a jeśli dodać do tego, że swoim uczuciem miałabym obdarzyć nastolatka, stawał się wręcz niedorzeczny. Musiałam jak najszybciej zadbać o zaspokojenie swoich potrzeb seksualnych! Z tą myślą wróciłam do ogniska i odkryłam, że Jared zostawił mi konia, co było bardzo miłe z jego strony, bo oznaczało, że szybciej dotrę do Warowni O'ren, a co za tym idzie, szybciej opuszczę też tę krainę. Z utęsknieniem pomyślałam o własnym domu i wygodnym łóżku. No i o Shadym, nie mogłam wszakże zapomnieć o swoim pupilu. Miałam nadzieję, że długi czas spędzony z Tomem nie odbije się na nim niekorzystnie.

Spojrzałam na kasztanka i moje serce ścisnęło się boleśnie na myśl o Night. Wyrzucałam sobie, że pozwoliłam jej zginąć. Jednocześnie miałam pełną świadomość tego, że żaden koń nie może się z nią równać i że nigdy nie nawiąże już z żadnym takiej więzi, jaka łączyła mnie z nią. Pocięszała mnie jedynie myśl, że jej zabójca powędrował do grobu.

Pozbawiona towarzystwa mogłam dać upust swoim magicznym zdolnościom. Wytworzyłam wokół siebie tarcze tak silne, że żaden człowiek ani zwierzę nie mogło zbliżyć się do mnie na odległość mniejszą niż kilkanaście metrów.

Zasnęłam, wiedząc, że nikt ani nic nie będzie mnie niepokoić.

Pomyliłam się. Choć nikt nie przerywał mojego snu, dręczyły mnie nieprzyjemne mary senne, w których klacz patrzyła na mnie z wyrzutem. Czarny pysk Night zmienił się potem w twarz Jareda, ale sam wyraz nie uległ zmianie: on również przyglądał mi się tak, jakby miał do mnie żal. Potem odezwał się, powtarzając swoje słowa:

– Jeszcze się spotkamy.

Tym razem nie brzmiały jednak jak obietnica – brzmiały jak groźba.

Obudziłam się niewyspana i obolała. Zjadłam na śniadanie resztki zajęczego mięsa z poprzedniego wieczoru i odświeżyłam się szybko, po czym, nie marnując czasu, dosiadłam kasztanka. Wierzgnął pod moim ciężarem, ale zaraz przywołałam go do porządku. Ruszyliśmy.

Im dalej na północ wędrowałam, tym bardziej górzysty stawał się krajobraz. Miałam niemiłe przeczucie, że dostać się do Warowni nie będzie wcale tak prosto. Mimo wszystko cieszyłam się, że to miała być moja ostatnia przeszkoda na drodze do zdobycia stu tysięcy i powrotu do domu.

Czułam się odrobinę nieswojo, wędrując samotnie i uświadomiłam sobie, że tak na dobrą sprawę prawie przez całą podróż miałam jakieś towarzystwo. Przyzwyczaiałam się głównie do obecności Jareda, bo zarozumiały Waren czy irytujący krasnal nie byli bynajmniej upragnionymi towarzyszami podróży.

Zaskakiwałam sama siebie, bo nigdy nie podejrzewałabym się o sentymentalizm. Tymczasem boleśnie odczuwałam nieobecność Night i, choć do tego nie chciałam się już przyznać, brakowało mi również Jareda. Bez jego jasnej czupryny w zasięgu wzroku odczuwałam niewyjaśniony niepokój. Czułam, jakbym zapomniała o czymś ważnym.

Jechałam tak cały dzień, starając się myśleć głównie o upragnionym powrocie do domu. Zbliżał się wieczór, gdy ujrzałam w oddali budowlę, która musiała być poszukiwaną przeze mnie Warownią. Rozległa i niezbyt wysoka, usytuowana na wysokiej skarpie, wydawała mi się odległa i niedostępna. Kilka wysokich wieżyczek odcinało się czernią na tle szarzejącego nieba. Żeby do niej dotrzeć, musiałabym wdrapać się po stromym zboczu, co było wykonalne tylko pod warunkiem, że nie zabrałabym ze sobą konia. Przez chwilę stałam niepewnie, dopadły mnie wątpliwości. Jak wrócę do domu?

W końcu doszłam do wniosku, że gdzieś w pobliżu musiał być jakiś inny portal, więc mogłam puścić go wolno. Zniknął w cieniu drzew, a ja jeszcze przez jakiś czas słyszałam coraz bardziej odległy stukot jego kopyt. Chyba nie polubił mnie zbyttno.

Nie oglądając się więcej za siebie, podjęłam mozolną wspinaczkę. Nie po raz pierwszy cieszyłam się z tego, że na podróż po Elegestii wybrałam porządne botki. W trampkach zapewne ześlizgnęłabym się ze zbocza po pokonaniu zaledwie kilku metrów.

Nie wątpiłam, że z okien Warowni byłam doskonale widoczna. W rzeczywistości, jeśli znajdowaliby się tam jacyś strzelcy, mieliby mnie jak na widelcu. Dlatego, nie chcąc stanowić zbyt łatwego celu, otoczyłam się zaklęciami, które miały zapewnić mi bezpieczeństwo. W końcu wspinaczka zmęczyła mnie do tego stopnia, że postanowiłam skorzystać z magii. Byłam zła na siebie, że wcześniej na to nie wpadłam. Zachowywanie pozorów do tego stopnia się we mnie zakorzeniło, że w pierwszej chwili nawet nie wzięłam pod uwagę takiego rozwiązania. Zamiast tego zaczęłam się wspinać, jak zwyczajny człowiek. Nie byłam zwyczajna – byłam magiem i miałam niewyczerpane pokłady magii dookoła siebie. Zmarszczyłam brwi, skupiając swoją uwagę na powietrzu. Sprężyłam to, które znajdowało się pod moimi stopami i uniosłam się w górę. Powoli lewitowałam nad ziemią, niemalże bez żadnego wysiłku pnać się coraz wyżej i wyżej. Nim się obejrzałam, ujrzałam przed oczami olbrzymie, szare mury warowni. Mimo że wykonane z kamienia, wyglądały na takie, które ciężko zniszczyć. W ścianach masywnego budynku znajdowało się mnóstwo wąskich, malutkich okien. Nie byłam w stanie dostrzec, czy ktoś mnie obserwuje, choć nie wątpiłam, że tak było.

Miałam na tyle rozumu w głowie, żeby nie tracić energii na próby rzucania zaklęcia niewidzialności – w siedzibie przywódczyni magów byłoby to działaniem co najmniej w złym guście. Przedostałam się na niewielki plac i ukryta w cieniu obserwowałam nielicznych strażników. Musiałam zastanowić się nad strategią. W końcu miałam coś do przekazania przywódczyni – pomyślałam, klepiąc się po kieszeni, w której spoczywała ukryta szkatułka. Nie powinnam przekradać się jak złodziej, ale... parząc na groźne miny strażników i ich broń, jakoś nie miałam ochoty wychodzić z ukrycia. Miałam przy sobie jedynie sztylet babci i nie chciałam go stracić w walce. Wiedziałam, że próba zaatakowania magią byłaby nierozważna – tych strażników z pewnością chronił tuzin zaklęć obronnych.

Podczas gdy stałam, rozważając swoje opcje, ktoś zaszedł mnie od tyłu. Poczulałam bolesne uderzenie pałką w żebra i wylądowałam na ziemi. Chciałam podnieść się z kolan, ale silna ręka powstrzymała mój zamiar.

– Kim jesteś i co tu robisz? – Głos domagający się odpowiedzi brzmiał ostro i bezlitośnie.

Osoba, która zadała to pytanie, tak naprawdę nie chciała jej znać. Wiedziałam, że byłam na przegranej pozycji.

– Jestem Malice – stęknęłam, czując bolesne klucie w okolicy żeber. – Mam coś dla waszej przywódczyni – powiedziałam, sięgając do kieszeni.

– Nie ruszaj się – krzyknął ktoś rozkazującym tonem, po czym zostałam poderwana do pozycji pionowej.

Jeden ze strażników trzymał mnie w żelaznym uścisku, a drugi zaczął obmacywać moje kieszenie. Wyciągnął szkatułkę, odkrył również mój sztylet.

– To też dla naszej przywódczyni? – zapytał szyderczo, machając mi bronią przed nosem.

– Oddawaj – warknęłam, wierzgając.

– Ona musi być szpiegiem – orzekł jeden ze strażników, wyglądający na przywódcę. – Do lochu z nią! – rozkazał.

– Chcę się widzieć z waszą przywódczynią – zażądałam, zapierając się piętami w miejscu.

– Zobaczysz się z nią. – Strażnik szarpnął mnie boleśnie za ramię. – Jeśli wyrazi takie życzenie.

Chciałam się klócić dalej, ale wiedziałam, że to byłoby jak walka z wiatrakami. Mieli nade mną miażdżącą przewagę. Dałam się zaciągnąć do lochu, po drodze z ciekawością przyglądając się mijanym pomieszczeniom.

– Mówiłem, że jest szpiegiem. – Dostałam mocny cios w głowę i odechciało mi się podziwiania wystroju wnętrza.

Strażnicy nie bawili się w uprzejmości. Bezceremonialnie wepchnęli mnie do śmierdzącej celi. Szczęknął zamek i zostałam sama. Powiedzieć, że byłam zdenerwowana, byłoby niedomówieniem roku! To ja przemierzam całą cholerną Elegestię, żeby tu dotrzeć, narażam życie, walcząc zarówno z potworami, jak i z ludźmi i spotyka mnie takie gorące przyjęcie? Jak tylko dorwę Toma, rozszarpie go na kawałeczki. Był mi winien coś więcej niż tylko wyjaśnienie! Tak samo owiana tajemnicą przywódczyni magów. Skoro była taka potężna, na pewno wiedziała, że się zjawię. Jak mogła pozwolić, by jej strażnicy potraktowali mnie w ten sposób? Jej również miałam zamiar wygarnąć, co myślę. Ze złością kopnęłam metalowe drzwi z niewielkim okienkiem. Wyjrzałam przez nie, ale zobaczyłam jedynie ciemność.

Moja cela była obskurna, nie miała nawet pryczy. Zamiast tego pod ścianą leżała kupa śmierdzącego moczem siana. Prędzej dałabym się pokroić, niż poszła spać na czymś takim. Nie mówiąc o tym, że z rana obudziłabym się cała zawszona. Coś takiego było zdecydowanie poniżej mojej godności. W kącie stało wiadro, jak się domyślałam – na odchody. Raczej nie tego spodziewałam się u celu mojej podróży.

Podniosłam się z klepiska i spróbowałam wyważyć drzwi za pomocą magii. Tak jak myślałam, były zabezpieczone czymś w rodzaju uroku antywłamaniowego. Zaklęcie było równie potężne jak to, które zabezpieczało szkatułkę i wiedziałam, że nie było sensu nawet próbować go złamać. Z równym powodzeniem mogłabym walić głową w mur, próbując przebić się na drugą stronę.

Zrezygnowana oparłam się od ścianę, jak najdalej od śmierdzącego siana i kubła na ekskrementy. Pozostawało mi jedynie czekanie.

Po kilku godzinach spędzonych na zimnej podłodze, moja żądza mordy niepokojąco przybrała na sile. Fakt, że po raz drugi w ciągu tak krótkiego czasu znalazłam się w lochach, bynajmniej nie poprawiał mi humoru. Miałam dziką ochotę coś rozwalić, niestety siano się nie nadawało. W tym momencie boleśnie odczuwałam brak mojego worka treningowego. Kilkanaście serii uderzeń na pewno podziałyby kojąco na moje nerwy. Tymczasem siedziałam jak na szpilkach, oczekując, że ktoś po mnie przyjdzie i wypuści mnie wreszcie z cuchnącej celi, w której zostałam zamknięta.

Poderwałam się na równe nogi, gdy usłyszałam szcęk zamka. Rzuciłam się w kierunku drzwi, ale całą niewielką szparę, która powstała, wypełniło postawne ciało strażnika. Wszedł do środka i postawił przede mną miskę z czymś, co ani nie wyglądało, ani nawet nie pachniało jak jedzenie.

– Co to jest? – spytałam, siłą powstrzymując się od rzucenia się na niego z pięściami.

– Twoje śniadanie.

Śniadanie? Czyli przesiedziałam tu już całą noc!

– Żądam widzenia z waszą przywódczynią – warknęłam. – Natychmiast!

– To niemożliwe – odwrócił się i chciał odejść, ale złapałam miskę, którą przyniósł i zamachnąwszy się, rzuciłam w niego z całej siły. Jedzenie rozgryzło się po ścianach, a metalowa miska z głuchym dźwiękiem uderzyła w czaszkę strażnika. Jeśli miałam nadzieję, że go to powali, srogo się zawiodłam. Nawet się nie zachwiał.

– Nie będę tego jadła. Nie wezmę do ust nic, chyba, że poda mi to wasza pieprzona przywódczyni! – krzyczałam w stronę zamykających się drzwi.

Po raz kolejny zostałam sama. Rzucenie miską w strażnika nawet w najmniejszym stopniu nie zaspokoilo mojej żądzy mordy. Żałowałam, że własną pięścią nie sprawdziłam, jak twarda była jego czaszka.

Ta sama sytuacja powtórzyła się jeszcze wiele razy, zmieniali się tylko strażnicy, w których rzucałam jedzeniem. Moja złość słabła wraz z ciałem. Nie wiedziałam, ile dni trwała ta głódówka, ale zaczynałam odczuwać jej skutki. Mimo tego nie tknęłam niczego, co mi przynieśli. Wolałam zginąć z głodu, niż pozwolić się tak traktować.

Moja nienawiść do przywódczyni magów rosła z każdą kolejną minutą. Już dawno postanowiłam, że po tym jak na moje konto wpłynie obiecana zapłata, nigdy więcej nie odezwę się do Toma, definitywnie zerwę z nim wszelkie kontakty. Gdybym wiedziała, co naprawdę oznacza jego propozycja, w życiu bym jej nie przyjęła. Wolałabym poszukać pracy w ludzkiej społeczności, niż znosić takie upokorzenie.

Zamek szcękął po raz kolejny i drzwi po raz pierwszy otworzyły się na całą szerokość. Stał w nich ten sam strażnik, który oskarżył mnie o szpiegostwo.

– Nasza pani chce cię zobaczyć.

Byłam słaba, bardzo słaba, ale to jedno zdanie postawiło mnie na równe nogi.

– Świetnie, wreszcie zobaczę tę sukę. – Zrobiło mi się ciemno przed oczami, gdy wstałam, ale uparcie parłam w kierunku drzwi.

– Nie tak prędko – zatrzymał mnie strażnik. – Najpierw musisz się umyć i wreszcie coś zjeść.

– Wiesz, gdzie mam mycie i wasze jedzenie? – Spojrzałam na niego z całą pogardą, na jaką było mnie stać, biorąc pod uwagę moje wyczerpanie. – Prowadź mnie do tej suki, natychmiast!

Strażnik uparcie pokręcił głową.

– W takim stanie cię nie przyjmie – powiedział z niezmaconym spokojem.

Świetnie. W sumie miał rację. Lepiej żebym nabrała sił przed tym spotkaniem, miałam przecież zamiar dać wreszcie upust całej swojej złości i zadośćuczynić wszystkim upokorzeniom.

Mężczyzna wyprowadził mnie z lochu, podtrzymując, gdy pieliśmy się w górę po schodach. Byłam tak żałośnie słaba, że zwykłe schody stanowiły wyzwanie ponad moje siły. Kamiennym korytarzem poprowadził mnie do prostych drzwi z ciemnego drewna. W środku czekała na mnie pełna balia wody i kilka służących.

– Wyjdźcie – rozkazałam. – Dam sobie radę sama.

Sądząc po ich spojrzeniach, nie były tego takie pewne, ale posłusznie opuściły pomieszczenie, a ja zrzuciłam wreszcie śmierdzące ciuchy.

Moje ciało było blade i wychudzone, aż przeraziłam się na jego widok. Zmyłam z siebie cały brud, sprawiając, że woda przybrała mętny, ciemnoszary kolor. Z trudem wyszłam z balii. Siedzenie w brudnej wodzie nie znajdowało się wysoko na mojej liście przyjemności.

Na krzesła czekały na mnie świeże ubrania. Ze zdziwieniem rozpoznałam własne dzinsy i podkoszulek. Nie miałam najmniejszego pojęcia, skąd się tam wzięły, zgadywałam, że zakres możliwości przywódczyni magów był bardzo szeroki. Umyta i ubrana w czyste ubrania poczułam się jak nowy człowiek.

Już dawno przestałam zwracać uwagę na bolesne skurcze mojego żołądka, ale teraz poczułam je ze zdwojoną siłą. Powlekłam się do drzwi, pod którymi czekał na mnie strażnik. Bez słowa poprowadził mnie dalej ciemnym korytarzem.

Gdy poczułam upajający zapach jedzenia, zachciało mi się płakać. Nie wiedziałam, od jak dawna nie miałam niczego w ustach, ale czułam, że jeżeli nie napełnię żołądka teraz, już nigdy nie będę miała do tego okazji.

Zaprowadził mnie do kuchni, gdzie gruba matrona w brązowej sukni zaczęła głośno biadolić i załamywać ręce na mój widok. Nie minęły trzy minuty, jak postawiła przede mną olbrzymi talerz parującego rosółu. Czułam na sobie

spojrzenia wielu osób, dlatego mimo że miałam na to dziką ochotę, nie rzuciłam się na jedzenie. Wolno podniosłam łyżkę do ust. Gdy pierwszy łyk przeszedł przez moje zaciśnięte gardło, przymknęłam oczy z rozkoszy. Choć bardzo się starałam, opróżniłam go w rekordowym tempie, którego pozazdrościłby mi nawet Jared.

Kobieta postawiła przede mną kolejny pełny jedzenia talerz, jednocześnie ostrzegając:

– Nie możesz jeść zbyt wiele, żeby ci nie zaszkodziło.

Doskonale o tym wiedziałam, ale trudno było mi się powstrzymać. Zjadłam wszystko, co znalazło się w zasięgu moich rąk, wiedząc, że będę to musiała odpokutować.

W końcu najedzona do syta, wyciągnęłam się na krześle.

– A teraz – odezwałam się, uderzając kielichem w stół – zaprowadźcie mnie do tej suki, waszej przywódczyni.

Kilka osób posłało mi spłoszone spojrzenia, ale nikt się nie odezwał. Strażnik, który dyskretnie podpierał najbliższą ścianę, podczas gdy zaspokajałam głód, ujął mnie za ramię i podniósł z krzesła.

Pokonywaliśmy kolejne korytarze. Nie wiedziałam, jak ludzie je rozróżniali, dla mnie wyglądały identycznie – wszystkie wysokie, wąskie i ciemne.

Idąc krok w krok za strażnikiem, zaciskałam i rozluźniałam pięści. Stek bluzg, którym miałam zamiar obrzucić przywódczynię magów, ciskał mi się na usta. Nie znajdując ujścia, sprawiał, że krew niemalże się we mnie gotowała.

W końcu stanęliśmy przed największymi drzwiami, jakie do tej pory widziałam w Warowni. Strażnik otworzył je przede mną i wkroczyłam do olbrzymiego pomieszczenia, które przywodziło mi na myśl salę tronową.

I rzeczywiście, po przeciwległej stronie znajdowało się olbrzymie, ozdobne krzesło, które z powodzeniem mogło uchodzić za tron. Spoczywała na nim niewielka kobieta, ale z tej odległości nie potrafiłam rozróżnić jej rysów. Wokół niej znajdowało się zaledwie kilka osób, pewnie straż przyboczna. Poczułam pierwsze ukłucie niepokoju, gdy jedna z sylwetek wydała mi się zadziwiająco znajoma. Jeśli to był Tom...

Ruszyłam niemalże biegiem, chcąc jak najszybciej pokonać dzielący nas dystans. Im bliżej byłam, tym wolniej szłam. Zapomniałam nawet o Tomie – moje oczy były utkwione w postaci, która spoczywała na tronie. Szłam, nie patrząc pod nogi, mając przed oczami tylko jej oblicze.

Nie zmieniła się wiele od czasu, gdy widziałam ją po raz ostatni. Ta sama łagodna twarz, ze zmarszczkami, które w odpowiednich chwilach dodawały jej majestatu i sprawiały, że wyglądała surowo. Jediną oznaką, iż minione kilkanaście lat jakoś na nią podziałało, były posiwiałe do końca włosy.

Pokonałam cały dystans i stanęłam w odległości zaledwie kilku metrów od tronu, ciągle nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Musiałam mieć pewność, że to,

co widziałam, nie było jedynie omamem wzrokowym wywołanym przez głodówkę, dlatego odezwałam się, uprzednio przelękając ślinę przez ściśnięte gardło.

– Babcia?

ROZDZIAŁ 13

W pierwszym momencie poczułam wszechogarniającą radość. Dawno pogodziłam się ze świadomością, że nie ma jej już na tym świecie i starałam się nie myśleć o tym zbyt często, bo niezmiennie wprawiało mnie to w przygnębienie. Szalona radość, którą poczułam, uświadomiła mi, jak bardzo tęskniłam za babcią. Mimo tego, że miała tu status królowej, osoby nietykalnej, miałam ochotę rzucić się jej na szyję i ścisnąć z całych sił. Ale kiedy powstała ze swojego tronu i ujrzałam ją w całej krasie, dopadły mnie wątpliwości. Przypomniałam sobie ostatnie dni, głódówkę, przypominałam sobie też długie, samotne lata, podczas których myślałam, że nie żyje. Wszystkie związane z nią wspomnienia wydały mi się teraz podszyte fałszem. Myślałam, że byłam jej oczkiem w głowie, wielokrotnie dawała mi to do zrozumienia, podczas jednego spotkania okazując więcej miłości i uczucia, niż zdołałam doświadczyć od moich rodziców przez całe tygodnie. Jak to się stało, że stałam teraz przed nią? Dlaczego przez kilkanaście długich lat byłam przekonana, że umarła? Co ważniejsze, dlaczego pozwoliła mi tak myśleć?

Stała przede mną i wyciągnęła ręce, najwyraźniej spodziewając się, że ją uściskam. Zrobiłam to, ale nie okazałam przy tym żadnych emocji.

– Liczyłam na cieplejsze powitanie – oznajmiła, gdy wreszcie odsunęliśmy się od siebie.

– Ja również – odparłam chłodno.

Przyglądała mi się długą chwilę, z uśmiechem igrającym na wargach.

– Urosłaś.

– Myślałaś, że przez całe życie pozostanę tą małą, chudą dwunastolatką, którą byłam, gdy rzekomo umarłaś? Kto w ogóle leży w twoim grobie? – zadałam nurtujące mnie pytanie.

– Jest pusty – odpowiedziała, z powrotem siadając na swoim tronie. – Ale nie jesteśmy tu po to, żeby o tym dyskutować. Tamte wydarzenia należą do poprzedniego życia. Muszę przyznać, że przez cały ten czas obserwowałam twoje poczynania. Byłam trochę zawiedziona, gdy wyrzucili cię z Akademii Magii.

– Wiedziałaś, że mnie wyrzucili? – spytałam z niedowierzaniem.

– Oczywiście. Wysłałam wtedy Toma, by zaproponował ci zatrudnienie.

Rzuciłam mu spojrzenie o jasnym przekazie – „Zdrajca!”.

– Przez cały ten czas wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś? – spytałam, urażona do głębi. Babcia odpowiedziała za niego.

– Nie mógł. Tom jest żołnierzem, w przeciwieństwie do ciebie jest zdyscyplinowany. – Z wyraźną przyjemnością przeciągnęła ostatnie słowo.

– Więc wszystkie te zlecenia były farsą?

– O nie, tak nie można tego nazwać. Były sprawdzianem twoich

umiejętności. Kiedy wreszcie uznałam, że są zadawalające, sprowadziłam cię do Elegestii.

– To ty byłaś tym tajemniczym zwierzchnikiem? – Zmrużyłam oczy, przypominając sobie słowa Toma, jakoby wcale nie był szefem w tej grze.

– Zgadza się.

– Więc kim naprawdę jest Tom? Zwykłym żołnierzem? – zażądałam odpowiedzi.

– O nie, Tom jest kimś więcej. Mój ojciec, a twój dziadek, nie był wierny swojej żonie, spłodził bękarta, w zasadzie już u kresu swojego życia. Tom jest jego dzieckiem. Odnalazłam go po latach i przygarnęłam, choć nie wykazywał wielkich zdolności magicznych. Okazał się za to doskonałym i lojalnym wojownikiem.

– Jesteśmy spokrewnieni? – Obrzuciłam spojrzeniem pełnym niedowierzania jego potężną sylwetkę.

– Owszem, jesteście, ale to nadal nie jest to, o czym chciałam z tobą rozmawiać. Wysłałam cię do Elegestii, by cię sprawdzić. Zdałaś egzamin – poradziłaś sobie z utopcami, strzygami, nie uległaś naszemu największemu uwodzicielowi...

– Masz na myśli Warena? – Mimo że jej słowa mnie oszałamiały, czułam się zobowiązana, by przerwać. – W pierwszym lepszym barze są lepsi uwodziciele niż on. – Nie starałam się ukryć pogardy.

– Zdążyłam się domyślić, że nie przypadł ci do gustu po tym, jak go potraktowałaś. Stał się dla nas bezużyteczny, jedyne o czym potrafi teraz mówić, to jakaś gruba wieśniaczka – oznajmiła babcia z cieniem niezadowolenia w głosie. – Poradziłaś sobie też z całą bandą rozbójników, odmówiłaś ich dowódcy, gdy zaproponował ci małżeństwo.

– To też była twoja sprawka? – wykrzyknęłam, nie mogąc się zdecydować, czy byłam bardziej zdziwiona, czy oburzona. – Przez ciebie zamordowali moją klacz?!

– Uspokój się, dziecko. Zawarłam z nimi umowę, nie miałam pojęcia, że zabiją twojego konia. Teraz to i tak już bez znaczenia, zważając na fakt, że zniszczyłaś ich kryjówkę.

Coraz mniej podobała mi się ta rozmowa. Kiedy byłam mała, nieraz wyobrażałam sobie kolejne spotkanie z babcią, ale nawet w najśmielszych fantazjach nie przypuszczałam, że mogłoby przebiegać właśnie w ten sposób. Sam fakt, że żyła, był dla mnie szokujący, jeśli dodać do tego jej manipulowanie moim życiem, zrozumiałe było, że nie potrafiłam cieszyć się ze spotkania po latach. Wszystkie te intrygi musiały mieć jednak jakiś cel – nie byłabym teraz tutaj, gdyby czegoś ode mnie nie chciała.

– Dlaczego mnie tu sprowadziłaś?

Obdarzyła mnie swoim typowym, babcinym uśmiechem, który zawsze

wspominałam z takim rozrzewnieniem.

– Jak wiesz, drogie dziecko, Elegestia jest w stanie wojny.

– Nie, to magowie i smoki są w stanie wojny – poprawiłam ją, przypominając sobie, co mówił mi Gordomir.

– Dobrze więc, magowie i smoki – zgodziła się. – Jesteś mi potrzebna po mojej stronie. Starzeję się i muszę zadbać o godną następczynię. Dowiodłaś, że jesteś warta tego miejsca. – Poklepała poręcz swojego okazałego tronu.

Wtedy dostrzegłam błyszczący diadem w jej siwych włosach. Zauważyła moje spojrzenie.

– Tom nazwał mnie przywódczynią, ale prawda jest taka, że jestem królową, a ty, jako moja jedyna władająca magią potomkini, jesteś moją następczynią, co czyni cię księżniczką.

Zaśmiałam się. Może gdyby powiedziała mi to, gdy miałam dwanaście lat, byłabym podekscytowana. Teraz miała dwadzieścia trzy lata i własne życie. Jedyne, czego w tamtej chwili pragnęłam, to powrót do swojego domu, do Shady’ego. Nie miałam najmniejszego zamiaru uczestniczyć w żadnej wojnie.

– Nie będę walczyła o coś, co jest mi obojętne – nie omieszkałam wypowiedzieć swoich myśli na głos. – Nie mam pojęcia, dlaczego życie taką nienawiść do smoków, ale mi w niczym nie zawiniły.

Babcia przybrała surowy wyraz twarzy, a Tom poruszył się niespokojnie.

– Mówiłaś, że przeczytałaś książki, które ci dałem – odezwał się po raz pierwszy. Gdy usłyszałam jego znajomy głos, niemal zgrzytnęłam zębami.

– Masz na myśli ten ziejący nienawiścią gniot *Wojna ze smokami* i niemożliwie nudną *Historię Elegestii*? Wyobraź sobie, że miałam lepsze lektury pod ręką.

– Będziesz musiała to nadrobić – oznajmiła babcia. – Musisz nauczyć się dyscypliny. Nie bez powodu dałam ci do przeczytania te książki. Pytasz, skąd nienawiść do smoków? Gdybyś je przeczytała, wiedziałabyś, że napadły na twoją najbliższą rodzinę – powiedziała z naciskiem.

– Co masz na myśli?

– Pięćdziesiąt lat temu porwały moją córkę, siostrę twojego ojca. – Mimo że wydarzenie, o którym mówiła, było odległe o pół dekady, w jej głosie pobrzmiwał taki smutek, jakby zdarzyło się to wczoraj. Nie byłam ekspertem w odczytywaniu ludzkich nastrojów, ale było widać jak na dłoni, że porwanie córki sprawiło jej wiele bólu i mimo upływu lat nadal bolało ją tak samo.

– Myślałam, że smoki nie porywają już magów.

Przynajmniej tak mówił mi Jared.

– Bo nie porywają. – Przybrała zacięty wyraz twarzy. – Po tamtym wydarzeniu zaczęliśmy tępić je z większą intensywnością, jednocześnie o wiele bardziej się pilnowaliśmy. – Jej słowa pokrywały się ze słowami Jareda.

– Czego oczekujesz ode mnie? Mam się przejmować ciotką, której nigdy nie widziałam na oczy, a która zaginęła pół wieku temu?

– Och nie, ona jest już stracona. W razie gdybyś ją spotkała, musiałabyś ją zabić. Właśnie za to muszą nam zapłacić. Nie spocznę, dopóki nie zginie ostatni smok w tej krainie. – Jej silny głos odbił się od kamiennych ścian komnaty, a ja poczułam gęsią skórę na ramionach. Zabrzmiało to jak zła wróżba.

– Niby jak miałabym ci pomóc? Nigdy nawet nie spotkałam smoka, nie mówiąc o tym, żebym jakiegoś zabiła.

– Na początek muszę ci coś pokazać. – Skinęła ręką i jedna z osób, które stały kilka kroków za nią, zbliżyła się i coś jej podała. – Podejdz.

Wyciągnęła rękę i przekazała mi trzy niewielkie kawałki pergaminu. Każdy z nich przedstawiał portret jednej osoby. Z wierzchu znajdowała się kobieta o jasnych włosach i delikatnych rysach, dalej potężny mężczyzna o władczym wyrazie twarzy, a na końcu... jasnowłosy chłopak z oczami zielonymi jak szmaragdy.

– Oto rodzina królewska smoków. Ich władca, jego małżonka i syn. Poznajesz któreś z nich?

Zmrużyłam oczy patrząc raz na malowidła, raz na nią.

– Nie. Nie mam pojęcia, kto to namalował, ale się nie postarał – powiedziałam z kpina w głosie.

Wśród garstki osób, która znajdowała się w komnacie, zapanowało poruszenie, zdałam sobie sprawę z tego, że musiałam popełnić gafę. Spojrzałam na niezadowoloną minę babci.

– A niech mnie, ty to namalowałaś?

– Tak, a z tego co pamiętam, ty również nie byłaś nigdy mistrzynią w rysowaniu. – Rzeczywiście, moje dziecięce rysunki nigdy nie były arcydziełami, które rodzice mogliby powiesić na lodówce.

– I wszystko jasne, najwyraźniej talent do malowania odziedziczyłam po tobie. – Zaśmiałam się, a ludzie zaszemrali.

– Dość tego – powiedziała groźnie. – Odziedziczyłaś po mnie coś jeszcze. Miecz i dwa sztylety. – Wyciągnęła przed siebie ten, który mi pozostał. – Strażnicy znaleźli przy tobie tylko jeden sztylet. Gdzie jest reszta?

– Drugi gdzieś w brzuchu trolla. – Wskazałam na ostrze, które trzymała w dłoni.

– Zabiłaś trolla? – Usłyszałam uznanie w jej głosie.

– Tej rozrywki dla mnie nie przewidziałaś? – zapytałam kpiąco, puszczając mimo uszu jej cichą pochwałę. Zignorowała mój opryskliwy ton.

– Dobrze więc. W takim razie, gdzie jest miecz? – zażądała odpowiedzi.

Miecz... miałam nadzieję, że leżał dokładnie tam, gdzie go pozostawiłam, czyli w wychodku. Kiedyś odpowiedziałabym bez chwili zwłoki, ale po tym

wszystkim, co przeszłam, fakt, że babcia tak bardzo go pragnęła, jedynie wzbudził moją podejrzliwość. Wolałam zachować go dla siebie, żeby mieć jakiegoś asa w rękawie. Tom widział, jak wyruszam z mieczem i na pewno nie zapomniał poinformować o tym babci, miałam więc niepodważalne alibi.

Przestąpiłam z nogi na nogę, pozorując zakłopotanie.

– On... cóż, zaginął w akcji.

– Co masz na myśli, mówiąc, że zaginął w akcji?! – Po raz pierwszy straciła nad sobą panowanie, zerwała się z tronu, stanęła przede mną i chwyciła mnie za ramię, miażdżąc je w silnym uścisku. Nie dałam się zastraszyć.

– To znaczy, że go nie mam i nie wiem, gdzie jest – powiedziałam powoli i wyraźnie, patrząc prosto w jej szare oczy.

– Cudownie. – Opadła na tron wyraźnie zdenerwowana. – Tom, musisz go odnaleźć.

– Tak jest – odpowiedział natychmiast służalczym tonem, którego nigdy u niego nie słyszałam.

– Wiesz – zaczęłam – przez pewien czas myślałam, że ten sztylet to moja jedyna pamiątka po tobie i zabiłabym, żeby go odzyskać, ale teraz przestało mi zależeć. Możesz go zatrzymać.

Moje słowa bynajmniej jej nie wzruszyły. Najwyraźniej straciła do mnie cierpliwość, gdy przyznałam się do zgubienia miecza. Widziałam to wyraźnie w jej pełnym niechęci spojrzeniu, którego nie starała się nawet ukrywać.

– Skoro wszystko sobie wyjaśniłyśmy – odezwałam się słodkim głosem – chcę wrócić do domu. Mam nadzieję, że macie tu jakieś portale.

– W pobliżu są dwa – powiedziała sucho. – Żaden z nich nie prowadzi jednak na twoje podwórko.

– W takim razie gdzie?

– Jeden do Paryża, drugi do Rosji.

Cudownie się składało. Zawsze chciałam zwiedzić Rosję – państwo genialnych pisarzy. Paryża nawet nie brałam pod uwagę, kogo obchodziła przereklamowana stolica miłości?

– Skorzystam z tego, który prowadzi do Rosji – postanowiłam.

– To nie koniec – zatrzymała mnie babcia. – Oczekuję od ciebie odpowiedzi.

– Muszę to przemyśleć. Prosisz o wiele. Chcesz, bym porzuciła własne życie na rzecz twojej wojny. Wybacz, ale nie odpowiem ci od razu. Potrzebuję czasu do namysłu.

– Więc dam ci czas, ale wkrótce będziesz musiała odpowiedzieć. Nadchodzi ostateczne starcie – dodała enigmatycznie.

– Odpowiem, kiedy będę gotowa. – Nie podobał mi się jej apodyktyczny ton. Zupełnie nie pasował do moich wspomnień, w których babcia zawsze była ciepła i wyrozumiała.

Uznałam, że to już definitywny koniec naszej uroczej pogawędki. Odwróciłam się na pięcie i skierowałam prosto do drzwi. Za plecami usłyszałam jakiś szelest i wkrótce dołączył do mnie Tom. Miał nawet czelność uśmiechnąć się swoim zwyczajnym, kpiącym uśmiechem, gdy otwierał przede mną drzwi.

– Zaprowadź mnie do portalu – rozkazałam, jak tylko znaleźliśmy się na korytarzu.

– Już późno, może zostaniesz w Warowni na noc? – zaproponował.

– Nie. Chcę wracać do domu. Już.

Przystanąłam i spojrzałam na niego chłodnym wzrokiem. Przez cały ten czas wiedział, że babcia żyje i nawet się nie zająknął. Nie mieściło mi się to w głowie. Choć nie był jej wnukiem, przygarnęła go i wychowywała, podczas gdy ja trwałam w błędnym przeświadczeniu, że dawno odeszła do lepszego świata. Kiedy kilka lat temu zginęli moi rodzice, myślałam, że nie mam już żadnych żyjących krewnych. Musiała być tego doskonale świadoma, ale pozwoliła mi trwać w tym przekonaniu, nie dała żadnego znaku, oprócz broni, którą przekazała mi przez rodzinnego prawnika. Czekala, aż moje umiejętności okażą się dla niej zadawalające. A teraz żądała pomocy, oczekiwała, że zaangażuję się w jej wojnę.

Tom prowadził mnie kamiennymi korytarzami, aż wyszliśmy na ten sam dziedziniec, na którym dopadli mnie strażnicy. Z każdą chwilą niebo szarzało coraz bardziej, ale mimo wszystko ruszyliśmy w stronę czarnej ściany lasu.

Maszerowaliśmy w ciszy. Przypomniałam sobie, jak obiecał, że jeśli wykonam to zadanie, dowiem się o nim wszystkiego. Nie kłamał, ale raczej nie tego się spodziewałam.

– Więc jesteśmy spokrewnieni – odezwałam się bardziej do siebie, niż do niego. – To by wyjaśniało, dlaczego żywiłam do ciebie taką niechęć.

– Malice, ty żywisz niechęć do każdego człowieka. – Wyszczrzył swoje białe zęby w oślepiającym uśmiechu. Tego akurat wcale mi nie brakowało.

– Szczególnie do kłamców.

– Nigdy cię nie okłamałem.

– Zataiłeś prawdę, na jedno wychodzi.

Wzruszył potężnymi ramionami w bezradnym geście. Nie miał nic na swoją obronę i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Jak się ma Shady? – zapytałam i spojrzałam na niego czujnie.

– Dobrze. Trochę przytył.

– Jak to przytył? – zdenerwowałam się. Mój Shady zawsze należał do tych smukłych, pełnych gracji kotów.

– Dbalem o to, żeby nigdy nie chodził głodny. – Ton Toma był neutralny.

Spojrzałam na niego spod przymrużonych powiek.

– Mam nadzieję zastać go w dobrej formie. – Moje słowa były otwartą groźbą.

– Nie musisz się martwić, wygląda kwitnąco.

Przez chwilę po prostu szliśmy. W lesie panował półmrok i skupiłam się na uważnym stawianiu kolejnych kroków. Nie chciałam zaliczyć bliższego spotkania z glebą w towarzystwie Toma. Musiałam jednak powiedzieć jeszcze jedną rzecz.

– Liczę na to, że te sto tysięcy wpłynęło już na moje konto.

– Nic się nie zmieniłaś – roześmiał się. – Bez obaw, już je wpłaciłem.

– Świetnie. – To było wszystko, co chciałam wiedzieć. Nie odezwałam się do niego więcej, dopóki nie stanęliśmy przed wiekowym drzewem.

– To jest portal?

– Tak.

– Więc do dzieła – zarządziłam.

– Malice, zaczekaj! – Zatrzymał mnie, z dość niepewnym jak na niego wyrazem twarzy. Zamierzał przeproszać? – Ja... musisz mi powiedzieć, gdzie zgubiłaś ten miecz?

Poczułam się zawiedziona. To było wszystko, co miał mi do powiedzenia? Żadnych przeprosin, żadnych wyjaśnień, nawet nie próbował się usprawiedliwić?

– Cóż, zgaduję, że gdzieś pomiędzy tamtym starym drzewem a Warownią – odpowiedziałam w końcu ze złośliwym uśmiechem. – A teraz, pomożesz mi, czy mam sama wypowiedzieć zaklęcie?

Zrezygnowany pokręcił głową i pomógł mi otworzyć portal.

– Oczekuj mnie wkrótce – powiedział jeszcze, nim zniknęłam po drugiej stronie.

– Jasne – odparłam z przekąsem i już mnie nie było.

EPILOG

Przedzierałam się przez kolejne zaspy świadoma, że przed zamrożeniem oprócz grubej warstwy ubrań chroni mnie cudowny płyn znajdujący się w mojej piersiówce, z której pociągałam o wiele częściej niż moi zahartowani towarzysze. Tak, ruska wódka miała w sobie magiczną moc, ale o tym wiedziałam od dawna.

Mimo że żadne z nas nie grzeszyło nadwagą, w grubych kurtkach obszytych futrem wyglądaliśmy jak banda puszystych niedźwiadków i z trudem utrzymywaliśmy równowagę. Co jakiś czas kontrolnie unosiłam odziane w rękawiczki dłonie, by roztrzeć uszy i nos. Wołałam, żeby żadna część ciała mi nie odmarzła.

Jeśli kiedykolwiek narzekałam na monotony krajobraz Elegestii, to tylko dlatego, że nigdy nie widziałam ogromnych połaci syberyjskiego śniegu. Mogłam się założyć o całe te sto tysięcy, które zarobiłam, że Tom z czystej złośliwości nie ostrzegł mnie, że wyląduję gdzieś pośrodku niczego, w miejscu zupełnie odciętym od świata. Na szczęście dla mnie, trafiłam na małą osadę i szybko nawiązałam kontakt z miejscową ludnością, która okazała się sympatyczniejsza, niż mogłabym się spodziewać. Wspaniałomyślnie zadeklarowali, że zaprowadzą mnie do pierwszej, większej osady w okolicy.

Nie chciałam narzekać, ale powoli traciłam czucie w palcach, dlatego musiałam zapytać.

– Daleko jeszcze?

– Niet, już tylko kawałek.

Uwierzyłam na słowo. Nie mogłabym pragnąć lepszych przewodników.

Do ostatniej chwili nie byłam w stanie zauważyć niskiego, szarego baraku skrytego pomiędzy niekończącymi się połaciami śniegu. Jeden z moich towarzyszy zapukał głośno i drzwi uchyliły się odrobinę. Weszliśmy najszybciej jak się dało, żeby zimny, ostry wiatr nie zdążył go wyziębnić.

Przyjemne ciepło, które powitało nas w środku, sprawiło, że niemal rozpląnąłam się z ulgi. Przystawiłam skostniałe stopy do ognia i czekałam, aż wróci mi czucie w palcach. Tymczasem moi towarzysze zdążyli zdjąć kilka warstw ubrań i przygotować posiłek. Nim zjedliśmy cokolwiek, wypiliśmy po setce wódki. Wreszcie poczułam się rozgrzana do tego stopnia, że na policzki wypłynęły mi rumieńce.

Spożywaliśmy suszone mięso w przyjaznej atmosferze. Po tonie, jaki zaczynała przybierać rozmowa, poznałam, że Rosjanie są czymś wyraźnie zaniepokojeni. Opowiadali o czorcie, który siał spustoszenie w okolicy.

– Powiedźcie mi o nim coś więcej – zażądałam nieco bełkotliwym tonem.

– To nie sprawa dla białogłowy – próbowali mnie zbyć, uśmiechając się przy

tym dobrodusznie.

– Nalegam.

W końcu opowiedzieli mi miejscową legendę o czorcie, który sprawiał, że ziemia pękała pod nogami i pochłaniała niczego niespodziewających się ludzi. Zdarzało się to cyklicznie, co dziesięć lat. Na początku ginęły pojedyncze osoby, lecz krążyły legendy o całych wioskach, które znikaly w ten sposób z powierzchni ziemi. Rosjanie martwili się, że ich osadę może spotkać ten sam los.

– Ale pewnie i tak nam nie wierzysz – zakończyli swoją opowieść.

– Przeciwnie, przyjaciele, wierzę w każde wasze słowo. Więcej, w ramach wdzięczności załatwię to lichy – zobowiązałam się.

Moja obietnica spotkała się z cichymi westchnieniami i odgłosami niedowierzania.

– Ale to jutro. Teraz pijmy – powiedziałam i uniosłam do ust kolejną setkę.

Spis treści

MAPA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

EPILOG

